

# Dzień sądu

Jack Higgins



calibre 0.9.43

**JACK HIGGINS**

**DZIEŃ SĄDU**

**CYKL: PAULCHAVASSE TOM 7**

# DAY OF JUDGMENT

**PRZEŁOŻYŁ: PAWEŁ WITKOWSKI**

*Mike'owi Greenowi z podziękowaniami*

*Wolność boryka się z licznymi trudnościami, a demokracja*

*nie jest doskonała, ale my nigdy nie musieliśmy wznosić*

*murów, by zatrzymać naszych ludzi.*

Prezydent John F. Kennedy, 26 czerwca 1963

- 2 -

1.

Mijając swoim starym karawanem zakręt, Meyer zmniejszył szybkość.

Trzymające kierownicę ręce miał mokre od potu, a żołądek skurczył mu się boleśnie, gdy podjeżdżał do punktu kontrolnego.

— Chyba zwariowałem — mruknął. — Oszalałem. Ostatni raz. Przysięgam.

Przy biało-czerwonym szlabanie stało dwóch Vopo w staromodnych wehrmachtowskich płaszczach, z karabinami przewieszonymi przez ramię.

Za drzwiami budki przechadzał się jakiś oficer z papierosem w ustach.

Meyer zatrzymał się, a wtedy jeden z wartowników wyszedł na zewnątrz. Ulica prowadziła przez obszar, na którym do samego muru wyburzono wszystkie budynki. Dalej widać było oświetlony punkt kontrolny Strefy Zachodniej.

Kiedy szukał swoich papierosów, podszedł oficer.

— To znowu pan, Herr Meyer. I co mamy tym razem? Znowu ciała?

Meyer podał dokumenty.

— Tylko jedno, panie poruczniku.

Za okularów w metalowej oprawce niespokojnie przyglądał się oficerowi.

Szopa siwych włosów, wytarty kołnierz i sfatygowany płaszcz sprawiały, że przypominał jakiegoś podrzędnego muzyka.

— Anna Schultz — przeczytał porucznik. — Lat dziewiętnaście. Odrobinę za młoda, nawet jak na te ciężkie czasy.

— Samobójstwo — wyjaśnił Meyer. — Jedyjni jej krewni, to wuj i ciotka w Strefie Zachodniej. Wystąpili o jej ciało.

Jeden z Vopo otworzył tył karawanu i zabierał się do mosiężnych śrub na ozdobnym wieku trumny. Meyer pośpiesznie złapał go za rękę.

— Co to, nie chce pan, żebyśmy zagłądali do trumny? — odezwał się

porucznik. — A to niby dlaczego?

Meyerowi jakby zabrakło słów, otarł tylko chusteczką pot z twarzy.

W tym momencie z tyłu zajechała jakaś mała ciężarówka. Kierowca wychylił się przez okno, trzymając w ręku dokumenty. Porucznik niecierpliwie spojrzął przez ramię i rzucił:

— Załatw go szybko.

Jeden z Vopo podbiegł do ciężarówki i pobieżnie obejrzał papiery.

— Co tam macie?

— Silnik Diesla do naprawy w Greifswalder Works.

Przywiązany w tylnej części skrzyni silnik był wyraźnie widoczny. Vopo oddał dokumenty.

- 3 -

— W porządku. W drogę.

Uniósł biało-czerwony szlaban, kierowca ciężarówki ominął karawan i ruszył w kierunku przerwy w murze.

Porucznik skinął głową na swoich ludzi.

— Otwórzcie to.

— Pan nie rozumie — bronił się Meyer. — Ona dwa tygodnie leżała w Sprewie.

— Zobaczymy sobie, co?

Żołnierze zdjęli wieko. Odór był tak straszliwy, że jeden z nich natychmiast zwymiotował. Drugi poświecił do środka latarką — oficer zajrzał i odsunął się szybko.

— Na miłość boską, zamknijcie to. — Odwrócił się do Meyera. — A pan niech

się szybko stąd z tym zabiera.

Ciężarówka minęła roгатki po drugiej stronie i zatrzymała się przy wartowni.

Kierowca wysiadł — był to wysoki mężczyzna w szarej skórzanej kurtce i w berecie.

Wyjąwszy pomietą paczkę papierosów, wetknął jednego do ust i nachylił się, by

przyjąć ogień od sierżanta zachodnioniemieckiej policji, który właśnie do niego

wyszedł. Płonąca zapałka oświetliła twarz wystających kościach policzkowych, jasne

włosy i szare oczy.

— Czy wy, Anglicy, nie macie jakiegoś takiego powiedzonka o dzbanie,

majorze Vaughan? — odezwał się sierżant po niemiecku. — Coś o zbyt częstym

braniu wody ze studni...

— Jak tam wygląda? — spytał Vaughan ignorując uwagę tamtego.

Niemiec obejrzał się niby to przypadkiem.

— Chyba jakieś małe zamieszanie. A, dobra, karawan już jedzie.

Vaughan uśmiechnął się.

— Niech pan powie Juliusowi, że zobaczymy się w sklepie.

Wspiął się do szoferki i odjechał. Po chwili kopnął piętą w siedzenie.

— W porządku tam? — Usłyszawszy w odpowiedzi przytłumione stuknięcie,

uśmiechnął się szeroko. — No to fajnie.

Tę część miasta stanowiły nędzne ulice, przy których stały stare składy

i budynki biurowe, poprzedzielane gruzowiskami — pozostałością wojennych

bombardowań. Jakies piętnaście minut po opuszczeniu punktu kontrolnego skręcił

w Rehdenstrasse, mroczną ulicę rozsypujących się magazynów nad Sprewą.

Zatrzymał się w jej połowie, pod szyldem oświetlonym pojedynczą żarówką

i głoszącym: JULIUS MEYER I SPÓŁKA. PRZEDSIĘBIORCY POGRZEBOWI.

Wysiadł i otworzywszy dużą bramę zapalił światło. Następnie wrócił do ciężarówki i wjechał do środka.

Pomieszczenie to używane było kiedyś jako magazyn herbaty. Ściany z cegły były pobielone, a rozklekotane drewniane stopnie prowadziły do oszklonego biura. W jednym rogu leżały puste trumny.

Gdy zapalał papierosa, wjechał karawan. Vaughan minął go szybko i zamknął wrota. Meyer zgasił silnik i wysiadł. Był bardzo poruszony i przeraźliwie brudną chustką bez przerwy ścierał pot z twarzy.

- 4 -

— Nigdy więcej, Simon, przysięgam. Nawet jeśli Schmidt podwoi stawkę. Już myślałem, że tamten sukinsyn mnie dzisiaj zdemaskuje.

— Za bardzo się przejmujesz — rzucił wesoło Vaughan. Pochylił się do szoferki ciężarówki i wymacał ukryty uchwyt — przód siedzenia opadł. — W porządku, możecie wychodzić — odezwał się po niemiecku.

— Czy to jest w ogóle życie? — pytał Meyer. — Dlaczego musimy żyć w ten sposób? Dlaczego to robimy?

— Dla dwóch tysięcy marek za głowę — odparł Vaughan. — Płaconych z góry przez Heiniego Schmidta, który ma tylu tych nieszczęśników w kolejce, że jeśli zechcemy, możemy to robić codziennie.

— Musi być jakiś łatwiejszy sposób robienia pieniędzy — stwierdził Niemiec.

— Ja wiem jedno. Muszę się napić. — Powiedziawszy to ruszył do biura.

Pierwszy pasażer — młody mężczyzna w skórzanym płaszczu — wyczołgał się ze schowka i stanął, mrużąc oczy i ściskając w rękach jakieś zawiniątko. Następnym był człowiek w średnim wieku, ubrany w zniszczony brązowy garnitur, z walizką

obwiązaną sznurkiem.

Ostatnia wyszła dziewczyna w wieku dwudziestu kilku lat, o bladej twarzy i ciemnych zapadniętych oczach. Miała na sobie męski trencz, a na głowie chustę zawiązaną na wiejski sposób. Vaughan widział ich wszystkich po raz pierwszy. Jak zwykle, załadowano mu ciężarówkę, zanim przyszedł.

— Jesteście teraz w Berlinie Zachodnim i możecie iść, gdzie wam się podoba — odezwał się. — Przy końcu tej ulicy znajdziecie most przez Sprewę. Stamtąd idźcie dalej na wycucie, aż dojdziecie do jakiejś stacji metra. Dobranoc i powodzenia.

Poszedł do biura. Meyer siedział za biurkiem, trzymając w jednej ręce butelkę whisky a w drugiej kieliszek, który opróżnił jednym szybkim haustem.

Napełnił kieliszek ponownie, ale Vaughan odebrał mu go.

— Dlaczego zawsze wyglądasz tak, jakbyś spodziewał się w każdej chwili najazdu Gestapo?

— Ponieważ w młodości przeżyłem zbyt wiele momentów, kiedy było to bardzo prawdopodobne.

Ktoś zapukał do drzwi. Gdy obaj się odwrócili, weszła nieśmiało dziewczyna z ciężarówki.

— Majorze Vaughan, czy mogłabym z panem chwilę porozmawiać?

Jej angielski był doskonały — nie słyhać w nim było nawet śladu cudzoziemskiego akcentu.

— Skąd pani zna moje nazwisko? — spytał Vaughan.

— Herr Schmidt podał mi je, kiedy pierwszy raz spotkałam się z nim w sprawie przerzutu.

— A gdzie to było?



— W restauracji starego hotelu „Adlon”. Pewien przyjaciel polecił mi Herr Schmidta jako osobę godną zaufania w tych sprawach.

— Widzisz? — odezwał się Meyer. — "Z każdą minutą robi się coraz gorzej. Teraz ten idiota daje obcym twoje nazwisko.

- 5 -

— Potrzebuję pomocy — powiedziała dziewczyna. — Specjalnej pomocy. Herr Schmidt myślał, że może mógłby mi pan coś doradzić.

— Pani angielski jest naprawdę bardzo dobry — stwierdził Vaughan.

— Powinien być. Urodziłam się w Cheltenham. Nazywam się Margaret Campbell. Mój ojciec to Gregory Campbell, ten fizyk. Słyszał pan o nim? Vaughan skinął głową i powiedział:

— Razem z Klausem Fuschem przekazali Rosjanom chyba prawie każdą atomową tajemnicę, jaką mieliśmy w 1950 roku. Fusch skończył na ławie oskarżonych w Old Bailey.

— Podczas gdy mój ojciec, wraz ze mną, wtedy dwunastoletnią, znalazł schronienie w NRD.

— Sądziłem, że żyliście potem długo i szczęśliwie — warknął Vaughan. — Socjalistyczny raj, i tak dalej. Słyszałem, że pani ojciec jest profesorem fizyki nuklearnej na uniwersytecie w Dreźnie.

— Ma raka płuc — stwierdziła po prostu. — Beznadziejny przypadek. Został mu najwyżej rok, majorze Vaughan. Chce się stamtąd wydostać.

— Rozumiem. A gdzie się teraz podziewa?

— Umieścili nas na wsi. Mamy domek w wiosce Neustadt. To niedaleko Stendal. Jakies osiemdziesiąt kilometrów od granicy.

— Dlaczego nie spróbuje pani z brytyjskim wywiadem? Mógłby uznać, że warto by go wyciągnąć.

— Próbowałam. Przez inny kontakt na uniwersytecie. Nie są zainteresowani — już nie. W dziedzinie, którą się zajmuje mój ojciec, bardzo szybko wszystko staje się wczorajszą nowością, a on już od dłuższego czasu jest chory.

— A Schmidt? Nie był w stanie pomóc?

— Powiedział, że ryzyko z tym związane jest zbyt wielkie.

— Ma rację. Mały skok przez granicę tu, w Berlinie, to jedno, ale pani ojciec... tam to już jest terytorium Indian.

Cokolwiek podtrzymywało ją do tej pory, teraz z niej uleciało. Ramiona jej opadły, a w ciemnych oczach pojawiła się rozpacz. W dziwnie wzruszający sposób wydawała się bardzo młoda i słaba.

— Dziękuję panom. — Odwróciła się ze znużeniem i zaczęła odchodzić, ale nagle przystanęła. — Może jest mi pan w stanie powiedzieć, jak skontaktować się z ojcem Seanem Conlinem.

— Conlinem? — zdziwił się Vaughan.

— Liga Zmartwychwstania. Ten podziemny ruch chrześcijański. O ile wiem, specjalizują się w pomaganiu ludziom, którzy nie mogą pomóc sami sobie — wymamrotał Meyer.

Vaughan usiadł, wpatrując się w dziewczynę. Przez dłuższą chwilę panowała cisza.

— No i co w tym złego? — odezwał się znów Meyer.

Vaughan w dalszym ciągu milczał, więc Meyer zwrócił się do niej:

— Jak mówił Simon, niech pani przejdzie most na końcu tej ulicy i idzie dalej

prosto do stacji metra. Zaraz przed nią stoi katolicki kościół. Niepokalanego Serca.

O tej porze Conlin powinien właśnie spowiadać.

— O czwartej rano...?

— Pracownicy z nocnej zmiany, dziwki, tego typu ludzie. Dzięki temu czują się lepiej, zanim pójdą spać — powiedział Vaughan. — Widzi pani, panno Campbell, on już taki jest. Niektórzy określiliby go mianem świętego głupca.

Stała przez chwilę z rękami w kieszeniach, lekko marszcząc brwi, po czym odwróciła się i wyszła bez słowa.

— Taka miła dziewczyna — stwierdził Meyer. — Ile musiała przejść. Cud, że dotarła tak daleko.

— Otóż to — mruknął Vaughan. — Ale sęk w tym, że ja już dawno przestałem wierzyć w cuda.

— Czy ty zawsze musisz szukać czegoś pod każdym napotkanym kamieniem?

Nikommu już nie ufasz?

— Nawet sobie — odpowiedział Vaughan.

Trzasnęła brama.

— Więc masz zamiar tu stać i pozwolić dziewczynie iść samej przez całą drogę w takiej dzielnicy? — spytał Niemiec.

Vaughan westchnął i chwyciwszy swój beret wyszedł. Meyer wsłuchiwał się w odgłos jego kroków na dole.

— Święty głupiec... — mruknął do siebie z uciechą i nalał sobie kolejny kieliszek whisky.

Vaughan zobaczył Margaret Campbell przechodzącą pod lampą trzydzieści czy

czterdzieści metrów przed nim. Kiedy weszła na most, jakiś człowiek w kapeluszu i ciemnym płaszczu wynurzył się nagle z cienia po drugiej stronie i zagroził jej drogę.

Dziewczyna przystanęła z wahaniem, a on odezwał się do niej, kładąc jej rękę na ramieniu. Vaughan wyciągnął z wewnętrznej kieszeni smith & wessona kaliber 38, odciągnął kurek i oparł broń o prawe udo.

— Tak się nie postępuje z damą — zawołał po niemiecku, wchodząc po kilku stopniach prowadzących na most.

Mężczyzna odwrócił się szybko i uniósł rękę, w której tkwił walther. Vaughan strzelił mu w prawe przedramię, odrzucając go na balustradę. Walther wpadł do ciemnej wody.

Nie krzyknął nawet, tylko po prostu złapał się mocno za ramię i zacisnął usta.

Spomiędzy palców sączyła mu się krew. Był to młody człowiek o twardej, brutalnej twarzy i wystających słowiańskich kościach policzkowych. Vaughan obrócił go, trzasnął nim o balustradę i szybko obszukał.

— Co on pani powiedział? — spytał Margaret Campbell.

Gdy odpowiadała, jej głos drżał lekko:

— Chciał zobaczyć moje dokumenty. Mówił że jest policjantem.

Vaughan otworzył portfel mężczyzny i wyciągnął zieloną legitymację.

— Bo w pewnym sensie rzeczywiście nim jest. SSD. Wschodnioniemiecka

- 7 -

Służba Bezpieczeństwa Państwowego. Nazwisko Roder, jeśli to panią interesuje.

Wyglądała na autentycznie zdziwioną.

— Ale on nie mógł przecież mnie śledzić. Nikt nie mógł. Nie rozumiem tego.

— Ja też nie. Ale może nasz młody przyjaciel będzie w stanie nam tutaj pomóc.

— Idź do diabła! — rzucił Roder, kiedy już oprzytomniał.

Vaughan trzasnął go w twarz lufą smith & wessona, rozrywając mu policzek.

Margaret Campbell krzyknęła i chwyciła go za rękę.

— Niech pan przestanie!

Była zadziwiająco silna. Podczas krótkiej szamotaniny, jaka się wywiązała,

Roder dobiegł do końca mostu i potykając się zniknął w ciemnościach. Vaughanowi

udało się w końcu uwolnić od dziewczyny i odwrócić na czas, by zobaczyć jeszcze

tamtego, ciągle w biegu, mijającego latarnię na końcu ulicy i skręcającego za róg.

— Gratuluję — odezwał się. — Takie ćwiczenia bardzo pomagają, nieprawdaż?

Jej głos był zaledwie szeptem:

— Zabiłby go pan, prawda...?

— Prawdopodobnie.

— Nie mogłam po prostu stać i nic nie robić...

— Wiem. To bardzo humanitarnie z pani strony i wielka pomoc dla pani ojca,

jestem tego pewien. — Margaret wzdrygnęła się słysząc to. Vaughan wsunął

rewolwer do kieszeni. — Zabiorę teraz panią do ojca Conlina. Jeszcze jeden wielki

człowiek o szlachetnym sercu. Chyba będziecie do siebie pasować.

Wziął ją za ramię i razem ruszyli przez most.

Ojciec Sean Conlin razem z pastorem Niemollerem przeżył zarówno piekło

Sachsenhausen, jak i Dachau. Później pięć lat spędzonych w Polsce przekonało go, że

tak naprawdę nic się nie zmieniło. Ciągle walczył z wrogiem, choć wciąż o innym

imieniu.

Jednak skłonność do robienia rzeczy po swojemu i całkowity brak szacunku dla

jakiegokolwiek władzy uczyniły z niego na całe lata cierń w boku Watykanu. Kiedyś nawet został zganiony przez samego papieża. Mimo swoich sześćdziesięciu trzech lat wciąż nie mógł nauczyć się pokory i uległości, których wymagał Kościół.

Siedział w konfesjonale — wątlą siwowłosy mężczyzna w drucianych okularach, ubrany w komżę i fioletową stułę na szyi, zmarznięty i zmęczony, gdyż tej nocy było więcej ludzi niż zazwyczaj.

Odeszła właśnie jego ostatnia klientka, miejscowa prostytutka. Poczekał chwilę, po czym zaczął wstawać.

Coś poruszyło się po drugiej stronie kratki i znajomy głos powiedział:

— Wie ksiądz, przemyślałem to. Może ludzie postanawiają oddać się Bogu, kiedy już szatan niczego od nich nie chce.

— Simon, to ty? — spytał duchowny.

— Razem z penitentką, młodą kobietą, której spowiedź leci mniej więcej tak: przebacz mi, Panie, bo zgrzeszyłam. Jestem córką Gregory'ego Campbella.

— Chyba lepiej weź ją do zakrystii — stwierdził Conlin. — Wypijemy po filiżance herbaty i zobaczymy, co ma do powiedzenia.

- 8 -

W zakrystii było prawie tak zimno jak w samym kościele. Conlin siedział za drewnianym stołem, z herbatą i papierosem, dziewczyna opowiadała mu o sobie. Okazało się, że jest początkującym lekarzem — w zeszłym roku skończyła studia medyczne w Dreźnie.

— A pani ojciec? Gdzie on teraz jest?

— Niedaleko Stendalu. W wiosce zwanej Neustadt. To bardzo mała wieś.

— Znam ją — stwierdził. — Jest tam klasztor Franciszkanów.

— Nie wiedziałam o tym, ale właściwie nie znam tego miejsca zbyt dobrze. Jest tam jakiś stary zamek nad rzeką.

— Schloss Neustadt. Na początku wieku został oddany franciszkanom przez jakiegoś barona czy kogoś takiego. To zresztą luteranie, nie katolicy.

— Rozumiem.

Conlin zwrócił się do Vaughana:

— A co ty masz do powiedzenia na ten temat?

— Opuściłbym sobie to.

— Dlaczego?

— Ten facet z SSD na moście. Co on tam robił?

— Może mają zamiar na ciebie i Juliusa. To było do przewidzenia.

— Przepraszam, ale czy opinia majora Vaughana jest tutaj istotna? — wtrąciła się Margaret Campbell.

Stary człowiek uśmiechnął się.

— Być może ma pani rację...

Vaughan wstał.

— Chyba przejdę się trochę, zobaczę, jak sprawy stoją.

— Sądzi pan, że mogą być inni? — spytała.

— Bywało tak.

Wyszedł, a ona odezwała się do Conlina.

— On mnie przeraża. Ksiądz pokiwał głową.

— Bardzo skuteczna i śmiertelna broń, ten nasz Simon. Widzi pani, panno Campbell, w tej grze, jaką prowadzi, ma znaczną przewagę nad przeciwnikami.

— Jaką?

— Że jest mu absolutnie obojętne, czy przeżyje.

— Ale dlaczego? — spytała. — Nie rozumiem.

Powiedział jej.

Kiedy Vaughan wrócił do zakrystii, Conlin i Margaret siedzieli obok siebie rozmawiając. Ksiądz spojrzał na niego i uśmiechnął się.

— Chciałbym, żebyś jeszcze dziś bezpiecznie dostarczył pannę Campbell z powrotem do Berlina Wschodniego. Zrobisz to dla mnie, prawda?

Vaughan zawahał się.

— W porządku — mruknął po chwili z rezygnacją. — Ale na tym koniec.

— Nie potrzeba więcej. — Conlin odwrócił się do Margaret Campbell. — Jak tylko pani wróci na tamtą stronę, proszę jechać do Neustadt i czekać na mnie. Będę tam pojutrze.

- 9 -

— Ksiądz sam?

— Ależ oczywiście. — Uśmiechnął się prawie figlarnie. — Niby dlaczego inni mają mieć całą zabawę? — Wstał i położył dłoń na jej ramieniu. — Nie bój się, moje dziecko. Liga Zmartwychwstania cieszy się pewną renomą w takiej robocie. Nie opuścimy cię w potrzebie.

Odwróciła się i wyszła. Staruszek westchnął, kręcąc głową.

— O czym ojciec myśli? — spytał Vaughan.

— O dwunastoletnim dziecku, które mając jedyne oparcie w ojcu, zostało nagle, jak za sprawą złych duchów, przeniesione nocą od wszystkiego co ciepłe, bezpieczne i znajome, do dziwnego i przerażającego świata, z obcymi ludźmi, których języka nawet nie rozumiało. Myślę, że w pewien sposób ona ciągle jest tą przestraszoną



małą dziewczynką.

— Bardzo wzruszające — mruknął Vaughan. — W dalszym ciągu jednak uważam, że ojciec się myli.

— Człowieku małej wiary...

— Dokładnie tak.

Margaret Campbell była już przy drzwiach kościoła, gdy Vaughan dogonił ją.

Ulica była opustoszała, ponura i odpychająca w szarym świetle poranka.

Ruszyli chodnikiem.

— Dlaczego taki człowiek jak pan żyje w taki sposób? — odezwała się. — Czy to z powodu tego, co się stało tam, na Borneo?

— Nie marnowaliście czasu — stwierdził spokojnie.

— Przeszkadza to panu?

— Rzadko kiedy cokolwiek mi przeszkadza.

— Tak, takie właśnie odniosłam wrażenie.

Przystanął w jakiejś bramie, by zapalić papierosa, a ona oparła się o mur i przyglądała mu się.

— Staruszek był panią oczarowany — powiedział. Bardzo delikatnie włożył jej kosmyk mokrych włosów pod chustę. Zamknawszy oczy, zrobiła nieśmiały krok ku niemu. Objął dziewczynę ramieniem w pół, a ona położyła mu głowę na ramieniu.

— Jestem taka zmęczona. Chciałabym, żeby wszystko się zatrzymało, odeszło i zostawiło mnie samą, żebym mogła spać co najmniej rok.

— Znam to uczucie — odparł. — Ale kiedy otworzy już pani swoje ładne oczy, okaże się, że nic się nie zmieniło. Nigdy się nie zmienia.

— Nawet dla pana, Vaughan? Z tego, co mówił ojciec Conlin, wynika, że jest

pan człowiekiem, któremu niemożliwe zabiera po prostu trochę więcej czasu.

— Nawet diabeł ma czasem wolne, czy tego pani nie powiedział?

Pocałował ją delikatnie w usta. Nagle ogarnęła ją jakby panika i oderwawszy się od niego, odwróciła się i ruszyła dalej chodnikiem. Dołączył do niej, pogwizdując wesoło.

Przy moście była kawiarnia czynna całą noc. Kiedy zbliżali się do niej, zaczęło padać. Wziął ją za rękę i pobiegli. Dopadli drzwi bez tchu i cali mokrzy.

Kawiarenka była mała i ponura — stało w niej nie więcej niż pół tuzina

- 10 -

drewnianych stolików i krzeseł. W rogu spał jakiś człowiek w granatowym płaszczu.

Barman siedział za pokrytą blachą ladą czytając gazetę.

Czekała przy stoliku pod oknem wychodzącym na rzekę i słyszała, jak

Vaughan zamawia kawę i koniak.

— Mówi pan niezłe po niemiecku — odezwała się, gdy usiadł.

— Moja babka pochodziła z Hamburga. Ona dorastała nad Elbą, ja

wychowywałem się nad Tamizą. Mieszkała z nami, kiedy byłem mały. Po śmierci

mojej matki wychowywała mnie sama. Kazała mi cały czas rozmawiać ze sobą

po niemiecku. Mówiła, że dzięki temu czuje się jak w domu.

— A gdzie to było?

— Na Isle of Dogs, niedaleko Doków Zachodnioindyjskich. Mój stary przez lata

był kapitanem statku wycieczkowego na Tamizie. Pływałem z nim, kiedy byłem

dzieckiem. Do Gravesend i z powrotem. Raz dojechałem aż do Yarmouth.

Zapalił papierosa. Oczy mu pociemniały, ogarnęła go przeszłość.

— Gdzie on teraz jest? — spytała.

— Nie żyje. Od dawna.

— A babka?

— Bomba w listopadzie czterdziestego czwartego. Ironia losu, prawda?

Pojawił się barman z tacą, postawił przed każdym z nich filiżankę kawy

i kieliszek koniaku, po czym wycofał się. Vaughan jednym szybkim łykiem przełknął swoją porcję alkoholu.

— Powiedziałabym, że to trochę wczesna pora — skomentowała.

— Albo zbyt późna, *zależy od punktu widzenia*. Sięgnął po jej kieliszek, ale złapała go za rękę.

— Proszę...

W jego oczach pojawiło się coś jakby zdziwienie, ale po chwili zaśmiał się cicho.

— Zdecydowanie za późno, Maggie. Nie przeszkadza ci, że tak cię będę nazywał, prawda? Zaszło to o wiele za daleko, żeby coś tu próbować zmienić. Znasz ten wiersz Eliota, w którym mówi, że końcem naszego odkrywania jest dotarcie do miejsca, gdzie zaczęliśmy, i dostrzeżenie go po raz pierwszy?

— Tak.

— Nie miał racji. Końcem naszego odkrywania jest dostrzeżenie całego wysiłku, jaki to za sobą ciągnęło. Jedna wielka cholerna strata czasu.

Ponownie sięgnął po jej kieliszek, ale dziewczyna przewróciła go i siedziała wpatrując się w Vaughana z bardzo bladą twarzą.

— A to czego ma dowieść? — zapytał.

— Niczego — odparła. — Potraktuj to po prostu jako mądrą poradę lekarską. Westchnął.

— W porządku. Jeśli jesteś gotowa, to ruszajmy. Jestem pewien, że i tak nie

możesz się doczekać chwili, kiedy wrócisz na drugą stronę płotu.

Gdy ruszyli w kierunku mostu, odezwała się:

— Ciągłe mi nie ufasz, prawda?

— Niezbyt.

- 11 -

— Dlaczego?

— Bez żadnego szczególnego powodu. Może to instynkt. Lata złych nawyków.

— A jednak przewieziesz mnie na drugą stronę, bo ojciec Conlin poprosił cię o to... Nie rozumiem cię.

— Wiem. Skomplikowane, co?

Wziął ją za ramię i ruszyli przez most, głucho stukając butami o deski.

- 12 -

## 2.

Była druga w nocy we wtorek, gdy stara wojskowa ciężarówka załadowana rzepą wjechała na wzgórze przed wsią Neustadt. Jakies czterysta metrów dalej zjechała na pobocze, pod sosny.

Ojciec Conlin miał na sobie sztruksową kurtkę i czapkę z daszkiem, a wokół szyi przewiazaną brudną niebieską chustę. Jego towarzysz, kierowca ciężarówki, ubrany był w stary mundur. Aż prosił się o golenie.

— To jest tu, Karl, jesteś pewien? — spytał po niemiecku Conlin.

— Willa stoi kilkaset metrów stąd, na końcu starej drogi przez las, ojcie. Nie może jej ojciec przegapić, to jedyna willa tutaj — powiedział Karl.

— Rozejrzę się. Ty tu zaczekaj. Jeśli wszystko będzie w porządku, wrócę po ciebie za parę minut.

Odszedł, a Karl wyciągnął zza ucha papierosa i zapalił go. Siedział przez chwilę paląc, po czym wysiadł i stanął przy ciężarówce, żeby sobie ulżyć. Nie doszedł go żaden dźwięk, więc cios, który otrzymał w tył głowy, całkowicie go zaskoczył. Z cichym jękiem osunął się na ziemię i legł bez ruchu.

W jednym z okien willi widać było światło, gdyż zasłony były tylko częściowo zasunięte. Kiedy ojciec Conlin zbliżył się ostrożnie i zajrzał do środka, zobaczył Margaret Campbell, ubraną w sweter i luźne spodnie, siedzącą przed zapalonym kominkiem i czytającą książkę.

Zapukał w szybę. Podniosła oczy, a następnie podeszła do okna i wyjrzała.

Uśmiechnął się, ale ona nie odwzajemniła mu uśmiechu. Poszła do drzwi i otworzyła je.

Conlin wszedł w ciepło pokoju, otrząsając czapkę z deszczu.

— Dobra noc na taką wyprawę.

— Przyjechał ksiądz jednak — stwierdziła zdławionym głosem.

— Myślałaś, że nie przyjadę? — Grzał się przy ogniu i uśmiechał do niej. — Jak się ma twój ojciec?

— Nie wiem — powiedziała bezbarwnym głosem. — Nie widziałam go od tygodni. Nie pozwalają mi.

Wtedy zrozumiał oczywiście, zrozumiał wszystko.

— Och, moje biedne dziecko — powiedział, a w jego głosie była troska.

W bladoniebieskich oczach malowało się współczucie. — Co oni ci kazali zrobić?

Nagle zaskrzypiały drzwi od kuchni i powiew powietrza schłodził mu szyję.

Odwrócił się — w wejściu stał jakiś mężczyzna. Wysoki, wyglądający raczej dystyngowanie, o ciemnych siwiejących włosach i wyrazistych, ostrych rysach

- 13 -

twarzy — twarzy żołnierza. Miał na sobie ciężki płaszcz z futrzanym kołnierzem i palił cienkie krótkie cygaro.

— Dobry wieczór, ojcie Conlin — odezwał się po niemiecku. — Wie pan, kim jestem?

— Tak — odparł Conlin. — Helmut Klein. O ile wiem, korzystał pan kiedyś z wątpliwego zaszczytu bycia najmłodszym pułkownikiem Waffen SS.

— Zgadza się — przyznał Klein.

Z kuchni wynurzyło się dwóch mężczyzn w skórzanych płaszczach i stanęło przy Kleinie. W tym samym momencie otworzyły się drzwi na dwór i weszło dwóch Vopo uzbrojonych w pistolety maszynowe, a za nimi sierżant.

— Mamy kierowcę ciężarówki, proszę pana.

— Co, już nie „towarzyszu”? — zdziwił się ojciec Conlin. — To niezbyt

prawomyślnie z pana strony, pułkownika. — Odwrócił się do Margaret Campbell.

— Pułkownik Klein i ja jesteśmy starymi przeciwnikami. On jest dyrektorem Sekcji Piątej Drugiego Departamentu Służby Bezpieczeństwa Państwowego, która zajmuje się zwalczaniem organizacji do spraw uchodźców w Europie Zachodniej. W każdy możliwy sposób. Ale myślę, że wiesz o tym.

Oczy jej płonęły, twarz była bardzo blada. Zwróciła się do Kleina:

— Zrobiłam to, czego pan żądał. Czy mogę teraz zobaczyć się z moim ojcem?

— Obawiam się, że to niemożliwe — stwierdził spokojnie Klein. — Pani ojciec umarł w zeszłym miesiącu.

W pokoju zaległa cisza, a kiedy dziewczyna się w końcu odezwała, był to tylko szept:

— Ależ to nie może być prawda. Przecież po raz pierwszy przysłał pan po mnie zaledwie trzy tygodnie temu. Najpierw pan zaproponował, żebym... — Wpatrywała się w niego z wyrazem przerażenia na twarzy. — O Boże! On nie żył już, kiedy pan ze mną rozmawiał...

Ojciec Conlin chciał ją chwycić, ale odepchnęła go i rzuciła się na Kleina.

Niemiec uderzył ją i poleciała w róg pokoju. Leżała tam oszołomiona, a gdy Conlin spróbował podejść do niej, chwyciło go dwóch ludzi w skórzanych płaszczach. Vopo stanęli w pogotowiu.

— I co teraz? — spytał stary ksiądz.

— A czego się ojciec spodziewa, kijów i biczów? — odpowiedział pytaniem

Klein. — Nic z tych rzeczy. Mamy dla księdza rezerwację w Schloss Neustadt. Pełen komfort albo co innego — wybór należy do księdza. Zależy mi na przemianie

duchowej. Oczywiście jak najbardziej publicznej.

— W takim razie traci pan czas — stwierdził staruszek.

Z tyłu za nim trzasnęły drzwi — Margaret Campbell wybiegła w noc. Nie miała pojęcia, dokąd biegnie; po ogłuszającym uderzeniu Niemca jej umysł nie był w stanie się skoncentrować. Klein okłamał ją. Wykorzystał jej miłość do ojca.

Biegła przed siebie, brnąc w ciemność między drzewami i słysząc okrzyki ścigających ją ludzi z Vopo.

Przed nią była rzeka, której wody, wzburzone przez ulewę, przelewały się

- 14 -

przez groblę.

Jeden z Vopo wypuścił serię ze swojego automatu w jej kierunku. Krzyknęła.

Biegnąc jeszcze szybciej, z jedną ręką uniesioną dla ochrony przed gałęziami, potknęła się o jakąś kłodę i stoczyła ze stromego brzegu do rzeki.

Vopo przybyli prawie natychmiast i sierżant zapalił latarkę — zobaczył

Margaret wśród fal, ze wzniesioną rozpaczliwie ręką. Po chwili zniknęła pod wodą.

Minęła właśnie ósma następnego wieczoru, kiedy czarny mercedes limuzyna

zajechał

przed

wejście

do Ministerstwa

Bezpieczeństwa

Państwowego

na Normannenstrasse 22 w Berlinie Wschodnim. Z samochodu wysiadł Helmut

Klein i pospiesznie wszedł po schodach prowadzących do głównego wejścia. Miał



umówione spotkanie, prawdopodobnie najważniejsze spotkanie w całej swojej karierze — a już był spóźniony.

Sekcja Piąta mieściła się na trzecim piętrze. Kiedy wszedł do sekretariatu, jego sekretarka, Frau Apel, wstała zza biurka, bardzo podniecona.

— Przyszedł dziesięć minut temu — wyszeptała, zerkając nerwowo na trzech mężczyzn w ciemnych płaszczach, którzy stali przy wewnętrznych drzwiach.

Twarde, nieubłagane twarze ludzi — sądząc z wyglądu — zdolnych do wszystkiego.

Był też czwarty człowiek — siedział pod oknem i czytał jakiś magazyn. Niski, barczysty, o ciemnych włosach i szarych oczach, które sprawiały wrażenie przezroczystych. Lewy kąt jego ust uniesiony był w ironicznym półuśmiechu. Miał na sobie ciemny trencz.

Klein dał swój płaszcz Frau Apel i podszedł do człowieka pod oknem, wyciągając rękę.

— No, mamy go, Harry — odezwał się po angielsku. — Zagrało, tak jak powiedziałeś. Dziewczyna zrobiła dokładnie to, co jej kazałem.

— Spodziewałem się tego. — Głos barczystego człowieka był miękki i przyjemny, dobry bostoński amerykański. — Gdzie ona teraz jest?

— Nie żyje. — Klein wyjaśnił krótko, co się stało.

— Wielka szkoda — stwierdził mężczyzna. — Była dość ładna. Aha, jest tam ten twój człowiek. Prawie udało mi się dotknąć skraju jego płaszcza, kiedy tędy przechodził majestatycznym krokiem.

Klein rzucił okiem na goryli przy drzwiach i zniżył głos:

— Daruj sobie te uwagi. Kiedy cię zawołam, spróbuj się zachowywać.

Otworzył drzwi do swojego biura i wszedł. Barczysty mężczyzna włożył sobie

papierosa w kącik ust, ale nie kłopotał się zapalaniem go. Wstał ze swojego miejsca i podszedł do Frau Apel, która z jakiegoś powodu poczuła lekkie podniecenie.

— Niezła noc, co? — odezwał się po niemiecku.

— To może chwilę potrwać. — Zawahała się. — Może zrobiłabym panu filiżankę kawy, panie profesorze?

Uśmiechnął się.

— Nie, dziękuję. Siądę sobie z powrotem pod oknem i poczekam. Mam stamtąd wspaniały widok na pani nogi pod biurkiem. Jest pani naprawdę bardzo ekscytującą osobą. Czy ktoś to już kiedyś pani powiedział?

- 15 -

Wrócił do okna. Sekretarka siedziała z wyschniętym gardłem, nie mogąc wykrztusić słowa, a on wpatrywał się w nią swoimi szarymi, martwymi oczami, które nic nie zdradzały. Szybko sięgnęła po kartkę papieru. Gdy wkładała ją do maszyny, ręce jej drżały.

Kiedy Klein wszedł do swojego biura, człowiek siedzący za biurkiem podniósł głowę. Jego garnitur był konserwatywny, broda starannie przycięta, oczy za grubymi soczewkami pozornie łagodne. A przecież był to najpotężniejszy człowiek w NRD — Walter Ulbricht — przewodniczący Rady Państwa.

— Spóźniliście się — zauważył.

— Szczerze tego żałuję, towarzyszu przewodniczący — powiedział Klein. —

Wiele głównych dróg prowadzących do miasta z zachodu jest zalanych. Byliśmy zmuszeni jechać okrężną drogą.

— Szkoda czasu na tłumaczenia — rzucił niecierpliwie Ulbricht. — Macie go?

— Tak, towarzyszu.

Ulbricht nie okazał żadnego szczególnego uczucia.

— Rano lecę do Moskwy i ponieważ nie będzie mnie co najmniej tydzień, chcę dopilnować, żeby ta sprawa była już całkowicie w toku. Ten człowiek, którego wybraliście do wykonania tego zadania, ten Amerykanin, van Buren... Jest tutaj?

— Czeka w sekretariacie.

— I wierzycie, że on może to zrobić?

Klein otworzył swój neseser i wyjął jakąś teczkę, którą położył na biurku przed Ulbrichtem.

— Jego osobiste akta. Może zechciałby pan rzucić . na to okiem, zanim go pan zobaczy, towarzyszu. Myślę, że to mówi samo za siebie.

— Dobrze. — Poprawiwszy okulary, Ulbricht otworzył teczkę i zaczął czytać.

W początkach roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego senator Joseph McCarthy oznajmił, że posiada dowody, iż wielu pracowników amerykańskiego Departamentu Stanu jest komunistami. Arthur van Buren, profesor filozofii moralnej na uniwersytecie Columbia, był na tyle nierozsądny, że napisał parę listów do „New York Timesa”, w których sugerował, że w owych czasach nowego rozwoju w Ameryce rozsiewane są nasiona faszyzmu.

I tak jak inni został wezwany do Waszyngtonu, żeby stanąć przed podkomisją Senatu. Było to największe polowanie na czarownice, jakie ten kraj kiedykolwiek widział. Wyszedł z tego całkowicie skompromitowany, napiętnowany w oczach świata mianem komunisty, ze zrujnowaną karierą. W marcu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku popełnił samobójstwo.

Harry van Buren był jego jedynym synem, wówczas dwudziestoczteroletnim.

Skończył psychologię w Columbia, prowadził badania w zakresie psychologii

eksperymentalnej w Guy's Hospital w Londynie i doktoryzował się na Uniwersytecie Londyńskim w lutym tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego.

Dojechał do domu na czas, by zdążyć na pogrzeb ojca. Właściwie nie bardzo wiedział, jak ma zareagować na to wszystko. Jego matka zmarła, kiedy miał pięć lat. Brat ojca prowadził interes narzędzi mechanicznych i był prawie milionerem,

- 16 -

ciotka Mary wyszła za właściciela czterdziestu siedmiu hoteli. Wydawali się wierzyć, że senator z Wisconsin miał rację. Że jego ojciec rzeczywiście był „czerwonym”.

Do Harry'ego należało przywrócenie honoru rodzinie, co zrobił wstępując do oddziałów *marines* w momencie wybuchu wojny koreańskiej.

Było to oczywiście zachowanie bezsensowne. Jako psycholog z zawodu, dostrzegał ten bezsens wyraźnie. Mimo to brnął dalej, kłamiąc w kwestionariuszu poborowego na temat swojego wykształcenia. Wynikało to z potrzeby — jak sobie tłumaczył — odpokutowania jakiejś winy.

Kiedy znalazł się w wojsku, dawał z siebie wszystko, doglądał rannych i cierpliwie znosił bliską obecność brutalnych i ordynarnych towarzyszy. Zamknął się wtedy w sobie, pełen pogardy dla wszystkich, którzy go otaczali.

A potem przyszła sama Korea. Koszmar głupoty i niemożności. Zima tak mroźna, że jeśli M-1 był zbyt naoliwiony, zamarzał. Granaty nie wybuchały, a osłony chłodzących wodą cekaemów musiały być napełniane płynem przeciwwzamazalnym.

W listopadzie tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego znalazł się w Pierwszej Dywizji Piechoty Morskiej zmierzającej na północ do Kotori, by zakończyć wojnę jednym śmiałym uderzeniem, jak zamierzał generał Douglas MacArthur. Tyle że armia chińska miała inne pomysły i *marines* weszli prosto w pułapkę nad Wybranym

Zbiornikiem, pułapkę, która doprowadziła do największego odwrotu w historii wojny.

Przez jakiś czas grał swoją rolę razem z innymi, którzy walczyli i umierali wokół niego. Zabijał Chińczyków kulami i bagnetem, oddawał mocz na mechanizm spustowy swego karabinu, gdy ten zamarzał, i zataczając się szedł z odmrożeniem na lewej stopie i kulą w prawym ramieniu. A kiedy w końcu pewnego mglistego poranka obudziło go kopnięcie w bok, z pewną ulgą spojrział w chińską twarz.

To właśnie w obozie w Mandżurii, po pierwszym miesiącu pracy w kopalni, zdecydował, że ma już dość. Okazję stworzyły mu zajęcia indoktrynacyjne. Główny instruktor mówił zupełnie bez ogródek. Łatwo było temu nie zaprzeczać, tylko popierać. Po kilku dniach takiego „wychowywania” van Buren został wysłany na specjalne przesłuchanie, w czasie którego dokonał pełnej i szczerej spowiedzi na temat swojej przeszłości.

Wykorzystywano go najpierw do „misjonarskiej” pracy wśród współwięźniów. Później zwrócił na niego uwagę słynny chiński psycholog z uniwersytetu w Pekinie, Ping Chow, który w owym czasie przeprowadzał specjalne badania dotyczące wzorców zachowań amerykańskich jeńców wojennych. Ping Chow był wyznawcą teorii Pawłowa i jego prace nad uwarunkowaniami ludzkich zachowań były już sławne na cały świat.

Z van Burenem natychmiast znalazł wspólny język. W konsekwencji tego Amerykanin przeniósł się do Pekinu, by prowadzić badania na wydziale psychologii uniwersytetu. Nie było już mowy o jakimkolwiek powrocie do Stanów.

Dosyć szybko zarówno Pentagon, jak i Departament Stanu, dowiedziały się o jego „wypłynięciu”, jednak z oczywistych powodów milczały na ten temat, toteż

Harry nadal pozostawał na liście „zaginionych w Korei, prawdopodobnie

- 17 -

martwych”.

W roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym był już ekspertem od „usprawniania myśli” i w wyniku specjalnego porozumienia przeniósł się do Moskwy, by wyklądać na tamtejszym uniwersytecie. Do roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego jego sława w dziedzinie, którą prasa potocznie nazywała „praniem mózgów”, była już niemal legendarna. W żadnym z krajów zza Żelaznej Kurtyny nie było wydziału bezpieczeństwa, który nie korzystałby z jego usług.

I wtedy, w kwietniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego, w trakcie wykładów na Uniwersytecie Drezdeńskim w NRD, odwiedził go Helmut Klein, szef Sekcji Piątej Służby Bezpieczeństwa Państwowego.

Walter Ulbricht zamknął akta i podniósł głowę.

— Jest w tym wszystkim jeden słaby punkt — zauważył.

— Co mianowicie, towarzyszu przewodniczący?

— Profesor van Buren nie jest i nigdy nie był komunistą.

— Zgadzam się całkowicie — stwierdził Klein. — Ale dla nas jest kimś o wiele ważniejszym — oddanym naukowcem. To człowiek opętany przez swoją pracę w stopniu zdumiewającym. Absolutnie wierzę w jego zdolność wykonania zadania, które mu powierzamy.

— Bardzo dobrze — rzucił Ulbricht. — Wprowadźcie go.

Klein otworzył drzwi i zawołał:

— Harry, chodź, proszę!

Van Buren wszedł z rękoma w kieszeniach płaszcza i stanął przed biurkiem

z tym swoim lekkim, kpiącym uśmieszkiem na ustach.

— Coś pana bawi? — spytał Ulbricht.

— Głęboko żałuję, towarzyszu przewodniczący — odezwał się van Buren — ale ten uśmiech jest poza moją kontrolą. Bagnet w twarz w Kotori, w Korei, zimną tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego, kiedy służyłem w amerykańskich *marines*. Osiem szwów, bardzo kiepsko założonych przez sanitariusza, który zresztą starał się, jak mógł. Została mi po tym wieczna wesołość.

— Sprawa tego Conlina — rzucił niecierpliwie Ulbricht. — Rozumie pan jej implikacje?

— Wyjaśniono mi je.

— Pozwolę sobie odświeżyć pana pamięć. Conlin, jak pan wie, był przy Niemollerze. W opozycji do Hitlera. Poszedł za to do Dachau.

— I przeżył — stwierdził van Buren. — Co znaczy, że musi być niezwykłym człowiekiem. Przyjrzałem mu się. Na jego procesie w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym hitlerowcy dowiedli, że jego organizacja w ciągu dwóch lat pomogła uciec z Niemiec sześciu tysiącom Żydów. Dwa lata temu Izrael nadał mu honorowe obywatelstwo.

— Nic z tego nie jest istotne dla sprawy — powiedział Ulbricht. — Mamy sytuację, w której tysiące wykolejonych towarzyszy uparcie próbuje uciec do RFN. W większości muszą oni polegać na pomocy organizacji z tamtej strony, działających dla korzyści czysto finansowych.

- 18 -

— Albo próbować u Conlina?

— Otóż to. Ta jego Liga Zmartwychwstania niczego nie żąda za swoją pomoc.

— To bardzo miłosiernie z ich strony.

— Co niestety robi wspaniałą reklamę — odezwał się Klein. — Conlin znowu stał się sławny. Zaledwie cztery miesiące temu znalazł się na okładce amerykańskiego pisma „Life”. W zeszłym roku zgłoszono jego kandydaturę do Pokojowej Nagrody Nobla, ale musiał ją odrzucić, gdyż Kościół nie popierał tego.

— To chyba musiało być pierwszy raz od lat, kiedy w ogóle zwrócił uwagę na Watykan — skomentował van Buren.

— Wie pan, że prezydent Kennedy w przyszłym miesiącu składa wizytę w Berlinie? — spytał Ulbricht.

— Słyszałem.

Ulbricht wyraźnie zaczął okazywać zniecierpliwienie. Zdjął okulary i wytarł je energicznie. Był oddanym sprawie komunistą starej daty. Udało mu się powstrzymać, przynajmniej w NRD, ruch destalinizacji, który ogarnął Europę Wschodnią po śmierci rosyjskiego dyktatora. Nikogo nie darzył większą nienawiścią, niż obecnego prezydenta USA, zwłaszcza od czasu jego triumfu w kryzysie kubańskim.

— Gdyby na publicznym procesie można było dowieść, że poczynania księdza Conlina były motywowane nie tyle przez ideały chrześcijańskie, ile polityczne...

Gdyby można było go zmusić do wyjawienia przed światem związków z CIA i jej szpiegowskiej działalności skierowanej przeciw naszej republice, miałyby to absolutnie fatalny wpływ na wizytę Kennedy'ego w Berlinie. Właściwie uczyniłoby ją całkowicie bezwartościową jako gest dyplomatyczny.

— Rozumiem.

— Na miłość boską, profesorze — wybuchnął Ulbricht. — Szczury w klatkach,



psy śliniące się na dźwięk dzwonka... wiem tyle o psychologii Pawłowa co każdy, ale czy naprawdę może pan zmienić człowieka? Sprawić, by zachowywał się jak ktoś zupełnie inny, ponieważ właśnie tego potrzebujemy? Stworzyć Conlina, który by stanął przed kamerami świata i dobrowolnie przyznał, że jest politycznym agentem pracującym dla zachodnich rządów?

— Towarzyszu — powiedział szorstko Harry van Buren. — Mając dosyć czasu mógłbym sprawić, że sam szatan by uwierzył, iż jest Chrystusem stąpającym po wodzie.

— Tego jednak właśnie nie mamy — wtrącił się Klein. — Problem córki Campbella rozwiązał się sam, ale będą inne. Współpracownicy Conlina z tej jego Ligi Zmartwychwstania w ciągu kilku dni zdadzą sobie sprawę, że stało się coś niedobrego. — Zawahał się, po czym powiedział ostrożnie do Ulbrichta: — A poza tym, towarzyszu, w naszych własnych szeregach także są jeszcze zdrajcy...

— Wiem o tym, nie jestem głupcem — zniecierpliwiał się Ulbricht. — Mówicie, że na Zachodzie są tacy, którzy odkryją, co się stało i będą próbowali coś z tym zrobić. — Pokręcił głową. — Nie oficjalnie, wierzcie mi. Amerykanom bardzo w tej chwili zależy na poprawie stosunków z Rosją, a próby papieża Jana XXIII, by dojść

- 19 -

do porozumienia z blokiem wschodnim, mówią same za siebie. A poza tym, co oni mogą powiedzieć? Conlin po prostu przestał istnieć. W końcu, przede wszystkim, nie powinno go być tutaj, prawda?

— Oczywiście, towarzyszu — przytaknął Klein.

— Mam pełne zaufanie do waszych zdolności. Poradzicie sobie łatwo i z tym problemem, pułkowniku.

Minęła chwila ciszy. Ulbricht poprawił okulary i odezwał się do van Burena:

— Ma pan miesiąc. Tyle zostało do wizyty Kennedy'ego. Macie te papiery, pułkownika Klein?

Klein natychmiast wyjął plik dokumentów i położył przed Ulbrichtem, który, wyjąwszy pióro, podpisywał je jeden po drugim.

— Dają one panu pełną władzę, cywilną i wojskową, w rejonie Neustadt, gdzie w zamku jest trzymany Conlin. Władza nad życiem i śmiercią, całkowita i absolutna, towarzyszu. Niech pan z niej mądrze korzysta.

Van Buren bez słowa wziął od niego papiery, a gdy Ulbricht wstał, Klein podszedł do niego z płaszczem. Pomógł mu go założyć i odprowadził do drzwi.

Ulbricht odwrócił się i spojrzał na nich.

— Gdy byłem chłopcem, matka bardzo lubiła czytać mi Biblię. „Dobrze, sługo dobry i wierny...” — to zdanie pamiętam szczególnie dokładnie. Rada Państwa podobnie traktuje tych, którzy odnoszą sukcesy, ale w przypadku porażek...

Nałożył kapelusz i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Klein odwrócił się do van Burena.

— A więc, przyjacielu, zaczyna się.

### 3.

Dla Margaret Campbell ponowne narodziny były koszmarem. Koszmarem duszenia się, paralizującego zimna, a potem długiej ciemności, z której wynurzyła się w końcu, by zobaczyć siwowłosego mężczyznę w średnim wieku. Ubrany był w brązowy habit, przewiązany w pasie sznurem z węzełkami, z którego zwisał duży krzyż.

W ustach miała tak sucho, że nie była w stanie mówić. Podłożył jej rękę pod głowę i przechylił szklanę do ust.

— Powoli — odezwał się po niemiecku.

Odkaszlnęła lekko i spytała ochryplym głosem:

— Kim pan jest?

— Brat Konrad, z Franciszkańskiego Zakonu Jezusa i Marii, jest pani w naszym domu w Neustadt.

— Jak się tu znalazłam?

— Jeden z naszych braci znalazł panią dziś rano na grobli, leżącą w poprzek jakiegoś pnia. Elba wylała z powodu ulewnych deszczów.

Spróbowała się poruszyć i poczuła rozdzierający ból w lewej nodze. Jej ręka instynktownie powędrowała do tego miejsca, znajdując grube bandaże.

— Złamana?

— Myślę, że nie. Ale bardzo brzydko zwichnięta. Naderwany mięsień udowy.

— Wydaje się brat być bardzo pewny swojej diagnozy.

— Mam trochę doświadczenia w tych sprawach, Fraulein. W czasie wojny służyłem jako ochotnik w Korpusie Medycznym, głównie na froncie rosyjskim.

Niestety najbliższy lekarz jest w Stendal, ale jeśli uważa pani to za konieczne...

— Nie — powiedziała. — Najbliższy lekarz jest tutaj.

— Rozumiem. — Spokojnie pokiwał głową. — Chociaż nasz Pan powiedział:

„lekarzu, ulecz sam siebie”, nie jest to najłatwiejszy nakaz do wykonania.

— Wygląda na to, że jestem w waszych rękach.

— Otóż to. — Dał jej jakieś dwie białe tabletki i szklanę wody. Niech pani to weźmie, złagodzi ból. — Poprawił poduszkę pod jej głową, żeby było jej wygodniej.

— Teraz proszę spać. Porozmawiamy jeszcze później, Fraulein...?

— Campbell — powiedziała. — Margaret Campbell.

— Czy jest ktoś, kogo mógłbym powiadomić, że jest pani bezpieczna?

— Nie.— Opadła na poduszkę, wpatrując się w sufit. — Nie ma nikogo takiego.

Zbliżał się wieczór. Leżała właśnie całkowicie rozbudzona z głową przechyloną na bok, usiłując wyrzeć ponad parapetem, okna, kiedy wszedł brat Konrad. Położył

- 21 -

jej dłoń na czole.

— Lepiej — powiedział. — Gorączka opadła. To cud, jeśli się pomyśli o tym, ile czasu była pani w wodzie.

Twarz miał pełną siły, twardą, ascetyczną, emanującą spokojem, który tak bardzo był jej teraz potrzebny.

— Towarzystwo Jezusa i Marii? — spytała i przypomniała sobie pierwsze spotkanie z Conlinem. — Jesteście luteranami, prawda?

— Zgadza się — odparł. — Nasz ruch zaczął się w Anglii w ostatnich latach ubiegłego wieku. W tamtym czasie istniało wielkie zainteresowanie działalnością świętego Franciszka i pragnienie kontynuowania jego misji w ramach Kościoła anglikańskiego.

— A skąd się wzięliście w Neustadt?

— Pewna dama o nazwisku Marchant wyszła za grafa von Falkenberga, największego właściciela ziemskiego w tych stronach. Po śmierci męża oddała Schloss Neustadt zakonowi. Przybyli tu w tysiąc dziewięćset piątym, prowadzeni przez brata Andrzeja, Szkota. Było wtedy dwunastu mnichów — tak jak apostołów — i osiem zakonnice.

— Zakonnice? — powtórzyła głucho. — Są tu zakonnice?

— Teraz już nie.

— Ale to nie jest Schloss Neustadt — stwierdziła. — To niemożliwe.

Uśmiechnął się.

— Usunięto nas z zamku w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym. Przez jakiś czas wojsko używało go jako kwatery lokalnego dowództwa, a pod koniec wojny służył do przetrzymywania znaczniejszych więźniów.

— A potem?

— Państwo nie znalazło dla zamku żadnego konkretnego użytku, ale z drugiej strony nie okazało też nigdy specjalnej chęci oddania go. Ten dom, w którym mieszkamy od kilku lat, nazywa się Domową Farmą. Jeśli uniesie się pani na poduszkach, zobaczy pani rzekę i Schloss na wzgórzu.

Usiadł przy niej, obejmując ją ramieniem. Ujrzała ładny ogród otoczony wysokim murem i cmentarz po drugiej stronie. Na prawo, pomiędzy drzewami, płynęła Elba — wezbrany, brązowy wylew. Dalej, na wzgórzu nad wioską, stał otoczony masywnymi murami Schloss Neustadt. Jego spiczaste wieże wyłaniały się z lekkiej mgły, a droga dojazdowa pięła się zygzakami po zboczu w kierunku wielkiej bramy prowadzącej do tunelu, który stanowił wjazd.

Otworzyły się drzwi i wszedł inny mężczyzna w średnim wieku niosąc tacę.

— A to — oznajmił Konrad — jest brat Florian, który wyłowił panią z rzeki.

Florian z uśmiechem położył jej tacę na kolanach. Była tam zupa w drewnianej miseczce, czarny chleb i mleko. Dotknęła jego rękawa. Uśmiechnął się ponownie i wyszedł bez słowa.

— Nie może mówić — wyjaśnił Konrad. — Miesiąc temu złożył śluby milczenia.

Spróbowała zupy i stwierdziła, że jest doskonała.

- 22 -

— Co się stało z zakonnicami? — spytała. Twarz mu spoważniała, a w oczach pojawiło się coś zbliżonego do bólu.

— Wyjechały. Ostatnia jakieś dwa lata temu. Razem ze mną jest nas tu teraz tylko sześciu. Myślę, że za rok nikogo już nie będzie, jeśli władze postawią na swoim.

— Nie rozumiem. Przecież w konstytucji wyraźnie jest powiedziane, że nikomu nie będzie się przeszkadzało w praktykowaniu jakiejkolwiek religii.

— To prawda. Najmłodszy z nas, Franz, wstąpił do naszego zakonu zaledwie pół roku temu pomimo różnorodnych przeszkód, jakie urzędy próbowały stawiać na jego drodze. Czy jest pani chrześcijanką, Fraulein Campbell?

— Nie — odparła. — Jak się nad tym dobrze zastanowić, to chyba nie należę do żadnego Kościoła.

— Państwo jest trochę mniej jednoznaczne. Prawo swobodnego wyznawania religii jest, jak pani słusznie powiedziała, wyraźnie zawarte w konstytucji. Mimo to sam Walter Ulbricht wielokrotnie w swoich przemówieniach oświadczał narodowi,

że należenie do Kościoła nie daje się pogodzić z przynależnością do partii.

— Ale konstytucja pozostaje konstytucją. Co mogą zrobić?

— Zapewnić usługi państwowe zamiast chrześcijańskich. Ślub, chrzest, pogrzeb... o wszystko zadbano. Chodzenie do kościoła to wyparcie się państwa.

Dlatego od pięciu lat nie ma tu księdza i dlatego też na tym od wieków katolickim terenie drzwi kościoła pozostają zaryglowane.

W jej umyśle kotłowało się. Nigdy nie interesowała się religią. W domu nie było na nią miejsca, gdyż ojciec przez większą część swego dorosłego życia był ateistą. Jej wychowanie przebiegało zgodnie z trybem przewidzianym dla dzieci wszystkich ważnych osobistości socjalistycznej Republiki Demokratycznej. Uprzywilejowane szkoły i otwarta droga na uniwersytet. Prywatny, zamknięty świat, w którym wszystko było uporządkowane i doskonałe. To, co mówił brat Konrad, było dla niej nowe i trudne do przyjęcia.

— Dlaczego zakonnice odeszły? — spytała.

— W „Neues Deutschland” ukazał się artykuł dający do zrozumienia, że takie zakony jak nasz są niemoralne. Że niby w stawach przy klasztorach znajduje się ciała noworodków. Tego typu bzdury. Następnie władze medyczne rozpoczęły miesięczne inspekcje w celu wykrycia chorób wenerycznych. — Uśmiechnął się smutno. — Trzeba wielkiej siły woli, aby wytrzymać taki ciągły nacisk. Siostry naszego zakonu, jedna po drugiej, poddawały się i wracały do świeckiego życia, podobnie jak większość braci.

— Ale wy zostaliście pomimo tego wszystkiego. Niewielka garstka. Dlaczego? Westchnął.

— Trudno to wytłumaczyć. — Po chwili uśmiechnął się. — Ale może mógłbym

to pani pokazać.

Przyciągnął stary wózek inwalidzki, zarzucił jej szlafrok na ramiona i powiózł przez wyłożony kamieniami korytarz na podwórko, zatrzymując się tylko po to, by otworzyć dębowe drzwi po drugiej stronie.

- 23 -

Było to jak zanurzenie się w chłodną wodę. Malutka prosta kaplica bez żadnych siedzeń. Pobielone ściany, drewniana figura świętego Franciszka, najprostszy ołtarz z metalowym krzyżem i małe różowe okienko, przez które wpadało wieczorne światło, zabarwiając całe pomieszczenie.

— Dla mnie — powiedział Konrad — samo przebywanie tutaj jest radością, gdyż w tym miejscu najlepiej widzę siebie takiego, jakim naprawdę jestem, i tutaj też najbardziej czuję nieskończone miłosierdzie i miłość Boga. A to, panienko, daje mi w życiu radość.

Kiedy tak siedziała, wpatrując się w różowe okienko, podjęła decyzję.

— Czy słyszał brat kiedyś o Lidze Zmartwychwstania?

— Dlaczego pani pyta?

— Czy brat ze swymi przyjaciółmi kiedykolwiek brał udział w jej pracy?

— Jesteśmy zakonem zamkniętym — powiedział poważnie. — Tym, do czego dążymy, jest życie kontemplacyjne.

— Ale zna brat działalność ojca Seana Conlina?

— Tak.

— I pochwała ją?

— Tak.

Okręciła się, by spojrzeć mu w twarz.



— On teraz jest tam, na górze, w Schloss Neustadt. Koszmar Dachau

od początku, a wszystko to moja wina.

Z powodu otwartego okna w sypialni było zimno, ale jej twarz była rozgrzana, płonąca jakby w nawrocie gorączki, i wieczorny wietrzyk chłodził ją nieco. Siedziała w wózku, kręcąc się niespokojnie. Po chwili drzwi otworzyły się i wszedł brat Konrad z kieliszkiem w ręku.

— Koniak — powiedział. — Niech pani to wypije, poczuje się pani lepiej. —

Przysunął do siebie wózek. — A teraz niech mi pani opowie więcej o tym amerykańskim profesorze van Buren.

— Poznałam go w Dreźnie, jakieś półtora roku temu. Kończyłam właśnie studia medyczne, a on prowadził wykłady z parapsychologii, którą się marginalnie zajmuję. Nie omieszkał odwiedzić mojego ojca. Mówił, że zawsze podziwiał jego pracę. Bardzo się zaprzyjaźnili. Załatwił mi nawet posadę na własnym wydziale, w Instytucie Badań Psychologicznych. Wspomniała okazja... a w każdym razie tak mi się wtedy wydawało.

— Nie podobała się pani ta praca?

— Niezbyt. Harry van Buren to wyjątkowy człowiek — z pewnością najbardziej błyskotliwy intelekt, z jakim kiedykolwiek się zetknęłam. Wydaje mi się jednak, że ma pewną fatalną wadę. Do tego stopnia ma obsesję na punkcie swojej dziedziny, że istoty ludzkie schodzą na drugi plan. W Instytucie widziałam, jak manipuluje ludźmi, zupełnie ich zmienia. O tak, niektórym pomagał w sposób wręcz cudowny. Ale inni...

— A więc... zdradził panią? — zapytał łagodnie Konrad.

— Mój ojciec był bardzo chory — ostatnie stadium raka płuc. Wiele tygodni

temu wzięli go do szpitala... nie pamiętam dokładnej daty. Powiedzieli mi, że inspektor medyczny chce się ze mną zobaczyć. Gdy wprowadzili mnie do jego biura, ujrzałam Harry'ego i pułkownika Kleina z Bezpieczeństwa Państwowego.

— Co się wtedy stało?

— Pułkownik Klein powiedział mi, że radioterapia konieczna do utrzymania mojego ojca przy życiu jest kosztowna i że trzeba sprowadzić inny sprzęt. Zazwyczaj pozostawia się takie przypadki ich własnemu losowi, ale jeśli zrobię, co mi każą, to może będą w stanie uczynić wyjątek.

— Chodziło o sprowokowanie Conlina do przekroczenia granicy?

Skinęła głową.

— Harry w najdrobniejszych szczegółach wyjaśnił, dlaczego jest to konieczne.

Powiedział, jak można sprawić, żeby ojciec Conlin stanął przed światem i powiedział dokładnie to, co mu się każe. Harry mówił, że to bardzo ważne, bo Conlin jest wrogiem państwa. Że on i jego organizacja są zaangażowani w szpiegostwo.

— I pani mu uwierzyła?

— Myślałam jedynie o ojcu.

— Szczera odpowiedź.

— Harry nazywa swoją technikę reformą myśli — ciągnęła dalej. — To działa.

Ojciec Conlin będzie zaprzeczał wszystkiemu, w co kiedykolwiek wierzył, zanim z nim skończą.

Nastąpiła dłuższa pauza, po czym brat Konrad znów się odezwał:

— A co by pani chciała, żebym ja zrobił?

— Kiedy przerzucali mnie na drugą stronę, korzystali z człowieka z Berlina

Wschodniego o nazwisku Schmidt, który specjalizuje się w tych sprawach. Klein powiedział, że pozwolili mu na tę działalność, bo służy to też ich celom. Czasem przekazują na drugą stronę agentów udających uciekinierów. Tego typu rzeczy.

— To ma sens. I kazali panią śledzić?

— Tak. Człowiek SSD. Ten, który zajmował się samym przerzutem, był

Anglikiem — jakiś major Vaughan. Razem ze swoim partnerem prowadzi przedsiębiorstwo pogrzebowe na Rehdenstrasse w Strefie Zachodniej. Julius Meyer i Spółka.

— Myśli pani, że on będzie mógł pomóc?

— Być może. Tylko on odgadł, że kłamałam. Czy to nie zadziwiające?

W tym momencie załamała się i szloch wstrząsnął jej ciałem. Konrad położył rękę na jej ramieniu, po czym odwrócił się i wyszedł. Zatrzymał się na chwilę marszcząc brwi, a następnie, przeszedłszy na koniec korytarza, otworzył drzwi prowadzące na podwórko znajdujące się na tyłach głównego budynku. Rozlegało się tam monotonne brzęczenie krowich dzwonków, gdyż małe stadko było właśnie spędzane z łąki przez brata Urbana — słabowitego staruszka o siwych włosach, w worku na ramionach.

Brat Konrad otworzył mu główne wrota obory.

— Powiedz mi — odezwał się — o której godzinie Franz dostarcza mleko do gospody?

- 25 -

— O siódmej trzydzieści, bracie — odparł starzec.

— A Berg z zamku? O której odbiera mleko? Wiesz?

— Zwykle czeka już w gospodzie, gdy Franz tam dojeżdża.

— Dobrze. — Brat Konrad skinął głową. — Jak zobaczysz Franza, powiedz mu, że rano ja wezmę mleko.

Poczuł się dziwnie wesoły. Klepnął ostatnią krowę w kościsty zad, na co wszystkie, pobrzękując dzwonkami, rzuciły się ku wejściu do obory.

Margaret Campbell stała w swojej sypialni przy otwartym oknie, niezgrabnie opierając cały ciężar ciała na jednej nodze i wychylając się nad parapetem, by ochłodzić rozpaloną twarz. Zapadł już zmrok, ale ciągle jeszcze mogła odróżnić ciemniejszą masę Schloss Neustadt na tle wieczornego nieba.

Paliło się tam na górze jakieś światło, migocąc słabo w coraz to innym oknie, jak gdyby ktoś szedł korytarzem. Nagle zgasło. Pomyślała o Conlinie, uwięzionym tam w ciemnościach, i poczuła strach.

Klein oddał do dyspozycji van Burena służbowego mercedesa z czasów wojny.

Wóz był w doskonałym stanie i łatwy w prowadzeniu, toteż, pomimo słabej widoczności pod wieczór, półtoragodzinna jazda z Berlina była przyjemnością.

Miał czas pomyśleć o czekającym go zadaniu, zresztą i tak lubił samotność.

Zawsze tak było. Widz, a nie uczestnik. W ten sposób można było lepiej przyjrzeć się sytuacji. Obliczyć siły przeciwnika. W tym przypadku oznaczało to Conlina.

Gdy dotarł do Neustadt, było już prawie ciemno. W oknach domów paliły się światła, zamek jednak tonął w mroku. Pojechał w górę po drodze dojazdowej, ostrożnie biorąc zakręty. U wjazdu do tunelu stał ukryty przed deszczem wartownik.

Van Buren pokazał przez okno swoją legitymację.

— Oczekuje mnie kapitan Sussmann.

Vopo w świetle latarki przyjrzał się karcie i skinął głową.

— Prosto, na główny dziedziniec. Zadzwoń i powiem mu, że pan jedzie.

Van Buren ruszył przez tunel. Na końcu była bariera i jeszcze jeden wartownik, który sprawdził jego legitymację, zanim podniósł szlaban i przepuścił go. Wyglądało na to, że bardzo dbano tu o bezpieczeństwo.

Przejechawszy przez wewnętrzny dziedziniec, zatrzymał się u stóp szerokich kamiennych schodów prowadzących do masywnych drewnianych drzwi, teraz otwartych. Niewielka grupka Vopo czekała, by go powitać: dwóch szeregowców trzymających latarnie, sierżant i jakiś młody człowiek w mundurze z naszywkami kapitana.

Gdy van Buren wysiadł z samochodu, kapitan zasalutował.

— To przyjemność poznać pana, Herr Professor. Jestem Hans Sussmann. —

Skinął głową w stronę sierżanta, potężnego mężczyzny o brutalnym wyglądzie. —

A to Becker.

Van Buren spojrział na ciemny masyw zamku.

— Co tu się dzieje?

— Mamy tu własną siłownię z czasów, gdy była tu kwatera główna wojska.

Prądnica trochę nawala. Nic poważnego. Pracuje nad nią właśnie kilku elektryków.

- 26 -

Van Buren wyciągnął papierosa ze skórzanej papierošnicy. Sussmann podał mu ogień.

— Dostaliście rozkazy od pułkownika Kleina? — spytał Amerykanin. —

Wiecie, o co tu chodzi?

— Tak, oczywiście.

— Ilu macie ludzi?

— Dwudziestu. Wszyscy specjalnie dobrani.

— W porządku. Wejdźmy.

Hol, z dużymi marmurowymi schodami ginącymi w ciemności, robił wrażenie.

Na środku, na stole, stał srebrny kandelabr z półtuzinem płonących świec. Obok stał krępy mężczyzna. Jego ciemna broda zaczynała już siwieć, włosy były poplątane, a stara tweedowa marynarka miała cery na łokciach.

— To jest Berg — oznajmił Sussmann. — Dozorca. Od wojny nikt tu nie przebywał w celach oficjalnych.

Van Buren zwrócił się do Berga.

— Rozmawialiśmy przez telefon. Zrobiłeś, co kazałem?

— Tak, Herr Professor.

— Dobrze... teraz zobaczę Conlina.

Sussmann skinął na Berga, który wziął kandelabr i poprowadził przybysza po marmurowych schodach.

— Jak wygląda sytuacja we wsi? — spytał van Buren, gdy szli za dozorcą.

— Ludność — sto pięćdziesiąt trzy osoby — to głównie robotnicy rolni.

Sołtysem jest miejscowy karczmarz, Georg Ehrlich. Szwagier Berga. Nigdy nie było tu żadnych kłopotów — z niczyjej strony. A, prawda, w starej farmie u stóp wzgórza nad rzeką mieszka jeszcze garstka mnichów.

— Wielkie nieba! — wykrzyknął van Buren, autentycznie zdumiony.

— Franciszkanie. Berg mówi, że zaopatrują wioskę w mleko.

Szli właśnie górnym korytarzem i światło z kandelabra w ręku Berga rzucało cienie na ściany. Na końcu przed jakimiś drzwiami stało dwóch strażników.

Sussmann otworzył je.

— Najpierw zobaczę go sam — oznajmił van Buren.

— Jak pan sobie życzy, Herr Professor.

Sussmann otworzył mu drzwi. Van Buren wziął od Berga kandelabr i wszedł.

Conlin leżał skulony na skraju łóżka, mając ręce przykute kajdankami do jednej z jego nóg. Podniósł wzrok, mrużąc oczy w nagłym świetle. Van Buren podszedł i popatrzył na niego, trzymając świecznik nad głową. Postawiwszy go następnie ostrożnie na podłodze przykucnął, wyjął papierosa i przypalił go.

— Wiem, że pan dużo pali.

— To prawda.

Van Buren włożył papierosa w usta starego księdza.

— Niech pan się nim nacieszy. Musi panu wystarczyć na długo. Jestem Harry van Buren. Czy mówi to panu coś?

— O, tak — odparł cicho stary człowiek. — Reforma myśli to ciekawy koncept.

- 27 -

— Wie pan więc, czego się spodziewać.

— Tracisz czas, chłopcze. — Conlin uśmiechnął się. — Pracowali już nade mną inni eksperci.

— Tak się tylko panu wydaje — stwierdził van Buren. Wyjął papierosa z ust księdza i podszedł do drzwi. Otworzywszy je, wręczył kandelabr Bergowi i odezwał się do Sussmanna: — Weźmiemy go teraz na dół.

Na tyłach głównych schodów wielkiego holu znajdowały się dębowe drzwi, które prowadziły do niższych partii zamku.

Otwierając je Berg powiedział:

— Jak wyjaśniłem panu przez telefon, Herr Professor, są tu trzy poziomy pochodzące z czternastego wieku.

Ruszyli w dół po długich kamiennych schodach i dalej tunelem opadającym w ciemność. Prowadził Berg z latarnią, za nim szli van Buren i Sussmann, a na końcu Conlin między dwoma Vopo. Pochód zamykał Becker.

Aby dotrzeć do najniższego poziomu, Berg dwukrotnie musiał otwierać jakieś drzwi. Zrobiło się bardzo zimno i wilgotno. W końcu zatrzymał się przy drzwiach obitych żelazem. Korytarz biegł dalej i nikał w mroku.

— Dokąd on prowadzi? — zapytał van Buren.

— Dalsze tunele, Herr Professor. Lochy, piwnice.

To prawdziwy labirynt.

Berg otworzył drzwi. Van Buren wszedł za nim, a dozorca uniósł latarnię. Cella była bardzo stara, kamienne ściany zostały wygładzone przez czas i błyszczały od wilgoci. Nie było okna. Podłogę wyłożono kamieniami, zaś jedyne wyposażenie stanowiło emaliowane wiadro w kącie i żelazna prycza bez materaca. Drzwi miały u dołu małą klapkę do podawania jedzenia.

— Czy tego pan chciał, Herr Professor?

— Dokładnie tego. — Van Buren odwrócił się do Sussmanna. — Wprowadźcie go. Bez butów, tylko w koszuli i kalesonach. I nie zdejmujcie mu kajdanków.

Wszedł, nie zwracając uwagi na Conlina, którego Becker i obaj strażnicy wepchnęli do środka.

— Nie ma pan mi nic do powiedzenia, profesorze? — zawołał stary człowiek.

— Cóż, jeśli pan sobie życzy... — Van Buren odwrócił się i spojrzał mu w oczy.

— Frances Mary. Wystarczy?

Twarz Conlina zwiotczała, pobladł. Becker i dwaj strażnicy wyszli, sierżant zamknął drzwi na klucz.



— Ja wezmę klucz. — Van Buren wyciągnął po niego rękę. — I chcę tu mieć cały czas wartę, jasne?

— Tak — powiedział Sussmann.

— Zostaje tu na tydzień. Całkowita ciemność i żadnego komunikowania się.

Jeden posiłek dziennie. Chleb, ser i zimna woda, podawane przez klapkę w drzwiach. A przede wszystkim żadnego hałasu. Niech pana wartownicy noszą skarpetki na butach albo coś podobnego.

— Zobaczę, co się da zrobić.

- 28 -

— Dobrze. Ja wracam dziś do Berlina. Gdyby cokolwiek się działo, niech się pan kontaktuje z pułkownikiem Kleinem.

— Zobaczymy pana jeszcze?

— Za siedem dni. Wtedy naprawdę się do tego weźmiemy.

Odeszli korytarzem, zostawiając Beckera z jednym ze strażników. Sierżant przekazał mu instrukcje i poszedł za nimi.

Conlin stał w celi nasłuchując, świadomy jedynie przytłumionych odgłosów ich kroków. Frances Mary... Tak dawno o niej nie myślał. Jeśli van Buren wiedział o niej, to co jeszcze wiedział? Serce mu galopowało, a ból w tym momencie stał się niemal fizyczny.

Wziął głęboki oddech i powłóczęc w ciemności nogami dotarł do pryczy. Gdy ostrożnie się na niej położył, sprężyny wbiły mu się w plecy.

Było bardzo cicho. „Faza Pierwsza”, pomyślał. „Izolacja zmysłowa prowadząca do całkowitej alienacji osobnika”.

Ciemność wydawała się poruszać. Przypomniawszy sobie Dachau i ogarnęła go

panika. Być samotnym, tak samotnym, było najgorsze ze wszystkiego. Nagle jednak dotarło do niego, tak jak wiele razy przedtem, że przecież wcale nie jest sam.

Zamknął oczy i złożywszy ręce — niezgrabnie z powodu kajdanków — zaczął się modlić.

Dochodziło właśnie wpół do ósmej następnego ranka, kiedy brat Konrad i Franz wciągnęli swój ręczny wózek załadowany bańkami z mlekiem na podwórko miejscowej gospody. Przy frontowych drzwiach stała stara ciężarówka Berga. Oparty o nią karczmarz palił fajkę i rozmawiał ze swoim szwagrem.

Georg Ehrlich był niskim mężczyzną o ciemnej cerze, z niezmiennym wyrazem powagi na twarzy. Będąc wdowcem, zostawiał prowadzenie gospody swojej córce, pełnił bowiem nie tylko funkcję sołtysa, ale również przewodniczącego spółdzielni rolnej i miejscowego sekretarza partii.

Zdobył się na uśmiech w stronę franciszkanina.

— Nieczęsto was tu widzimy.

— Chciałem zamienić słówko — odezwał się Konrad. — W sprawie oficjalnej.

A poza tym pomyślałem, że chłopcu przydałaby się mała pomoc.

Franz, który mając dziewiętnaście lat był najmłodszym członkiem zakonu, a zbudowany był jak młody byk, uśmiechnął się od ucha do ucha i z łatwością ściągnął na ziemię pełną bańkę mleka.

— Od dziś będę potrzebował co najmniej jednej takiej dziennie — odezwał się Berg. — Wstaw ją z łaski swojej na ciężarówkę, Franz.

— Pełną bańkę? — zdziwił się Konrad. — Po co, u licha?

— Vopo są w zamku. Dwudziestu tych sukinsynów.

— Wejdźcie — zaprosił ich Ehrlich. — Sigrid właśnie zaparzyła kawę.

Przeszli przez pobielony korytarz do wyłożonej dębowymi belkami kuchni.

Córka Ehrlicha, Sigrid, śliczna siedemnastoletnia blondynka w niebieskiej sukience i białym fartuchu, dokładała właśnie drewna do pieca. Podniosła wzrok, a Ehrlich powiedział:

- 29 -

— Kawa, a może do tego kieliszek brandy? Zimny poranek.

To miło z pana strony — odezwał się Konrad — ale trochę za wcześnie jak dla mnie. — Zwrócił się do Berga. — O co chodzi z tymi Vopo w zamku? Nie rozumiem.

Co oni tu robią?

— Pilnują więźnia, którego przywieźli przedwczoraj w nocy. Dwudziestu, plus sierżant i kapitan, dla jednego człowieka. Też nie wiem, o co tu chodzi.

Konrad z uśmiechem podziękowania przyjął od Sigrid filiżankę kawy.

— Na pewno to ktoś ważny.

— Nie mnie o tym mówić — mruknął Berg. — Ja tylko wypełniam rozkazy, tak jak wszyscy teraz musimy. — Pochylił się do przodu, a jego ochryply szept stał się jeszcze cichszy: — Powiem wam coś, w co nigdy nie uwierzycie. Wiecie, gdzie go trzymają? W celi na trzecim poziomie. Osadzenie w odosobnieniu na początek. Pełne siedem dni, zanim otworzymy drzwi do niego. Tak oznajmił człowiek z Berlina, po czym odjechał z kluczem w kieszeni. Nazywa się van Buren. Profesor van Buren.

Konrad zmarszczył brwi.

— Wielkie nieba! Wydawało mi się, że nawet szczury miałyby trudności z przeżyciem tam na dole.

— Dokładnie tak. — Berg opróżnił kieliszek. — Lepiej już będę wracał z tym mlekiem. Będą chcieli swoje śniadanie.

Wyszedł. Ehrlich wziął fajkę i zaczął ją napełniać.

— Jakiś więzień polityczny albo coś takiego, powiedziałbym — stwierdził

Konrad.

— Nie wiem i nie obchodzi mnie to — mruknął karczmarz. — W dzisiejszych czasach opłaca się pilnować własnego nosa. Berg za dużo gada.

— Zawsze to robił.

Ehrlich przyłożył zapalnik do swojej fajki.

— W jakiej sprawie chcieliście ze mną rozmawiać?

— Ach, tak — powiedział Konrad. — Chciałbym dostać pozwolenie na wyjazd do Berlina, by zobaczyć się z moją siostrą. Chyba wspominałem, gdy ostatnio rozmawialiśmy, że miała zawał.

— Tak, przykro mi było to słyszeć. Kiedy chcecie jechać?

— Jeszcze dziś, jeśli to możliwe. Chciałbym zostać tam przez tydzień. Nie zapomnę oczywiście — tu uśmiechnął się — o cywilnym ubraniu.

— Wypiszę wam zaraz pozwolenie. Ale najpierw ta brandy, o której wspominałem. — Ehrlich sięgnął po butelkę. — Żeby zacząć dzień odpowiednio.

— Skoro pan nalega... — ustąpił Konrad. — Tylko proszę małą. — Podnosząc kieliszek do ust, uśmiechnął się.

Margaret Campbell miała za sobą nie przespaną noc. Bolała ja noga i dopiero przed samym świtem zapadła w sen z wyczerpania. Piętnaście po ósmej obudziło ją pukanie do drzwi i wszedł Konrad z tacą. Głowa pękała jej z bólu, a w ustach czuła suchość. Zmierzył jej temperaturę i pokręcił głową.

— Znowu podskoczyła. Jak się pani czuje?

— Okropnie. Głównie z powodu nogi. Ból nie pozwala mi spać. Tabletki, które

mi brat dał wieczorem, niewiele pomogły.

Skinął głową.

— Mam chyba w apteczce coś mocniejszego. Zostawię to Urbanowi, żeby pani dawał, kiedy mnie nie będzie.

Położył jej tackę ze śniadaniem na kolanach. Spojrzała na niego zdziwiona.

— Jedzie brat gdzieś?

— Oczywiście. Do Berlina Zachodniego, spotkać się z tym pani majorem Vaughanem. Czyż nie tego pani ode mnie chciała?

Na jej twarzy malowało się zdumienie.

— Ale to przecież niemożliwe.

— Wcale nie. Spółdzielcza ciężarówka o dziewiątej odjeżdża z placu do Stendal, skąd są regularne autobusy do Berlina. Do południa będę na miejscu.

— Ale jak brat przejdzie granicę?

— Liga mi pomoże.

— Liga Zmartwychwstania? Przecież, gdy pytałam, czy kiedykolwiek uczestniczyliście w jej działalności, powiedział brat...

— Że jesteśmy zgromadzeniem zamkniętym. Że naszym celem jest życie kontemplacyjne.

Roześmiała się nagle, po raz pierwszy, odkąd ją znał. Na chwilę stała się jakby inną osobą.

— Jest brat przebiegłym człowiekiem, bracie Konradzie. Teraz to widzę.

— Tak mówią — mruknął uśmiechając się i nalał jej kawy.

W Berlinie Bruno Teusen stał w otwartym oknie wychodzącym na taras jego

mieszkania w jednym z nowych bloków na Tiergarten i popijał czarną kawę. Był wysokim przystojnym mężczyzną w wieku lat pięćdziesięciu, o miłym, dość nieśmiałym sposobie bycia, który maskował żelazną wolę i ostry jak brzytwa umysł. W wieku dwudziestu pięciu lat był już podpułkownikiem oddziałów narciarskich na froncie rosyjskim. Poważna rana nogi sprawiła, że przeniesiono go do kwatery głównej Abwehry na Tirpitz Ufer w Berlinie, gdzie pracował dla samego wielkiego Canarisa.

Jego żona i malutki synek zginęli w czasie nalotu w czterdziestym czwartym, ale nigdy nie ożenił się powtórnie. Kiedy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym utworzono Urząd Ochrony Konstytucji, popularnie zwany BfV, był jednym z pierwszych rekrutów.

Rola BfV polegała przede wszystkim na przeciwdziałaniu wszelkim próbom podważania porządku konstytucyjnego, co w praktyce sprowadzało się do ciągłej walki z tysiącami agentów komunistycznych działających w Niemczech Zachodnich. Teusen był dyrektorem oddziału berlińskiego. Praca w mieście, którego mieszkańcy nadal mieli tendencję do utożsamiania każdej służby specjalnej z Gestapo lub SD, nie była łatwa.

Miniony dzień był ciężki i Teusen zastanawiał się właśnie, jak spędzić wieczór, kiedy zadzwonił dzwonek. Zaklął cicho, podszedł do drzwi i wyjrzał przez judasz.

Stał tam Simon Vaughan, a za nim brat Konrad, ubrany w sztruksy,

- 31 -

dwurzędową kurtkę i tweedową czapkę.

Teusen otworzył drzwi.

— Cześć, Bruno.

Teusen przelotnie przyjrzał się Konradowi.

— Interesy? — zapytał Simona.

— Na to wygląda, niestety.

— W takim razie wejdźcie.

Zamknąwszy drzwi stanął przed nimi. Konrad zdjął czapkę, a Vaughan powiedział:

— To jest pułkownik Bruno Teusen. Bruno — brat Konrad z Franciszkańskiego Zakonu Jezusa i Marii z Neustadt po drugiej stronie. Sądzę, że będziesz chciał posłuchać tego, co ma do powiedzenia.

Vaughan podszedł do barku, nalał sobie szkockiej i wyszedł na taras. Było tu bardzo ładnie — światła miasta migotały w dole — on jednak z jakiegoś powodu nie mógł przestać myśleć o Margaret Campbell, unieruchomionej w Neustadt przez zranioną nogę i prawdopodobnie wystraszonej na śmierć.

— Biedna, głupia mała — powiedział cicho. — Nie powinnaś była się w to mieszać.

Po jakichś piętnastu minutach Teusen i Konrad także wyszli na taras.

— Nie za dobrze to wygląda — odezwał się pułkownik.

— Możesz coś zrobić?

— Dla Conlina? — Teusen wzruszył ramionami. — Nie bardzo. Skontaktuję się z Federalną Służbą Wywiadowczą w Monachium, ale nie wiem, co oni mogą zrobić poza poinformowaniem zainteresowanych stron.

— Jakich stron?

— Watykanu na przykład. Jest w końcu księdzem. Gdzie on się urodził — w Irlandii?

— Tak, ale jest obywatelem amerykańskim.

— Oni też więc mogliby być zainteresowani, chociaż nie liczyłbym na to. I nie mamy żadnego dowodu, że Conlin tam jest. Jeśli ktokolwiek oficjalnie zwróci się do rządu NRD, zaprzeczą po prostu, że cokolwiek o nim wiedzą. W każdym razie wygląda na to, że do wydobycia go ze Schloss Neustadt potrzeba by kompanii spadochroniarzy.

— A dziewczyna? — zapytał brat Konrad.

— Może będziemy w stanie coś dla niej zrobić. —

Teusen zwrócił się do Vaughana. — Chciałbyś jej pomóc?

Przez moment Vaughan jeszcze raz ujrzał jej bladą twarz i ciemne niespokojne oczy w świetle wczesnego poranka na moście nad Sprewą. Uśmiechnął się.

— Juliusowi to się nie spodoba.

— Wiem. Znowu coś za nic. — Teusen zerknął na Konrada. — Kiedy musi brat wracać?

— Mam pozwolenie na siedmiodniowy pobyt w Berlinie Wschodnim.

— A gdzie brat teraz mieszka?

- 32 -

Konrad niepewnie spojrzał na Vaughana, który powiedział:

— U nas na Rehdenstrasse. Może trzeba będzie spać w trumnie, ale to zawsze dom.

— Skontaktuję się z wami — oznajmił Teusen. — Może jutro... a na pewno do pojutra. Do tego czasu powinniśmy otrzymać odpowiedź wszystkich stron. Zamknął za nimi drzwi i nalał sobie koniaku. Następnie podszedł do telefonu, nakręcił jakiś monachijski numer i poprosił generała Reinharda Gehlena, dyrektora



BND, Federalnej Służby Wywiadowczej. Nie czuł się już zmęczony.

- 33 -

## 4.

Następnego ranka w Watykanie, w pokoju na piętrze, Jego Świątobliwość

Papież Jan XXIII — bliski śmierci na skutek nowotworu żołądka, na który cierpiał od roku — oparty na poduszkach w swoim łóżku, udzielał audiencji.

Siedział przy nim młody *monsignore*, przyciszonym głosem czytając jeden po drugim listy, a Jego Świątobliwość słuchał z zamkniętymi oczami, otwierając je od czasu do czasu, na przykład by podpisać jakiś dokument lub gdy wszedł jego lekarz, by zaaplikować mu zastrzyk przeciwbólowy.

Zabrzączał telefon przy łóżku i *monsignore* podniósł słuchawkę.

— Jest tutaj ojciec Pacelli — powiedział po chwili. Papież skinął głową.

— Wpuść go.

— To niedobrze — odezwał się doktor. — Wasza Świątobliwość wie...

— Że mam bardzo mało czasu i bardzo dużo do zrobienia.

Lekarz odwrócił się, zamykając swoją torbę, a *monsignore* otworzył drzwi

wysokiemu wymizerowanemu staruszkowi o siwych włosach i głęboko osadzonych oczach, który w czarnym habicie wyglądał dziwnie średniowiecznie.

— Dzisiaj bardziej niż zazwyczaj wygląda ojciec na drapieżnego ptaka — powiedział papież.

Ojciec Pacelli uśmiechnął się lekko, była to bowiem ich gra. Ten prawie siedemdziesięcioletni jezuita — druga osoba w tym słynnym zakonie po samym ojcu generalnym — był dyrektorem wydziału badań historycznych w Collegio di San Roberto Bellarmino na Via del Siminario, gdzie od ponad dwudziestu pięciu lat sprawował pieczę nad watykańskim odpowiednikiem Służb Specjalnych.

Papież podniósł wzrok.

— Wy, jezuici... jednolity czarny habit, brak przepychu. Jest w tym jakaś pokora, nie uważa ojciec?

— Codziennie pamiętam o niej w swoich modlitwach, Wasza Świątobliwość.

— Żołnierze Chrystusa. — Papież zamachał mu przed oczami papierami. —

Tak jak ojciec Conlin. Bardzo mi przypomina pewnego pułkownika piechoty, którego znałem, służąc jako kapelan wojskowy w czasie I wojny światowej. Kiedy prowadził atak, nigdy nie krzyczał do swoich ludzi, by szli za nim. Po prostu wiedział, że to zrobią.

— I robili, Wasza Świątobliwość?

— Niezmiennie. W takim postępowaniu jest jakaś moralna arogancja, do której nie miałem zbytnio przekonania. A jednak... — Oddał papiery młodemu *monsignore*.

— Jest ojciec pewien ścisłości tej informacji?

- 34 -

— Pochodzi od mojego cennego kontaktu w zachodnioniemieckim wywiadzie.

— A Amerykanie... poinformowano ich?

— Oczywiście, Wasza Świątobliwość. Ojciec Conlin jest obywatelem amerykańskim.

— Dla którego nic nie mogą zrobić.

Pacelli skinął głową.

— Jeśli fakty rzeczywiście tak się przedstawiają, Niemcy wschodni na pewno zaprzeczyliby jego obecności.

— Nawet nam — zauważył papież.

Nastąpiła chwilowa cisza. W końcu znów odezwał się Pacelli:

— Nadejdzie oczywiście ten nieunikniony moment, kiedy pokażą go na tym

procesie.

— I tak jak kardynał Mindszenty będzie mówił wszystko, co trzeba? Że Kościół, z pomocą CIA, zaangażowany jest w jakąś podziemną walkę, mającą na celu zniszczenie Niemieckiej Republiki Demokratycznej i wszystkiego, co popierają Ulbricht i jego przyjaciele?

— Nie najgorsza sugestia — stwierdził Pacelli. — Ale moim zdaniem, Wasza Świątobliwość, tym razem głównym celem ma być nie tyle Kościół, co Amerykanie. Z pewnością byłoby mocno kłopotliwe dla prezydenta Kennedy'ego, gdyby udało im się zmontować tę sprawę tak, by zbiegła się z jego wizytą w Niemczech.

— Otóż to, a wizyta w Berlinie ma pierwszorzędne znaczenie. Kiedy Kennedy stanie pod murem, to będzie tak, jakby ustawił się na pierwszej linii ognia. Ma to pokazać blokowi komunistycznemu, że Ameryka jest wierna wobec innych państw Zachodu.

Papież zamknął oczy, jedną ręką ściskając skraj bladuróżowej narzuty.

Na twarzy miał pot, toteż lekarz pochylił się nad nim i otarł go.

— A więc, Wasza Świątobliwość, nie robimy nic? — spytał Pacelli.

— Nie możemy zrobić nic oficjalnie — odparł Jan XXIII. — Ale ojciec Conlin jest członkiem Towarzystwa Jezusowego, które szczególnie dbało — a przynajmniej tak mi się wydaje — o swoich ludzi.

— Gdy otworzył oczy, pomimo bólu pojawił się w nich dawny humor. —

Ufam, że znajdzie ojciec czas, by informować mnie na bieżąco, Pacelli.

— Oczywiście, Wasza Świątobliwość. — Pacelli nachylił się, by ucałować pierścień na wyciągniętej dłoni, po czym wyszedł szybko.

Mimo dużego ruchu czarna limuzyna, należąca do papieża, która przywiozła

Pacellego na audiencję, odwiozła go do Collegio di San Roberto Bellarmino w dwadzieścia minut od opuszczenia przez niego Watykanu.

Wszedł do małej biblioteki na pierwszym piętrze, z oknem wychodzącym na dziedziniec z tyłu budynku. Służyła mu za biuro. Ojciec MacLeod, młody Szkot — od dwóch lat jego sekretarz — wstał, by go powitać.

— Neustadt — rzucił Pacelli. — Znalazłeś coś ciekawego?

— Obawiam się, że nie — odparł MacLeod. — Rolnicza wieś, typowa dla tego regionu. Jedyną godną uwagi rzeczą są ci luterkańscy franciszkanie.

- 35 -

— A my nie mamy tam kościoła?

— Mamy, ojcie. Pod wezwaniem Świętego Imienia. Zbudowany w tysiąc dwieście trzecim roku. Od pięciu lat jest zamknięty.

— Dlaczego?

— Oficjalnie dlatego, że jakoby nie ma tam wiernych.

— Stara historia. Nie możesz być dobrym członkiem partii i jednocześnie chodzić do kościoła.

— Tak przypuszczam. Czy chciałby ojciec, żebym coś jeszcze zrobił w tej sprawie?

— Ojciec Hartmann w Sekretariacie w Berlinie Wschodnim. Prześlij mu wiadomość normalną drogą. Pojutrze chcę się z nim spotkać po drugiej stronie, w Centrum Informacji Katolickiej. Zdobądź mi miejsce na poranny lot tego dnia. Poinformuj go o kłopotach ojca Conlina i powiedz, że będę oczekiwał możliwie najpełniejszej informacji.

— W porządku, ojcie. Kartoteka tego Amerykanina, van Burena, jest na ojca

biurku.

— Dobrze. — Pacelli wziął ją do ręki. — Połącz mnie z delegatem apostolskim w Waszyngtonie. Będę u generała.

Młody Szkot wyglądał na zakłopotanego.

— Ale ojcze, w Waszyngtonie jest trzecia rano. Arcybiskup Vagnozzi będzie w łóżku.

— To go obudź — rzucił Pacelli i wyszedł.

Generał jezuitów, przywódca najbardziej wpływowego zakonu w Kościele katolickim, nosił habit równie prosty jak Pacelli. Zamknął akta van Burena i zdjął okulary.

— Szatan i całe jego dzieło.

— Geniusz na swój sposób — odparł Pacelli.

— A czy pomyślałeś, jak ojcu Conlinowi będzie się powodziło w jego rękach?

— Przeżył Sachsenhausen i Dachau.

— Wyjątkowy człowiek. — Generał pokiwał głową. — Wszyscy to wiemy, ale czasy się zmieniły. Nowe metody przesłuchiwania. Stosowanie narkotyków na przykład.

— Znam Seana Conlina od czterdziestu lat — powiedział Pacelli. — Posiada wiarę tak silną, że w jego obecności czuję się mały.

— I sądzisz, że to wystarczy, by wytrzymać?

— Z Bożą pomocą...

Zadzwonił telefon. Generał Zakonu podniósł słuchawkę, słuchał przez chwilę, po czym z lekko ironicznym uśmiechem oddał ją Pacellemu.

— Do ciebie. Arcybiskup Vagnozzi... i nie ma zbyt zadowolonego głosu.

Jak na ostatni dzień maja, ten wieczór w Waszyngtonie był wyjątkowo chłodny.

Sekretarz Stanu, Dean Rusk, stał w oknie Owального Gabinetu Białego Domu.

W pokoju było ciemno, tylko na masywnym biurku paliła się lampa, oświetlając rząd flag z tyłu. Otworzył się drzwi i gdy się odwrócił, zobaczył prezydenta.

- 36 -

John Fitzgerald Kennedy przed trzema zaledwie dniami obchodził swoje czterdzieste szóste urodziny, ale wyglądał o dziesięć lat młodziej. Miał na sobie smoking, spod którego błyszczała biała koszula i czarny krawat.

Podchodząc do biurka uśmiechnął się.

— Właśnie siadaliśmy do kolacji, na której jest też rosyjski ambasador. Czy to bardzo ważne?

— Dziś wieczorem przyjechał do mnie delegat apostolski, panie prezydencie.

Przyszło mi do głowy, że byłoby może wskazane, by zamienił pan z nim dwa słowa.

— Sprawa tego Conlina?

Rusk skinął głową i zapytał:

— Przeczytał pan akta, które przygotowałem?

— Mam je tutaj. — Prezydent usiadł za biurkiem i otworzył jakąś teczkę. —

Niech mi pan powie, czy przeszło to przez „biurko niemieckie” Departamentu Stanu?

— Nie. To zakodowana wiadomość przesłana mi osobiście przez samego

Gehlana. — Nastąpiła przerwa, w czasie której prezydent kartkował akta. — A więc co robimy?

Kennedy podniósł wzrok.

— Nie bardzo wiem. To jeden wielki cholerny bajzel. Zobaczymy, co ma

do powiedzenia Watykan.

Delagat apostolski, Jego Przewielebność Egidio Vagnozzi, nosił czerwoną sutannę arcybiskupa i szkarłatną piuskę na głowie. Wchodząc do pokoju uśmiechnął się. Sekretarz Stanu podsunął mu krzesło.

— To miło, że przyjmuje mnie pan, choć przybywam prawie bez uprzedzenia, panie prezydencie.

— Kiepska sprawa.

— Która może stanowić osobisty kłopot dla pana, jeśli ojca Conlina postawią przed sądem, jak się to sugeruje. Chodzi mi oczywiście o pańską wizytę w Berlinie.

— Czy Watykan ma zamiar złożyć rządowi wschodnioniemieckiemu jakieś oficjalne zażalenie? — spytał Dean Rusk.

— A w jakim celu? Na tym etapie gry z pewnością zaprzeczyliby, że go mają w rękach. Trzeba też rozważyć inne kwestie. Pozycja katolików, a właściwie wszystkich zadeklarowanych chrześcijan w NRD, jest w dzisiejszych czasach bardzo trudna. Musimy postępować ostrożnie.

— Innymi słowy, nie zrobicie nic — stwierdził prezydent.

— Nic oficjalnego — powiedział Vagnozzi. — Ale ojciec Pacelli z Towarzystwa Jezusowego pojedzie do Berlina najszybciej, jak to będzie możliwe, żeby ocenić sytuację.

Prezydent uśmiechnął się.

— Sam Pacelli, co? A więc spuszczenie go ze smyczy? To interesujące.

— Pomimo swojej choroby Jego Świątobliwość jest osobiście zaangażowany w tę sprawę. Chciałby wiedzieć — wobec tego, że ojciec Conlin jest obywatelem amerykańskim — jakie jest pana zdanie na ten temat.



Prezydent wpatrywał się w teczkę, lekko marszcząc brwi, toteż głos zabrał

Sekretarz Stanu:

— Są tutaj liczne aspekty... Ten van Buren, na przykład, od lat stanowi dla nas poważny kłopot. Oczywiście cały czas mamy go na oku.

— Chodzi też o sytuację samego Conlina — odezwał się prezydent. — Będą próbowali przekabacić go tak, by zeznał, że Chrześcijańskie Podziemie od lat jest narzędziem CIA. To cel całego ćwiczenia. Zniszczenie wszystkiego dobrego, co mam nadzieję osiągnąć podczas podróży do Niemiec. Od czasu Kuby nasze stosunki z Moskwą wyraźnie się polepszyły. Razem z Brytyjczykami mamy wznowić w Moskwie trójstronne rozmowy na temat zakazu prób z bronią jądrową. Za kilka dni wygłaszam przemówienie na American University w Waszyngtonie, w którym mam zamiar jednoznacznie uznać powojenne *status quo* w Europie Wschodniej.

— Krok o doniosłym znaczeniu — przyznał Vagnozzi.

Prezydent mówił dalej:

— Jeśli chodzi o NRD, to Ulbricht jest stalinowcem. Nienawidzi Chruszczowa, więc moja wizyta w Berlinie jest tym bardziej ważna, uświadomi bowiem Ulbrichtowi, że nie żartujemy.

— I pomoże radzić sobie z nim Chruszczowowi.

— Więcej — pokażę też Rosjanom, gdzie stoimy. Że nasze postępowanie wcale nie znaczy, iż zmiękliśmy. Że ciągle popieramy Berlin Zachodni.

— A więc nic nie możemy zrobić w sprawie Conlina? — spytał Vagnozzi.

Prezydent zaprzeczył ruchem głowy.

— Tego nie powiedziałem. Chciałbym, żeby mi ksiądz dał trochę więcej czasu,

to wszystko.

Vagnozzi wstał.

— Dobrze, panie prezydencie. Opóźnię złożenie oficjalnego raportu do czasu, aż usłyszę coś od pana.

— Usłyszysz ksiądz jeszcze przed rankiem — zapewnił go prezydent. — Chyba mogę to obiecać.

Arcybiskup wyszedł.

— Z największym szacunkiem, panie prezydencie — odezwał się Dean Rusk — muszę zwrócić uwagę na to, że podejmowanie obecnie jakichś oficjalnych kroków, mieszanie w to CIA na przykład, byłoby szaleństwem. Gdyby cokolwiek poszło źle, mogłoby to tylko dodać treści oskarżeniom, jakie mają zamiar wytoczyć przeciw Conlinowi.

— Otóż to — zgodził się prezydent. — Dlatego właśnie cokolwiek będzie się robić, trzeba to zrobić nieoficjalnie. — Sięgnął po egzemplarz „Washington Post”. — Wiedział pan, że Charles Pascoe jest w mieście?

— Nie.

— Jest tu artykuł na ten temat, na trzeciej stronie.

Dziś wieczorem ma wykład ku czci Vanderbilta w Smithsonian.

— Myślałem, że porzucił życie akademickie — powiedział Sekretarz Stanu. —

Słyszałem, że jego brat zmarł w zeszłym roku zostawiając mu fortunę.

- 38 -

— Nie, ciągle jest profesorem literatury współczesnej w Balliol. — Prezydent złożył gazetę, wstał i rozprostował plecy. — Chciałbym go zobaczyć... oczywiście jak skończy wykład.

— Jak pan sobie życzy, panie prezydencie.

Sekretarz Stanu ruszył w stronę drzwi, a Kennedy zawołał cicho:

— I... Dean...!

— Tak, panie prezydencie?

— Niech go pan wprowadzi przez podziemne wejście. Żadnej prasy w tej sprawie.

Profesor Charles Pascoe czuł się znudzony, gdyż temat jego wykładu w Smithsonian — „Aspekty powieści współczesnej” — coraz mniej mu się podobał, podobnie jak towarzystwo naukowców, którzy otoczyli go później na przyjęciu.

Przybycie młodego człowieka z Departamentu Stanu z prośbą, by jeszcze tego wieczoru złożył wizytę w Białym Domu, przyjął jako szczęśliwe wyzwolenie.

Charles Browning Pascoe miał sześćdziesiąt sześć lat. Ten drugi syn nożownika z Birmingham w tysiąc dziewięćset czternastym roku zdecydował się pójść na uniwersytet w Heidelbergu — błąd w ocenie sytuacji, który kosztował go trzy lata internowania. W końcu, przez Holandię, uciekł do Anglii i spędził ostatni rok wojny w wywiadzie wojskowym.

Później nastąpiła wspaniała kariera naukowa, obejmująca osiem lat pracy na stanowisku profesora literatury współczesnej na Harvardzie, przed powrotem do Oksfordu, do swego starego college'u Balliol. A potem przysła wojna z Hitlerem, w czasie której powołano go z powrotem do wywiadu. Najpierw pracował z Mastermanem w MI 5, pomagając rozbić niemiecką siatkę szpiegowską w Anglii, a następnie przeniesiono go do Wydziału Operacji Specjalnych, gdzie powierzono mu organizację siatki brytyjskiego i amerykańskiego wywiadu na terenie okupowanej Francji.

W tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim zmarła mu żona. Dzieci nie miał.

Po wojnie wrócił do Oksfordu, do życia akademickiego — swojej pierwszej miłości.

Latem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku umarł jego starszy brat

Robert — twórca jednej z większych firm elektronicznych w Anglii — zostawiając

mu fortunę, która nawet po dużym podatku spadkowym znacznie przekraczała

sumę miliona funtów, co jednak wzbudziło w Charlesie niewielką ekscytację.

Z pewnością nie można tego było porównać z tym, co czuł teraz, opierając się

na siedzeniu samochodu jadącego wzdłuż Constitution Avenue.

Limuzyna zawiozła go do zachodniego podziemnego wejścia do Białego Domu.

Młody człowiek w prochowcu, który towarzyszył mu ze Smithsonian, poprowadził

go obok agentów Służby Bezpieczeństwa do korytarza i dalej, prosto do Owального

Gabinetu, gdzie czekał Sekretarz Stanu.

Rusk uśmiechnął się, wyciągając rękę.

— Profesorze Pascoe, chyba się już znamy. Przyjęcie w domu ambasadora

w Londynie przed trzema laty — pamięta pan?

Pascoe był człowiekiem drobnej budowy, lekko przygarbionym, z kudłatą

- 39 -

czupryną stalowosiwych włosów opadających na czoło. Pod ciemnym wieczorowym

płaszczem miał smoking, staromodny biały kołnierzyk i czarny krawat.

— A tak dokładnie, to o co chodzi?

Sekretarz Stanu wskazał teczkę z aktami leżącą na biurku.

— Gdyby zechciał pan to przeczytać... Sądzę, że te dokumenty wystarczająco

dokładnie ukazują sytuację.

— A potem?

— Prezydent sam wyjaśni, co będzie potem. Zostawiam pana teraz.

Drzwi zamknęły się za nim. Nie zdejmując płaszcza Pascoe usiadł, z kieszeni na piersi wyjął wąskie okulary do czytania, założył je i otworzył teczkę.

Dwadzieścia minut później drzwi otworzyły się i wszedł prezydent Kennedy, a za nim Sekretarz Stanu. Pascoe podniósł wzrok.

Nie mogłem się powstrzymać od wypróbowania stołka władzy, choćby przez chwilę.

Kennedy uśmiechnął się szeroko, po czym zwrócił się do Sekretarza Stanu:

— Wie pan, kiedy wyszło *Dlaczego Ameryka spała*, ten człowiek napisał do mnie dwudziestodwustronicowy list, analizując książkę słowo po słowie.

— To był konieczny etap w pańskiej edukacji, panie prezydencie. — Pascoe uśmiechnął się łagodnie i zamknął teczkę.

— Ciekawe? — spytał Kennedy.

— Tak... Chyba można tak powiedzieć. Od wielu lat podziwiałem robotę Conlina. To wyjątkowy człowiek. Przykro mi widzieć go w takich opałach. — Pascoe zdjął okulary. — Jest tu zresztą pewien dziwny zbieg okoliczności... Pułkownik Teusen, ten oficer zachodnioniemieckiego wywiadu, który przekazał wiadomość z Berlina, to mój stary przeciwnik.

Prezydent zmarszczył brwi, a Sekretarz Stanu powiedział:

— W czasie wojny Teusen służył u Canarisa w dowództwie Abwehry w Berlinie.

— Jeszcze jeden wyjątkowy człowiek, ten admirał. — Pascoe wstał. —

A jednak...

Prezydent podszedł do okna, wyjrzał na zewnątrz i odezwał się:

— Wspomniał pan o „stołku władzy”. Wie pan, co to jest władza? Prawdziwa władza? To niemożność zrobienia czegokolwiek swobodnie, bo jesteś prezydentem i musisz myśleć o kraju albo o ONZ, albo o tym, co zrobią — lub nie zrobią — Rosjanie.

— Tak — powiedział Pascoe. — Wiem, jak ciężko musi być nie móc nic zrobić, kiedy taki wspaniały człowiek jak Conlin jest zagrożony...

— Cóż — prezydent łagodnie pokręcił głową. — Niestety nie mogę sobie na to pozwolić. Moja podróż do Berlina jest zbyt ważna.

— Chodzi o to, że nie możemy zrobić nic oficjalnego... nie na tym etapie — zauważył Rusk.

— Więc jaka jest moja w tym rola? — spytał Pascoe.

— Donovan wyraził kiedyś opinię, że w czasie wojny był pan najtęższym

- 40 -

umysłem pracującym w wywiadzie, i to po obu stronach — stwierdził prezydent.

— Jak powiedział Mark Twain, na dobrym komplementcie można żyć dwa miesiące.

— Nie usłyszysz ich pan więcej. Według mojego europejskiego rozkładu jestem w Berlinie dwudziestego szóstego czerwca. A pan...

— Chce pan, panie prezydencie, żebym spróbował coś zrobić w sprawie Conlina?

— Ile razy zajmował się pan podobnymi operacjami w czasie wojny?

— Ale to było osiemnaście lat temu...

— Żadnej oficjalnej pomocy oczywiście. Od nikogo. Na tym etapie rząd zachodnioniemiecki również nie może sobie pozwolić na mieszanie się w takie

sprawy.

— A Watykan?

— Jutro przyjeżdża do Berlina Pacelli — odpowiedział Sekretarz Stanu. —

Także zupełnie nieoficjalnie. Zna go pan?

— Współpracowałem z nim w czasie wojny, ale nigdy się nie spotkaliśmy.

Po krótkiej pauzie zabrał głos Kennedy:

— Jeszcze kwestia niezbędnych funduszy...

— To akurat nie stanowi żadnego problemu — powiedział Pascoe. — Moja sytuacja pod tym względem znacznie się ostatnio poprawiła. Bardziej chodzi mi o moje seminaria. Studenci spodziewają się mnie w przyszłym tygodniu.

Przypuszczam jednak, że coś się da zrobić.

— Jeśli mógłbym coś zaproponować, panie prezydencie — odezwał się Rusk. —

Arcybiskup Vagnozzi...

— Delegat apostolski — wyjaśnił Pascoemu prezydent. — Jest poinformowany o całej sprawie. Może dobrze by było, gdyby zamienił pan z nim dwa słowa przed wyjazdem. Mógłby zorganizować panu spotkanie z Pacellim w Berlinie.

— A kiedy dokładnie mam się tam znaleźć, panie prezydencie? — chciał wiedzieć Pascoe.

— Gdy czytał pan akta, rozmawiałem z moim sekretarzem. Przed północą jest lot BOAC do Londynu, co dałoby panu czas na spotkanie z Vagnozzim. Byłby pan w Berlinie jutro po południu.

— Przypuszczam, że są wolne miejsca?

— Już zarezerwowane.

Pascoe pokiwał głową.

— Bardzo dobrze. Mam tylko jeszcze jedną prośbę.

— Tak?

— Spotkanie z Teusenem. Chciałbym, by przed spotkaniem ze mną miał wszelkie możliwe informacje na temat sytuacji w Neustadt, dostępne niemieckiemu wywiadowi.

Prezydent spojrział na Sekretarza Stanu, który skinął głową.

— Nie sądzę, żeby były z tym jakieś trudności.

— W porządku. — Pascoe wziął do ręki teczkę. — Wygląda na to, że jestem

- 41 -

w waszych rękach. Nie mamy zbyt dużo czasu, jeśli mam złapać ten samolot.

Ruszyli do drzwi.

— Chciałbym panu podziękować, profesorze — odezwał się prezydent. Pascoe uśmiechnął się.

— Czy naprawdę miałem jakiś wybór? W końcu ma to raczej charakter rozkazu. — Odwrócił się i wyszedł za Sekretarzem Stanu.

- 42 -



## 5.

Ojciec Erich Hartmann, jezuita z Sekretariatu Katolickiego w Berlinie, był bardzo przystojnym mężczyzną, ale rzadko się uśmiechał. W jego niebieskich oczach czaił się jakiś chłód, powodujący, że większość ludzi, którzy się z nim stykali, nie czuła się zbyt swobodnie.

Dotyczyło to także Vopo na przejściu Checkpoint Charlie, którzy przywykli już do tego młodego księdza w małym poobijanym volkswagenie, jakim regularnie przyjeżdżał do Strefy Zachodniej w sprawach Watykanu. Wkrótce stał się to już znajomy widok. Także mężczyzna w czarnym skórzanym płaszczu, który w dyskretnej odległości podążał za volkswagenem księdza na lekkim motorze, nie budził już niczyjego zainteresowania.

Trzydziestotrzyletni Erich Hartmann urodził się w Dreźnie, w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym, jako syn rzeźnika, który był komunistą i miejscowym sekretarzem partii.

Po dojściu do władzy narodowych socjalistów ojciec Ericha kontynuował swoją działalność polityczną, i trzeciego lutego trzydziestego czwartego żona znalazła go wiszącego na haku na mięso w jego własnej chłodni. Oficjalne orzeczenie brzmiało: samobójstwo.

Frau Hartmann sprzedała interes i wysłała syna do swojego brata mieszkającego w Nowym Jorku. Sama została w Dreźnie aktywnie współdziałając z komunistycznym podziemiem przeciwko faszystom, dopóki nie aresztowano jej w październiku czterdziestego czwartego roku i nie wysłano do Dachau, gdzie — przed samym Bożym Narodzeniem — została rozstrzelana przez pluton egzekucyjny.

Jej brat i bratowa byli gorliwymi katolikami, wychowali więc chłopca w tej wierze. W domu mówili tylko po niemiecku, myśląc o dniu, gdy będzie mógł wrócić do matki.

Wiadomość o jej śmierci — nie potwierdzona do roku tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego — głęboko poruszyła Ericha. Zawsze miał w sobie coś z introwertyka. Teraz zupełnie zamknął się w sobie, nawet podczas pobytu w Notre Dame, gdzie był nie tylko doskonałym studentem, ale również przez dwa lata obrońcą amerykańskiej drużyny futbolowej.

Nikogo specjalnie nie zdziwiło, gdy oznajmił o swoim powołaniu do kapłaństwa. W Towarzystwie Jezusowym znalazł zakon dyscypliny i intelektu, doskonale harmonizujący z jego własnym surowym stosunkiem do otaczającego go świata.

- 43 -

Poza krótkim wikariatem w Neapolu pracował głównie w administracyjnej sekcji zgromadzenia, gdzie odkrył go Pacelli. Odkrył również, że Erich oficjalnie ciągle jeszcze jest obywatelem NRD.

Natychmiast przeniesiono Hartmanna do Sekretariatu Katolickiego w Berlinie Wschodnim, pozornie do obowiązków natury administracyjnej, a w rzeczywistości, po to, by był w stolicy oczami i uszami swego zwierzchnika.

Minęło właśnie wpół do trzeciej, gdy Hartmann zatrzymał się przy krawężniku przed Centrum Informacji Katolickiej na Budapestenstrasse. Kiedy wysiadał z volkswagena, mężczyzna w czarnym skórzanym płaszczu zaparkował swój motor pod drzewem po drugiej stronie ulicy. Hartmann podszedł do niego.

— Jak ci się znudzi, tam z tyłu jest ogród zoologiczny, Horst. To może trochę

potrwać.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. Miał wystające kości policzkowe i lekko spłaszczony nos, który nadawał mu wygląd byłego boksera.

— Ale wtedy mógłby ojciec być już w drodze powrotnej, zanim ja zorientowałbym się, co jest grane, a to odpada.

Hartmann wzruszył ramionami i odwróciwszy się, szybko przeszedł ulicę.

Wbiegł po stopniach starego budynku i ruszył prosto przez hol i dalej po schodach w górę, krótkim skinieniem głowy pozdrawiając młodą kobietę siedzącą za biurkiem. Przeszedł korytarzem i bez pukania otworzył drzwi z napisem: NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY.

Był to mały zaniedbany pokój, umeblowany jak biuro i zawałony szafkami z klasyfikatorami. Pacelli siedział za biurkiem pod oknem, czytając napisany na maszynie raport. Podniósł wzrok i uśmiechnął się.

— Dobrze wyglądasz, Erich.

— Nie mogę narzekać, ojcze.

Hartmann podszedł do okna i spojrzał na drugą stronę ulicy, na człowieka pod drzewem. Pacelli dołączył do niego.

— SSD?

— Tak. Nazywa się Horst Schaefer. Człowiek Sekcji Szóstej. Ich specjalnością jest inwigilacja wszystkich ważniejszych osobistości kościelnych.

— Powinno ci to pochlebiać. — Pacelli usiadł, patrząc jak Hartmann zdejmuje płaszcz. Uśmiechnął się — Ale ty przecież nie pozwoliłbyś sobie na takie niegodne uczucie.

— Skoro ojciec tak mówi...

— Wyglądasz jak jakiś fanatyczny „okrągłogłowy” z Anglii czasów Cromwella,

Erich. Typ człowieka, który mógłby z żarliwością wołać do Pana i jednocześnie palić młode dziewczyny jako czarownice.

— Ojciec posłał po mnie.

— Tak, masz rację. Posłałem.

Pacelli pokrótce wyjaśnił swojemu gościowi, o co chodzi. Gdy skończył,

Hartmann odwrócił się i powiedział:

— Zaledwie trzy miesiące temu słuchałem wykładu van Burena

- 44 -

na uniwersytecie w Dreźnie.

Pacelli wstał i podszedł do okna.

— Jak często przechodzisz na drugą stronę?

— Dwa razy w tygodniu... czasem trzy. Czasami zostaję nawet na noc.

— A co wtedy się dzieje z naszym przyjacielem na motorze? Nie mów mi, że całą noc wystaje na zewnątrz. Czy może ktoś inny cię przejmuje?

— Nie — zaprzeczył Hartmann. — Po jednym agencie na księdza. Biurokracja.

Zwykle mu mówię, gdzie się udaję. To śmieszne, ale nie bardziej śmieszne niż świat, w którym żyjemy. Dalej na tej ulicy jest mały hotel z barem, taki, z jakiego korzystają prostytutki. Tam się zatrzymuje. Zawsze daję mu kluczyki od swojego samochodu.

To go uspokaja. Jest prostym człowiekiem.

Pacelli wrócił do biurka. Otworzywszy czarny skórzany neseser, wyjął dużą kopertę i rzucił ją przez biurko.

— Jako że na razie twoje ruchy są ograniczone tylko do Berlina Wschodniego

i Zachodniego, masz tutaj prezent z Watykanu, podpisany przez samego Kardynała

Sekretarza Stanu w imieniu Ojca Świętego. Formalna prośba, by zezwolono ci niezwłocznie odwiedzić Neustadt w celu rozpatrzenia możliwości ponownego otwarcia tam kościoła.

Hartmann otworzył kopertę i wyjął list. Był to imponujący dokument z wielką czerwoną pieczęcią.

— Jak ojciec dobrze wie, musi to być przedłożone w Ministerstwie

Bezpieczeństwa Państwowego, co znaczy, że automatycznie dowie się o tym Klein z Sekcji Piątej.

— Który będzie spodziewał się czegoś... jakiegoś ruchu z czyjejś strony. Masz rację. Obecność ojca Conlina w Neustadt i nasza oficjalna prośba o twoją wizytę nie są zbiegiem okoliczności, myślę jednak, że pozwolą ci jechać. Pod nadzorem oczywiście.

— Dlaczego mieliby pozwolić?

— A dlaczego nie? Mamy do tego prawo, zgodnie z konstytucją i Tajnym

Paktem Zgody, podpisanym w lipcu zeszłego roku w Watykanie. — Uśmiechnął się lekko. — Nie bardzo przecież mogą skorzystać z obecności Conlina jako pretekstu do odmowy, prawda?

— Ale jaki jest cel tego wszystkiego? — spytał Hartmann. — Co na tym zyskujemy?

— Przedłóż swoją prośbę w Ministerstwie Bezpieczeństwa Państwowego dziś po południu, natychmiast po powrocie — nakazał Pacelli. — Jutro powinieneś mieć decyzję, w jedną czy w drugą stronę. Spodziewam się zobaczyć cię tu pojutrze... i bądź gotowy do przenocowania. Może to być konieczne.

— Czy mam przez to rozumieć, że zamierza ojciec spróbować... — Hartmann

zawahał się — odzyskać ojca Conlina?

— Jeszcze nie jestem pewien, co zamierzam. Mam dzisiaj spotkanie z pułkownikiem Teusenem z zachodnioniemieckiego wywiadu. Teusen oczekuje po południu przyjazdu z Ameryki Charlesa Pascoe, co może się okazać interesujące.

- 45 -

— Pascoe?

— Nie znasz go. Jeden z wielkich umysłów brytyjskiego wywiadu w czasie drugiej wojny.

— Więc... myśli ojciec, że coś można by zrobić?

— Wydaje mi się, że nigdy nie pochwalaleś ojca Conlina — zauważył Pacelli.

— Jego działalności — nie. Zawsze wątpiłem w użyteczność tej jego Ligi

Zmartwychwstania.

— Trochę zbyt pompatyczne, jak na twój gust?

— Coś w tym stylu. A jako człowiek...

— Doskonale wiem, co masz na myśli. Ludowy święty, jak go nazwał „Life”.

Określenie prostackie, ale trafne. — Pacelli wstał i wyrzwał przez okno na Schaefera.

— Ciągle tam jest, czeka na ciebie. Lepiej już idź.

Hartmann wziął do ręki płaszcz i podszedł do okna.

— On nie jest jeszcze taki najgorszy.

— Jako komunista czy jako człowiek?

— Ma trzy córki, a żona znowu jest w ciąży.

Zapiął płaszcz. Pacelli wyrzwał i westchnął.

— Wiesz, Erich, właśnie myślałem, jak miło byłoby znowu być dzieckiem — wtedy życie jest pełne niewinnych niespodzianek.

— To ciekawe, ojciec, ale mało praktyczne.

Wyszedł. Stojąc przy oknie Pacelli widział, jak pojawia się na chodniku i wsiada do volkswagena. Gdy ruszył, Schaefer uruchomił swój motor i pojechał za nim.

Był znowu wieczór, gdy Charles Pascoe wyszedł na balkon mieszkania Teusena i spojrzął na rozświetlone miasto. Po długiej podróży powinien właściwie być zmęczony, zamiast tego jednak czuł dziwne ożywienie. Usłyszał za sobą kroki — w drzwiach balkonowych stanął gospodarz, trzymając w obu rękach kieliszki.

— Może trudno będzie panu w to uwierzyć — odezwał się Pascoe — ale jest to tu moja pierwsza wizyta. A przecież dwadzieścia lat temu nie było dnia w moim życiu, który nie byłby całkowicie skoncentrowany na Berlinie i Sekcji Trzeciej dowództwa Abwehry na Tirpitz Ufer, gdzie pewien Oberstleutnant Bruno Teusen sprawiał mi poważne kłopoty...

— ...Oberstleutnant, który z kolei skupiał całą swoją uwagę na dowództwie Zarządu Operacji Specjalnych, mieszczących się w St. Michael's House na Baker Street 82. Dojście tam z pańskiego mieszkania w Ardmore Court zabierało panu co ranka dwadzieścia minut... o ile nie zostawał pan na noc. Ciągłe marnuje pan doskonałego curvoisiera trzema dużymi kostkami lodu?

Pascoe z uśmiechem wziął kieliszek.

— A czy pan ciągle lubi te okropne rosyjskie papierosy, w których zasmakował pan podczas kampanii zimowej?

— Wie pan, Pascoe, dowiedziałem się tyle o panu... najbardziej intymne szczegóły... że w końcu pana polubiłem. Czy to nie dziwne?

— Mogliśmy się spotkać w czerwcu czterdziestego piątego. Proponowano mi zajęcie się przesłuchiwaniami pana. Odmówiłem.

— Mogę zapytać, dlaczego?

— Sądzę, że byłoby to zbyt osobiste. Jak robienie rachunku sumienia... Ale do rzeczy. Dostał pan jakieś rozkazy dotyczące tej afery z Conlinem, tak?

— Nie rozkazy — jedynie telefon od generała Gehlena.

— Wie pan, dla kogo pracuję?

— Tak.

— Zupełnie nieoficjalnie oczywiście.

— Tak jak Pacelli z Watykanu, który też jest tu nieoficjalnie. Spodziewam się go w ciągu godziny. Wszyscy oni chyba bardzo lubią to słowo, tak, jakbyśmy naprawdę mieli wybór, prawda? Potem — czy wygramy, czy przegramy — powiedzą naturalnie, że nigdy nic takiego nie miało miejsca.

— Czy mogę liczyć na pańską pełną współpracę, jeśli chodzi o użycie odpowiednich środków? — spytał Pascoe.

— Tak właśnie rozumiem moje instrukcje. Oczywiście mogą być pewne ograniczenia. Będziemy musieli po prostu każdy szczegół omawiać merytorycznie. Jest też inny czynnik nie pozbawiony wagi — sam Conlin.

— Zna go pan?

— Wspaniały człowiek.

— W porządku. — Pascoe opróżnił kieliszek i odstawił go ostrożnie. —

W takim razie chciałbym zacząć.

W gabinecie na biurku leżało wiele teczek, a na ścianie wisiała mapa obszaru między granicą a Neustadt. Był też plan Schloss Neustadt w dużej skali. Obok niego przypięto kilkanaście zdjęć.



— Jak zawsze, gruntownie przygotowany. — Pascoe założył swoje okulary do czytania i przyjrzał się planowi. — Gdzie pan to zdobył?

— W archiwum — odparł Teusen. — Bez żadnych trudności. Przez większą część wojny była to kwatera dowództwa armii, a następnie więzienie dla „prominenti”.

Pascoe przyjrzał się fotografiom.

— Wygląda rzeczywiście imponująco.

— W czasie pierwszej wojny był używany jako więzienie dla francuskich oficerów. Nie zanotowano ani jednego przypadku ucieczki.

Pascoe pokiwał głową.

— Mogę w to uwierzyć.

— Na biurku znajdzie pan inne mapy i różne rysunki. Robota inżynierów wojskowych. Nowe drogi, kanały. Tego typu rzeczy.

Pascoe odwrócił się do biurka.

— A reszta?

— Informacje na temat różnych ludzi, którzy są w to wmieszani. Franciszkanie na przykład. Później zabiorę pana na spotkanie z jednym z nich — bratem Konradem. Dozorca w Schloss Neustadt, Heinrich Berg, który służył w zupełnie nieodpowiednim oddziale SS. Jest tam też sporo informacji o van Buren.

— Dzięki uprzejmości CIA Sekretarz Stanu dostarczył mi, zanim wyjechałem,

- 47 -

bardzo wyczerpującą kartotekę tego dżentelmena. Nie — myślę, że na obecnym etapie powinien interesować mnie głównie człowiek, o którym mi pan dziś opowiadał — ten Vaughan.

— A więc potrzeba panu tego. — Teusen popchnął w jego stronę jedną z teczek.

— Nasz Simon ma w sobie coś z kosmopolity — niemiecka babka, irlandzka matka...

— Kim był jego ojciec?

— Kapitanem jednego z tych wycieczkowych statków na Tamizie. Przez wiele lat. Umarł przed samą wojną.

— A co się stało z chłopakiem?

— W tysiąc dziewięćset siedemnastym ojciec Simona, służąc na zachodnim froncie, wyniósł spod obstrzału swojego pułkownika. Został wtedy poważnie ranny i później odznaczono go Krzyżem Walecznych. Pułkownik, kiedy dowiedział się o śmierci starego Vaughana, nalegał, by powierzyć mu wychowanie jego syna.

Wysłał go do Winchesteru, jednej z waszych najlepszych prywatnych szkół.

— Mój Boże...

— Otóż to. — Teusen postukał palcem w teczkę. — Myślę, że jej zawartość zaciekawia pana.

Godzinę później Teusen wrócił do gabinetu. Pascoe siedział na obrotowym krześle tyłem do biurka i ze złożonymi rękami wpatrywał się w plan zamku Neustadt.

— Sądzi pan, że jest jakiś sposób? — zapytał Teusen.

— O, tak. — Pascoe zdjął okulary i przejechał dłonią po twarzy. — Zawsze jest jakiś sposób, jeśli tylko dobrze się przyjrzeć. Miał pan rację co do Vaughana.

Fascynująca historia. Rzuciłem też okiem na resztę materiałów. Później zajmę się nimi dokładniej.

— Przyjechał ojciec Pacelli.

— Doskonale. — Pascoe obrócił się na swoim krześle. — Niech wejdzie.

Pod starym nieprzemakalnym płaszczem Pacelli miał tweedowy garnitur

nieokreślonego koloru, kołnierzyk i krawat. Pascoe obszedł biurko, by go przywitać.

— To dla mnie prawdziwa przyjemność. Ile to lat minęło, odkąd ostatni raz byliśmy w kontakcie?

Pacelli uścisnął jego dłoń.

— Prawie dwadzieścia. To było w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim.

Powiedział nam pan wtedy o absurdalnym planie Fuhrera, by porwać papieża.

— Nie patrzcie tak na mnie — bronił się Teusen. — Nawet Skorzenny prawie dostał ataku serca na wieść o tym. Płaszcz ojca...?

— Nie trzeba. Mam tylko kilka minut, więc chciałbym od razu przejść do rzeczy.

— Oczywiście. — Pascoe wskazał na krzesło i sam usiadł.

— Miałem telefon od arcybiskupa Vagnozziego z Waszyngtonu — zaczął

Pacelli — który wyjaśnił mi, że będzie pan działał w tej sprawie, profesorze.

— Jeśli znajdę jakiś sposób działania — powiedział Pascoe. — Czy mogę spytać, jakie są zamiary ojca?

- 48 -

Kiedy Pacelli skończył, Pascoe powiedział:

— Ten ojciec Hartmann wygląda na interesującego człowieka. Jak udało wam się sprawić, że władze wschodnioniemieckie zaakceptowały wyznaczenie go do waszego sekretariatu? Mam na myśli zwłaszcza jego amerykańskie koneksje.

— Jest wciąż obywatelem NRD. Co ważniejsze, jego rodzice byli komunistami, którzy oddali życie za sprawę. Możemy obsadzać Sekretariat według własnego wyboru. W ich oczach Hartmann wyglądał pewnie lepiej niż większość pozostałych

kandydatów.

— Jeśli w ogóle muszą tam mieć waszych ludzi.

— Otóż to. Pozycja Kościoła, wszystkich chrześcijan, jest tam niejasna. Chociaż teoretycznie zagwarantowana przez konstytucję. Obecność tych franciszkanów jest tego dowodem.

— Ale są wciąż szykanowani...

— Właśnie.

Pascoe pokiwał głową.

— A więc co, księdza zdaniem, zyskujecie wysyłając Hartmanna do Neustadt?

— Nie wiem. Mamy jednak prawo domagać się, żeby otrzymał pozwolenie na zbadanie sytuacji tamtejszego kościoła. Prawo, którego, jak sądzę, nie odmówią nam — a to z racji delikatnych powodów natury politycznej.

— I będzie to robił pod nadzorem...?

— Oczywiście.

— Ale przecież ta próba wskaże Kleinowi, że wiecie o uwięzieniu przez nich Conlina. Zdajecie sobie z tego sprawę?

— Naturalnie.

Pascoe podniósł wzrok na Teusena.

— Ciekawa sytuacja.

— Łagodnie powiedziane — skomentował Niemiec.

— Czy ma pan jakieś własne propozycje w tej kwestii? — spytał ostrożnie

Pacelli.

— Nie bardzo — odparł Pascoe. — Dlaczego ksiądz pyta?

— Wydaje mi się, że obecność ojca Hartmanna w Neustadt mogłaby się okazać

pożyteczna.

— To prawda — zgodził się Pascoe. — Ale widzę to inaczej... być może wyda się to wam nie do przyjęcia.

— Coś w rodzaju spętanego kozła podstawionego dla wywabienia tygrysa, o to panu chodzi?

— Nie, raczej konia trojańskiego.

— Ma pan jakiś pomysł?

— Zaledwie załączek idei. Nie na tyle jeszcze rozwinięty, by omawiać go w tej chwili. Chodziłoby o to, żeby ich uwaga skupiła się na ojcu Hartmannie.

— Podczas gdy coś zupełnie innego działałoby się za ich plecami?

— Taki byłby cel tej operacji.

Nastąpiła dłuższa przerwa. Po namyśle stary jezuita spokojnie skinął głową.

- 49 -

— Byłoby to całkowicie do przyjęcia.

— A ojciec Hartmann?

— Zrobi wszystko, czego się od niego zażąda. — Pascoe chciał coś powiedzieć, ale Pacelli uniósł rękę. — Panowie pozwolą, że coś wyjaśnię. Znam Seana Conlina od prawie czterdziestu lat. To uparty i buntowniczy Irlandczyk, który przykazanie o miłości bliźniego traktuje jak swoje posłannictwo. Posłannictwo, w imię którego gotów jest zadrzeć z całym światem. Wielokrotnie był z tego powodu źródłem znacznych kłopotów zarówno dla Kościoła, jak i dla zakonu, któremu służy, ale postępując w ten sposób stał się jednocześnie żywym symbolem aktywnej wiary dla tysięcy ludzi. My, Towarzystwo Jezusowe, nie jesteśmy przygotowani na to, by go stracić. Czy wyrażam się dosyć jasno?

— Tak sędę — odezwał się Pascoe.

— W porządku. — Pacelli wstał i zaczął zapinać płaszcz. — Kiedy mogę mieć od panów jakąś wiadomość?

— Spodziewa się ksiądz powrotu ojca Hartmanna pojutrze?

— Tak.

Pascoe spojrział na Teusena.

— Może spotkamy się wtedy?

Pacelli nie podał im ręki na pożegnanie.

— Tymczasem miejmy nadzieję, że wymyślą panowie coś konkretnego.

Wyszedł, a Teusen za nim. Kiedy Niemiec wrócił, Pascoe znowu siedział tyłem do drzwi, wpatrując się w plan zamku w Neustadt. Teusen zapalił papierosa.

Pascoe zdjął okulary i przeciągnął dłonią po twarzy, jakby w geście zmęczenia.

— Przydałoby się panu trochę snu — odezwał się Teusen.

Pascoe podniósł na niego wzrok.

— Na Boga, nie. W moim wieku, drogi Bruno, jest na to dość czasu po śmierci.

— Wstał. — Nie, myślę, że nadszedł czas, by zaznajomić się z majorem Vaughanem.

Gdyby był pan tak dobry i mnie podwiózł...

Mercedes skręcił w Rehdenstrasse i zatrzymał się przed szyldem JULIUS

MEYER I SPÓŁKA. PRZEDSIĘBIORCY POGRZEBOWI.

— To tylko fasada, czy rzeczywiście oferują jakieś usługi?— spytał Pascoe, gdy wysiadali.

Teusen uśmiechnął się.

— O, tak. Pochowają pana — jeśli tego właśnie będzie pan sobie życzył.

Otworzył bramę i wszedł do środka. Garaż pogrążony był w ciemności, ale

w oszklonym biurze paliło się światło.

Drzwi otworzyły się i wyjrzał Meyer.

— Kto tam?

W jego głosie słychać było nutę zaniepokojenia. Teusen przystanął u stóp rozklekotanych drewnianych schodów.

— To ja, Bruno. Przyprowaździłem przyjaciela. Jest brat Konrad?

— Tak... wejdźcie na górę.

Pascoe ruszył za Teusenem po schodach. Na biurku leżała szachownica.

- 50 -

Konrad, który siedział po drugiej stronie, wstał. Meyer wyłączył magnetofon.

— Gdzie Simon? — spytał Teusen.

— Poszedł do baru na końcu ulicy po papierosy. Kto to jest?

— Nazywam się Pascoe — przedstawił się profesor. — Charles Pascoe.

Meyer zignorował go i ponownie zwrócił się do Teusena:

— Czego chce?

— Zapropnozować panu duźo pieniędzy — powiedział Pascoe. — W zamian za pomoc w wyciągnięciu ojca Seana Conlina z jego obecnego kłopotliwego położenia.

Meyer wpatrywał się w niego zdumiony.

— Co to ma znaczyć? To jakiś żart?

— Dziesięć tysięcy funtów, panie Meyer. Może więcej — stwierdził spokojnie Pascoe.

Brat Konrad odezwał się swoją łamaną angielszczyzną:

— To prawda? Naprawdę macie zamiar coś zrobić w sprawie ojca Conlina?

— To zależy od wielu rzeczy — powiedział Pascoe. — Od brata samego

na przykład i od przyjaciół w Neustadt.

Trzasnęła brama i z cienia wynurzył się Vaughan. Przystanął u stóp schodów, więc Pascoe wyszedł na podest i spojrzał w dół.

— Dobry wieczór, majorze Vaughan.

Vaughan spojrzał w górę i znieruchomiał.

— Wie pan, kim jestem? — spytał Pascoe.

— Figuruje pan w rozkładzie zajęć w Sandhurst. Nigdy panu o tym nie powiedzieli?

Pascoe zaczął schodzić, a Vaughan usiadł na jakiejś trumnie, rozpiął kurtkę i wyjął papierosa. Teusen i brat Konrad zostali na podeście.

Meyer zszedł.

— Pieniądze nie kupią życia, Simon. Powiedz mu to.

— Pieniądze zawsze pomagają — stwierdził Pascoe. — To jeden z przykrzejszych faktów na tym małym, podłym świecie. A przynajmniej zawsze tak mi się wydawało.

Vaughan zapalił papierosa.

— Przyjechał pan po Conlina?

— Zgadza się. Naturalnie chciałbym pojechać tam w pańskim towarzystwie.

— Nie jestem zainteresowany.

— Dziesięć tysięcy funtów. — Pascoe zerknął na Meyera. — Dla każdego z was.

— Pieniądze... — powiedział Vaughan wzruszając ramionami. — To w najlepszym razie tylko środek wymiany.

Meyer odwrócił się i wszedł po schodach. Odezwał się do Teusena:



— Chce pan drinka? Bo mnie by się bardzo przydał. Może nawet dwa. Myślę, że znowu będę miał kłopoty.

Zniknął w biurze. Pascoe powiedział:

— Niech więc pan to zrobi dla Conlina. Wydaje mi się, że go pan lubi.

- 51 -

— On szedł boszo na stos od dnia, w którym się urodził.

— W porządku. — Pascoe nie tracił cierpliwości. — Niech więc pan to zrobi dla siebie. Bo tak naprawdę to nie pozostaje panu nic innego.

— Czyżby?

— Spójrzmy na fakty. Simon Vaughan, urodzony dwudziestego siódmego lipca dwudziestego szóstego roku...

— Jestem Słońce i Lew — powiedział Vaughan. — A to najszczęśliwszy tydzień dla tych znaków zodiaku. Wiedział pan o tym?

— Z Isle of Dogs jest cholernie daleka droga do Winchesteru. Udało się panu?

— Nie bardzo. — Vaughan uśmiechnął się bez humoru.

— Więc zaciągnął się pan w czterdziestym czwartym — rok przed terminowym poborem — i walczył z Dwudziestą Pierwszą Niezależną Eskadrą Spadochronową pod Arnhem. Zdobył pan tam Krzyż Walecznych. Później, gdy ktoś odkrył, że mówi pan doskonale po niemiecku — dzięki tej swojej babce — wydelegowano pana do Korpusu Wywiadowczego. Po wojnie zatrzymali pana i wysłali nawet do Sandhurst.

— Sam pan widzi, co rząd labourzystowski może dla pana zrobić — mruknął Vaughan.

Pascoe zignorował to i mówił dalej:

— Jako kapitan w wywiadzie polowym w Korei, wzięty do niewoli w Hook, spędził pan blisko dwa lata w chińskim obozie jenieckim. Potem wrócił pan do wywiadu wojskowego, gdzie specjalizował się pan w walce z wywrotowcami wszelkiej maści, rewolucjonistami itepe. Komuniści na Malajach, pół roku ścigania Mau-Mau w Kenii, następnie Cypr i EOKA. Za te „drobiazgi” medal Distinguished Service Order i potem kula w plecy, która niemal skończyła wszystko...

— Zastanawiam się, jak udało mi się to wszystko zgrać ze sobą.

— ...Następnie Borneo i walka z Indonezyjczykami. Dowodził pan kompanią nieregularnego wojska złożonego z tubylców. Obszar wokół Kotabaru aż roił się od terrorystów. Kazano panu iść tam i wykurzyć ich.

— Nikt nie może powiedzieć, że mi się to nie udało.

— Z pewnością był pan sumienny. Ilu więźniów kazał pan rozstrzelać? Ilu jeńców przesłuchiwać i torturować? Gazety narobiły wtedy wokół tego sporo szumu.

Jak pana nazwali? Bestią z Selangor. Przypuszczam, że ocaliły pana tamte ordery.

Czas spędzony w obozie jenieckim też się na pewno przydał. Przynajmniej nie zdegradowano pana.

— Trzeba robić, co się da — odezwał się Vaughan. — Szkoda, że Akademii nie udało się zrobić ze mnie dżentelmena.

— Podsumowując — ciągnął Pascoe — miał pan rozkaz sprzątnąć z Kotabaru ostatniego terrorystę i dokładnie pan to zadanie wykonał. Może w niezbyt humanitarny sposób, ale wykonał pan. Pańscy przełożeni odetchnęli wtedy z ulgą i rzucili pana wilkom na pożarcie.

— Zostawiając mi satysfakcję z dobrego wypełnienia obowiązków... —

Vaughan wsadził w kącik ust kolejnego papierosa. — No cóż, profesorze. Meyer zna

Berlin. Ja mówię płynnie po niemiecku. To niewiele, ale zawsze coś.

Nastąpiła chwila ciszy.

— No więc? — spytał w końcu Pascoe.

— W porządku — rzucił Vaughan. — Przyjmuję pańskie wyzwanie.

Dwadzieścia tysięcy... Każdy po dwadzieścia tysięcy — dodał.

— Dobrze. Mimo wszystko myślałem, że może się pan w końcu okazać rozsądny... i nie pomyliłem się.

Teusen obudził się zaraz po trzeciej nad ranem z silnym bólem głowy. Znalazł aspirynę i poszedł do kuchni po szklankę wody. Ku swojemu zdumieniu dostrzegł światło dochodzące spod drzwi gabinetu. Gdy je otworzył, ujrzał profesora, siedzącego za biurkiem i przerzucającego akta.

— Dobry Boże! — wykrzyknął Teusen. — Nie kładł się pan?

— Nie mogłem zasnąć. — Pascoe zdjął okulary. — Właściwie cieszę się, że pan przyszedł. Może mi pan pomóc wypełnić pewną lukę w tym wszystkim? — Obrócił się do mapy. — Tutaj, wzdłuż granicy, muszą być dziesiątki przejść, zwłaszcza na wiejskich drogach. Czy jest jakieś takie, gdzie pańscy ludzie z wywiadu mogą swobodnie przechodzić tam i z powrotem?

— Jeśli chodzi panu o to, czy po drugiej stronie są przekupni strażnicy, to tak.

Ale robi się tam coraz ciaśniej.

— A tutaj, na zachód od Neustadt? Bezpośrednia droga ucieczki...?

— Tak. — Teusen podszedł bliżej i znalazł to, czego tamten szukał. — Jest przejście we Flossen. Paskudny teren. Wrzosowisko Holstein. W młodości jeździłem tam na polowania. Na dziki.

— A więc... można by to jednak zorganizować?

— Chyba tak. Choć pewnie będzie to trudne. I drogie. Jeśli pan chce, rano skontaktuję się z moim człowiekiem w tamtejszym rejonie.

— Już jest rano — zauważył Pascoe.

Założył swoje wąskie okulary i powrócił do akt. Teusen przez chwilę przypatrywał mu się z poczuciem dziwnej bezradności, po czym odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Wróciwszy do swojej sypialni, usiadł na skraju łóżka.

— Teraz wiem, dlaczego przegraliśmy wojnę — powiedział do siebie zmęczonym głosem i sięgnął po telefon.

- 53 -

## 6.

Pascoe nie lubił latać małymi samolotami — były hałaśliwe, niewygodne i pozbawione wielu udogodnień. Z pewnością jednak nie mógł nic zarzucić maszynie zorganizowanej przez Teusena, która miała ich przewieźć z Tempelhof do RFN. Był to prawie zupełnie nowy Hawker Siddeley 125, o dwóch silnikach odrzutowych, w którym można było nawet normalnie prowadzić rozmowę.

— Lądujemy tutaj. — Teusen ołówkiem zakreślił miejsce na mapie. —

Bitterfeld. W czasie wojny baza nocnych myśliwców Luftwaffe. Nie używana od lat, ale bardzo wygodna ze względu na bliskość granicy. Agent terenowy będzie tam na nas czekał.

— A jak to daleko od tego przejścia we Flossen, o którym pan mówił?

— Dwanaście do trzynastu kilometrów.

Pascoe przez chwilę w milczeniu przyglądał się mapie, po czym otworzył swój neseser i, wyjąwszy jakieś akta, zaczął robić notatki.

— Kiedy powie mi pan, co zamierza? — spytał Teusen.

— Jak sam będę wiedział.

Niemiec wyjął jednego ze swoich rosyjskich papierosów.

— Przypuszczam, że Vaughan stanowi istotny czynnik w całej tej sprawie.

— O, tak. — Pascoe zamknął teczkę i włożył ją do nesesera. — Doskonale nadaje się do naszych celów. To świetnie wyszkolony zawodowy żołnierz. Mówi po niemiecku równie dobrze, jak po angielsku — a może nawet lepiej. Poza tym bezbłędnie po rosyjsku i znośnie po chińsku. To pozostałość po prawie dwóch latach spędzonych w tym obozie w Mandżurii.

— Zabójca z zawodu i z instynktu...

— Ale z głową na karku. Kombinacja, która nieczęsto się trafia.

Teusen pokręcił głową.

— Wygląda na to, że szczęście się od niego odwróciło. Wspaniała kariera w ruinie — i za co?

— Wykonywał swoje obowiązki według własnego uznania...

— Widzę, że go pan rozumie.

— Ludzie pokroju Vaughana też są potrzebni... — powiedział Pascoe. — Niosą ciężar winy za nas. To również wymaga odwagi.

— Uważa pan, że miał rację robiąc to, co zrobił?

— Niekoniecznie, ale zrobił to, i to się liczy.

— Podobnie jak SS.

Pascoe uśmiechnął się lekko.

- 54 -

— Trafiony. W obecnej sytuacji jednak to kwestia czysto akademicka. Czy miał wtedy rację, czy nie, nie ma dla mnie znaczenia. Ja potrzebuję go teraz.

Dwadzieścia minut później wylądowali na Bitterfeld. Stały tam cztery hangary i nietknięta wieża, ale między pasami startowymi rosła trawa wysoka do pasa i wszędzie czuło się pustkę.

Przed starym budynkiem obsługi zaparkowany był czarny mercedes. Gdy hawker siddeley kołował w stronę budynku, z samochodu wysiadł niski, potężnie zbudowany mężczyzna w myśliwskiej kurtce i kapeluszu leśniczego.

Teusen pierwszy znalazł się na ziemi.

— To Werner Bohmler, tutejszy agent terenowy.

— Bardzo mi miło, Herr Professor.

Pascoe stanął tyłem do nich, lustrując wzrokiem pasy startowe.

— Mówi pan, że to lotnisko jest zupełnie nie używane?

— Zgadza się.

— W porządku. — Pascoe otworzył tylne drzwi i wsiadł do mercedesa. — Czy możemy już ruszać?

Ojciec Conlin otworzył oczy. Nie miało to zresztą znaczenia, bo i tak było ciemno. Przez chwilę leżał bez ruchu, tak zdrętwiały, że nie czuł nawet sprężyn żelaznej pryczy, wbijających mu się w plecy. Nagle przepełnił go jakiś straszny niepokój. Coś okropnego, niemożliwego do zrozumienia, czyhało gdzieś w końcu celi.

Wstał, zrobił niepewny krok do przodu i natknął się na ścianę. Z wyciągniętą ręką zrobił dwa kroki do tyłu i dotknął drugiej strony. Trzy kolejne ostrożne kroki zaprowadziły go do tylnej ściany. Stamtąd do drzwi były cztery następne. Znajdował się w kamiennym, niewiarygodnie zimnym grobie.

Nie poddam się, pomyślał. Ostrożnie położył się na pryczy i zaczął się modlić.

Kiedy Klein wszedł do biura van Burena w Uniwersyteckim Centrum

Medycznym w Berlinie Wschodnim, była tam tylko młoda sekretarka, śliczna ciemnowłosa dziewczyna w białym szpitalnym fartuchu.

— Jestem pułkownik Klein — rzucił. Zerwała się natychmiast z miejsca.

— Tak, towarzyszu. Profesor van Buren oczekuje was. Proszę za mną.

Poprowadziła go wzdłuż korytarza, zapukała do drzwi na końcu, otworzyła je i wpuściła Kleina do małego pokoju, którego umeblowanie stanowiło jedynie kilka foteli. W jednym z nich, przy wewnętrznym oknie umożliwiającym obserwację drugiego pomieszczenia, siedział van Buren. Za szybą panował półmrok, ale

zbliżywszy się, Klein ujrzał mężczyznę przywiązanego do czegoś, co wyglądało jak fotel dentystyczny.

— Co to jest? — zapytał.

— Lubię patrzeć, co porabiają moi pacjenci — powiedział van Buren. — On nas nie widzi.

W sąsiednim pokoju ukazało się na ekranie jakieś zdjęcie. Młoda dziewczyna — bardzo młoda i bardzo ładna. Nagle ukryta w cieniu postać na fotelu podskoczyła, naprężając pasy, a z głośnika nad oknem dał się słyszeć krzyk męki. Van Buren

- 55 -

wstał, wyłączył głośnik i zasłonił okno.

— Co to było? — zapytał Klein.

— Jedna z technik, które tu wypróbujemy. Ten osobnik to wielokrotny gwałciciel. Pokazujemy odpowiednie zdjęcia, co oczywiście podnieca go, po czym aplikujemy mu silny wstrząs elektryczny. Prymitywna metoda, ale skuteczna.

Problem polega na tym, że zabiera to jednak dosyć dużo czasu.

— O Boże!

— Zamiast wstrząsu można też użyć różnych środków farmakologicznych, by wywołać wymioty, ale to dość nieprzyjemne... nie tylko dla samego delikwenta.

W jakiej sprawie chciał się pan ze mną zobaczyć?

— Mamy kłopoty z Watykanem.

— W związku z Neustadt?

— Tak. Ta sprawa jest ciągle w rękach Ministerstwa Bezpieczeństwa

Państwowego, więc nie mogę jeszcze podać panu szczegółów. Spotkajmy się wieczorem. O siódmej w moim biurze.



— Dobrze. — Van Buren zapalił papierosa. — Cieszę się, że pan wpadł.

Chciałem zamienić z panem kilka słów na temat Conlina.

Klein usiadł.

— Jakież komplikacje?

— Nie, ale uważam, że powinniśmy coś sobie wyjaśnić. Nie ma dosyć czasu na program reformy myśli.

Pułkownik przerwał zapalenie krótkiego cygara.

— Przecież powiedział pan Ulbrichtowi...

— Powiedziałem mu tylko to, co chciał usłyszeć.

Na twarzy Kleina pojawiło się coś jakby przerażenie.

— A więc co ma pan zamiar zrobić?

— Conlinowi? — spytał spokojnie van Buren. — Och, złamać go po prostu.

Tylko na to wystarczy czasu. Doprowadzić go do stanu, w którym zrobi, co mu się każe.

— Myśli pan, że to się uda?

— Robiłem to już przedtem. Gdy zaczynałem, w Pekinie, widziałem, jak Ping Chow załatwił katolickiego księdza. Wsadził go do celi z dziesięcioma innymi więźniami, zwykłymi kryminalistami. Mieli przykazane na zmianę nie dawać mu spać — inaczej nie dostawali jedzenia. Po upływie paru tygodni ksiądz zgadzał się ze wszystkim, co mówili mu przesłuchujący.

— Więc dlaczego nie jest pan teraz w Neustadt? Dlaczego jest pan tutaj?

— Zostawiłem Conlina, by przez tydzień gnił we własnych nieczystościach w całkowitej ciemności — powiedział van Buren. — Siódmego dnia wyjdzie — i wtedy zaczynamy.

Klein wstał, podszedł nerwowo do drzwi i obrócił się.

— Mam nadzieję, że pan wie, co robi, bo jeśli nie...

— Wtedy nasze głowy spadną. Do zobaczenia wieczorem.

Odwróciwszy się, van Buren odsłonił szybę i zajrzał do drugiego pokoju. Klein

- 56 -

otworzył drzwi i wyszedł w pośpiechu.

Peter Bulow był potężnym mężczyzną o przyjemnym wyglądzie — pomimo brzydkiej rany od szrapnela na prawym policzku. Jako sierżant ludowej policji dowodził posterunkiem granicznym we Flossen. Nie dlatego bynajmniej, że był dobrym komunistą, ale dlatego, że po zakończeniu wojny mała farma, na której wychowali go rodzice, znalazła się pół kilometra od granicy — po jej niewłaściwej stronie.

Samo miasteczko znajdowało się już w RFN, niecały kilometr od przejścia granicznego. Gdy Bulow był chłopcem, chodził do tamtejszej szkoły. Połowa jego krewnych wciąż tam mieszkała, co tłumaczyło jego częste wizyty w miasteczku.

Oczywiście zachodził też do miejscowego sklepu, gdzie mógł kupić wiele rzeczy nie zawsze dostępnych po jego stronie.

Tego ranka miał specjalne zadanie do wykonania, były bowiem właśnie urodziny jego córki Lotte. Przed miesiącem zamówił dla niej sukienkę. Coś bardzo specjalnego, prosto z Hamburga — miała to być niespodzianka na wieczorne przyjęcie.

Idąc szybkim krokiem po jedynej ulicy miasteczka minął gospodę i wszedł do sklepu.

Sprzedawca Miiller podniósł wzrok i uśmiechnął się.

— Jesteś, Peter. Zaczynałem już myśleć, że zapomniałeś...

Byli krewniakami i Bulow uśmiechnął się szeroko, podając mu nad ladą rękę.

— Nie zapomniałem. Jest już?

— Oczywiście — zaraz ci ją przyniosę.

Wyszedł na zaplecze. Bulow podszedł do okna, wyrztał na ulicę i wyciągnął fajkę. Gdy przyłożył do niej zapałkę i odwrócił się, ujrzał za ladą Bohmlera i Brunona Teusena.

— Cześć, Peter — rzucił Teusen.

— Herr Oberst... — Bulow już się nie uśmiechał.

— Chciałbym zamienić z tobą słówko.

— Nie. — Bulow wyciągnął przed siebie rękę, jakby chcąc go odepchnąć. —

Nigdy więcej. Obiecał pan.

— Wiem, Peter. Ale to coś specjalnego — powiedział Teusen.

— To znaczy...?

Odpowiedzi udzielił mu Pascoe, który właśnie odsunął zasłonę nad tylnym wejściem do sklepu i dołączył do nich.

— Pięćdziesiąt tysięcy marek.

Bulow wpatrywał się w niego ze zdumieniem, po czym odwrócił się z powrotem do Teusena, który powiedział:

— Plus azyl w RFN dla ciebie i twojej rodziny, z zagwarantowaną dobrą pracą i mieszkaniem.

— Albo to samo w Stanach, jeśli pan woli — dorzucił Pascoe.

Zapadło milczenie. W końcu odezwał się Bohmler:

— Dobrze byś zrobił, gdybyś posłuchał profesora, Peter.

— Nie, dzięki. Za taką ofertę to musi być coś dużego — za dużego dla mnie.

— Wcale nie — zaprzeczył Bohmler. — Wszystko, co miałbyś zrobić, to przepuścić mały ruch w kilku wybranych przypadkach w czasie najbliższych trzech-czterech tygodni. Wiem, że przez następny miesiąc ty i młody Hornstein będziecie na nocnej zmianie. Od szóstej wieczorem do szóstej rano. Czy on ciągle przemyka się dwa razy w tygodniu, by spotkać się z córką burmistrza?

— Takie same warunki dla niego — wtrącił Pascoe.

Bulow gwałtownie pokręcił głową.

— Nie zrobię tego. Prawie nas złapali, jak przemycaliśmy w marcu tego waszego agenta. Trzeba też pamiętać o sierżancie Hoferze. Ma łeb nie od parady. Do tego jest gorliwym członkiem partii.

— On będzie na dziennej zmianie — zauważył Bohmler. — O niczym nie musi wiedzieć.

— Nie — obstawał przy swoim Bulow.

Teusen westchnął.

— Mógłbym stać się bardzo nieprzyjemny, Peter. Słódko do ucha właściwej osoby w Berlinie na temat twojej poprzedniej działalności dla nas ściągnęłoby ci SSD na kark, zanim byś się obejrzał.

— Nie zrobiłby pan tego.

— Nie, bo nie ma takiej potrzeby. Powiedz mu, Werner...

— Kończą się dobre czasy, Peter — stwierdził Bohmler. — Wiemy o pewnym tajemniczym spotkaniu na najwyższym rządowym szczeblu, które odbyło się w zeszłym tygodniu. Ulbricht zarządził wtedy szczególne umocnienie granicy

na terenach wiejskich, z naciskiem na trzymanie was wszystkich mocno po tej stronie.

— Koniec z wizytami w sklepie — rzucił Teusen.

— Ustalono też, że takich ludzi jak ty — z miejscowymi powiązaniem — przesunie się do pracy dalej na wschodzie. Do jesieni cała straż graniczna będzie z innych części republiki.

— To nieprawda — powiedział bez przekonania Bulow.

— Nie bądź głupi — odparł Bohmler. — Spodziewaliście się czegoś takiego już od roku.

— A teraz to nadeszło i właśnie my rzucamy ci koło ratunkowe — wtrącił Teusen. — Powinieneś być wdzięczny. Jak myślisz, zainteresuje to Hornsteina? Bulow westchnął ciężko i zgarbiony usiadł na krześle przy ladzie.

— Tak... już od kilku miesięcy spodziewam się, że on zwieje. Zupełnie zwariował na punkcie tej córki Conrada. Chwyci się takiej szansy obiema rękami.

— Doskonale.

— A moja żona? Moja córka?

— Wszystkim się zajmiemy. Gdy będziesz przechodził po raz ostatni, to one przejdą z tobą... i oczywiście Hornstein też.

— W porządku. Co mam zrobić?

— Na razie nic — powiedział Teusen. — W ciągu najbliższych kilku dni Werner

- 58 -

skontaktuje się z tobą i powie, co dalej.

— Dobrze. — Bulow wstał. Wydawało się, że od momentu wejścia do sklepu postarzał się o dziesięć lat. Wyglądał na bardzo zmęczonego. — Czy mogę już iść?

Z zaplecza niepewnie wysunął się Muller, trzymając w rękach duży pakunek, który położył na ladzie. Miał poważną twarz.

— Sukienka. Jest też szynka i butelka wina z moimi życzeniami.

Bulow wpatrywał się w niego tępym wzrokiem. W końcu przypomniał sobie.

— Jasne, ale ze mnie głupiec. Dziękuję.

— Przepraszam, Peter — mruknął Muller.

— Za co? — spytał gorzko Bulow. — Rosja była gorsza... choć tylko trochę.

Wyszedł. Teusen zbliżył się do okna i popatrzył w ślad za nim.

— Używamy ludzi — powiedział — jakby byli papierowymi kubkami na kawę.

A potem ciskamy te kubki na bok.

— Tak — odezwał się cicho Pascoe. — Wojna jest piekłem, nie ma co do tego

wątpliwości, mój drogi Bruno. I teraz także to trwa, a my w tym siedzimy. —

Spojrzał na zegarek. — Ale sądzę, że lepiej będzie, jak wrócimy już do Berlina.

Zobaczyłem tu wszystko, co chciałem zobaczyć.

Po wieczornym niebie nad Berlinem Wschodnim przesuwały się burzowe chmury. W biurze Kleina Harry van Buren, siedząc za masywnym biurkiem, przedzierał się przez akta Ericha Hartmanna. Klein stał przy oknie, rzucając na zewnątrz markotne spojrzenia i pijąc kawę.

— O Boże — odezwał się. — Co za pogoda. Jeszcze nie widziałem takiego czerwca. — No i jak? Co sądzisz o tym człowieku?

Van Buren trzymał pod lampą zdjęcie Hartmanna.

— Interesująca twarz. On i Ulbricht mieliby ze sobą wiele wspólnego.

Klein zmarszczył brwi.

— Nie rozumiem...

— Z jednej strony obsesja religijna, z drugiej polityczna. Dwie strony tego samego medalu.

Klein, którego wychowano w wierze katolickiej, poczuł lekką złość, wzbierającą w nim gdzieś głęboko. Dziwne, ale chyba nie można nigdy całkowicie wymazać tego, w czym się wzrastało.

— Tak lekko potraktowałbyś religię?

— A dlaczego nie? Strach przed ciemnością... Strach i wściekłość na myśl o śmierci. Ludzie muszą coś mieć, a jeśli nie ma nic, wymyślają to właśnie. Kiedy wniesiono to podanie?

— Wczoraj, do odpowiedniego wydziału. Stamtąd przekazano je prosto do mnie.

— Podoba mi się to sformułowanie... — Van Buren wziął do ręki napisany na maszynie list. — „Ojciec Erich Hartmann, wyznaczony na inspektora generalnego Watykanu do sporządzenia raportu dla Ojca Świętego o stanie kościoła w Neustadt”.

— Poczęstował się papierosem z pudełka na biurku. — Oczywiście powiesz im, co o tym wszystkim myślisz?

- 59 -

— Nie. — Klein pokręcił głową. — To niemożliwe.

Van Buren gwałtownie podniósł wzrok, z wyrazem zdumienia na twarzy.

— Ale to przecież nonsens! Ten kościół w Neustadt od pięciu lat jest zamknięty na cztery spusty i do tej pory nie ruszyli w tej sprawie palcem. To podanie nie jest zwykłym zbiegiem okoliczności. Oznacza, że wiedzą o uwięzieniu przez nas Conlina.

— Dokładnie tak.

— I ten Hartmann. Dobry Boże, przecież wiesz, kim on jest. Watykańskim szpiegiem. Masz to napisane w aktach.

— Oczywiście — powiedział spokojnie Klein. — Zwierzchnicy Hartmanna również wiedzą, że ja o tym wiem.

— Muszę przyznać, że coś w tym jest — mruknął van Buren. — Jakaś szalona logika.

— Polityka, Harry. Wyjaśnię ci to. W zeszłym roku podpisaliśmy z Watykanem Tajny Pakt Zgody. Jakby plan rozwoju przyszłych stosunków...

— Co nic nie znaczy. Dalej przy każdej okazji wdeptujecie Kościół katolicki w ziemię.

— Ale na szczeblu rządowym musimy prowadzić jakiś dialog. To polityczna decyzja Rady Ministrów.

— Pod natchnionym przywództwem naszego szanownego towarzysza przewodniczącego.

Klein zignorował tę uwagę.

— Stosunki z Watykanem bardzo się zmieniły. To nie do uniknięcia przy kimś takim jak Jan XXIII. Jego kwietniowa encyklika *Pokój na Ziemi* została dobrze przyjęta nie tylko na Zachodzie, ale nawet w Moskwie.

— Pięknie — rzucił van Buren. — Mam nadzieję, że wszyscy świetnie się bawicie. Ale przypuszczam, że tak naprawdę to próbujesz mi powiedzieć, że Hartmann pojedzie do Neustadt czy mi się to podoba, czy nie. Spodziewasz się jakiejś próby wyrwania stamtąd Conlina?

— Raczej nie. Myślę, że Hartmann jedzie tam wywąchać co się da, i to wszystko. Przetrzynam go jeszcze przez dziesięć dni.



— To bardzo miło z twojej strony. •

— Oczywiście będzie miał agenta Sekcji Szóstej, ciągnącego go za połę sutanny.

Niejakiego Schaefera, który dostanie rozkaz donosić ci o wszystkim.

— W takim razie w porządku. — Van Buren wstał zapinając płaszcz i ruszył do drzwi.

Klein usiadł za biurkiem.

— Głowa do góry, Harry. W końcu co ten Hartmann może zdziałać?

Spodziewałem się, że uznasz sytuację za całkiem zabawną.

— Właśnie czegoś takiego szukam, czegoś, co urozmaiciłoby trochę te mniej zabawne okresy mojego codziennego życia...

Otworzył drzwi.

— Muszę przyznać, że bardzo chciałbym być przy pierwszym spotkaniu —

- 60 -

stwierdził Klein. — Co mu wtedy powiesz, Harry?

— O, to akurat proste. — Van Buren uśmiechnął się. — „Pobłogosław mi, ojcze, bo zgrzeszyłem”.

Kiedy Vaughan otworzył bramę i wszedł do magazynu, wydawało się, że są wszyscy. Meyer, Teusen, brat Konrad, a na szczycie schodów, w oszklonym biurze, stał Charles Pascoe z ojcem Pacellim i jakimś siwowłosym mężczyzną.

Meyer, który nerwowo chodził tam i z powrotem, podskoczył do majora.

— Dostałeś moją wiadomość?

— Jestem tu, nie? — Vaughan rozpiął kurtkę. — Co to jest, spotkanie zarządu?

— Coś w tym stylu — odparł Teusen nie wstając z trumny, na której siedział razem z Konradem.

Vaughan skinął głową franciszkaninowi.

— Ciągle tutaj?

Brat Konrad uśmiechnął się.

— Na to wygląda.

— Kim są ci nowo przybyli? — Vaughan spojrział w stronę biura.

Odpowiedział mu Teusen:

— Ten siwowłosy to Kurt Nordern, profesor medycyny sądowej na uniwersytecie.

— Medycyny sądowej? — zdziwił się Vaughan. — A na co on nam, do diabła, potrzebny? Pascoe nie powiedział?

Teusen wzruszył ramionami.

— Przypuszczam, że powie, kiedy uzna to za stosowne.

Meyer uśmiechnął się słabo.

— Więcej trupów.

— To przychodzi na nas wszystkich, Julius — rzucił wesoło Vaughan. — A ten drugi, to kto?

— Później, Simon — powiedział Teusen.

Vaughan wzruszył ramionami i, zapaliwszy papierosa, oparł się o bok ciężarówki. Po chwili drzwi biura otworzyły się i ukazał się w nich Pascoe z Nordernem.

— Bardzo dziękuję — odezwał się Pascoe po angielsku. — Czekam na pański raport, Herr Professor.

Nordern uściśnął mu rękę, po czym zszedł ze schodów. Był to wysoki, szczupły mężczyzna, lekko przygarbiony, ubrany w tweedowy płaszcz. Przystanął na dole

z lekko otumanionym wyrazem twarzy, zaraz jednak włożył na głowę kapelusz, otworzył drzwi i zniknął w ciemnościach.

Pascoe spojrzął na Vaughana.

— A, jest pan, majorze. Dobrze. W takim razie możemy zaczynać. Gdyby zechciał pan przyjść na górę... — Odwrócił się i wszedł z powrotem do biura.

Na ścianie przyczepiona była mapa obejmująca obszar przygraniczny od Flossen do Neustadt. Był tam tak że wojskowy plan okolic zamku i wioski w dużej skali, dostarczony przez Teusena.

- 61 -

— Będę szedł krok po kroku, panowie — zaczął Pascoe — i jeśli zdobędziecie się na cierpliwość, sądzę, że zobaczycie, jak wiele pozornie odmiennych punktów łączy się w końcu w jedną całość.

Nikt się nie odezwał, więc ciągnął dalej:

— Na początek — tutaj, zaraz za Flossen, w Bitterfeld, znajduje się nie używane lotnisko myśliwców Luftwaffe, które posłuży nam za bazę. Sam posterunek graniczny we Flossen mamy w kieszeni. Sierżant Vopo i szeregowiec, którzy przez najbliższe dwadzieścia osiem dni będą na nocnej zmianie. Obaj bardzo chcieliby znaleźć się tutaj. To — w pewnych granicach oczywiście — daje nam dostęp na drugą stronę.

— A kiedy już się tam dostaniecie, to co dalej? — zapytał Vaughan. — Będziecie mieli stamtąd około osiemdziesięciu kilometrów do Neustadt... z czego większość to wrzosowisko Holstein, jeden z najślabiej zaludnionych obszarów kraju. Paru drwali i garstka rolników.

Pascoe kiwnął głową.

— Wydaje mi się, że jeśli chodzi o ruch, to są tam głównie wojskowe pojazdy

Vopo i lotne patrole.

— Lotne patrole? — zdziwił się Meyer.

— Motocykliści Vopo bez ustalonej trasy. Mają za zadanie jeździć po całym terenie. Tak, żeby nikt nigdy nie mógł być pewny, gdzie się pojawią.

— Wynika z tego — odezwał się Vaughan — że każdy inny przejeżdżający tamtędy, chociażby w starej ciężarówce na kartofle, będzie wystawał jak chory paluch.

— Och, nie wiem — zabrał głos Teusen. — W górach Harz mamy takie powiedzenie: „Jeśli chcesz się ukryć w lesie, musisz udawać drzewo”.

— Otóż to — powiedział Pascoe. — Myślę, że umie pan jeździć na motorze, majorze Vaughan?

— Zawsze wyglądałem lepiej w mundurze — zauważył Vaughan, po czym odpowiedział Pascoemu: — Oczywiście, profesorze. Jaka maszyna? Cossack?

— Tak — potwierdził Teusen.

— Dobrze — rzucił Pascoe. — Będziemy korzystać tylko z transportu wojskowego — i to właśnie takiego, jakiego używa Vopo. Pułkownik Teusen zapewnił mnie, że jest w stanie nam to załatwić.

— Nie ma problemu — potwierdził Teusen. — Pojazdy mogą być nawet autentyczne. Tylu z nich przeszło na naszą stronę w ciągu kilku ostatnich lat...

— Trzeba będzie oczywiście dokładnie przestudiować mapę i zapamiętać drogi, tak, żeby wybrana trasa — i co najmniej dwie inne, awaryjne — mogła być pokonana w nocy z rozsądną prędkością. Nie sądzę, by jazda do granicy zajęła więcej niż półtorej godziny.

Po krótkiej ciszy, w czasie której wszyscy jakby na coś czekali, głos zabrał

Vaughan:

— W porządku, więc jesteśmy już w Neustadt, gdzie trzymają Conlina...

— Pod strażą jedynie dwudziestu ludzi.

- 62 -

— ... w fortecy tak niedostępnej i tak rozplanowanej, że kiedy używano jej jako więzienia dla oficerów, nie zanotowano ani jednego przypadku ucieczki. Mam rację, Bruno? — Teusen nie odpowiedział, więc Vaughan ciągnął dalej: — Spójrzcie na to.

Kręty podjazd, mury jak skały, wjazd przez tunel, jedna strzeżona brama, potem następna. Nawet kolumna pancerna miałaby trudności z dostaniem się do środka.

— Ale nie hydraulik albo elektryk, gdyby ich potrzebowano — powiedział

Pascoe. — Problem w tym, że nie chodzi tylko o samo wejście do tej twierdzy, ale o to, by wyjść z niej z Conlinem.

— Wygląda na to, że ma pan już jakiś pomysł... Pascoe znowu wskazał na plan zamku Neustadt.

— Trzy poziomy... Według naszych informacji Conlina trzymają na najniższym.

Teraz spójrzcie na to. — Rozwinął inny plan. — W czasie wojny, gdy zamek był kwaterą dowództwa armii, zmodernizowano kanalizację. Tutaj, na trzecim poziomie, niedaleko od celu, jest komora kontrolna, która daje dostęp do kanału ściekowego o średnicy dwóch i pół metra, wylanego betonem i opadającego dalej w dół do Elby, do której zresztą nie dochodzi, bo według raportu inżyniera praca została wstrzymana sto pięćdziesiąt metrów od rzeki.

— Dlaczego?

Teusen wzruszył ramionami.

— Był rok czterdziesty piąty i nadchodzili Rosjanie. Nikt już nie potrzebował kwatery dla dowództwa armii.

Vaughan spojrział na plan i na jego ustach pojawił się lekki uśmiech. W tym wszystkim był jakiś czarny humor, który mu odpowiadał: myśl o niemieckich robotnikach, harujących tam na dole w ciemnościach, podczas gdy cały ich świat się walił.

— Pięknie. Nie widzę jednak w tym wszystkim szansy dla Conlina — zauważył.

— Owszem, jeśli weźmie pan pod uwagę fakt, że tunel przechodzi blisko Domowej Farmy, siedziby Franciszkańskiego Zakonu Jezusa i Marii — stwierdził Pascoe. — Jak pan widzi, stoi tam duża stodoła, dokładnie na linii granicznej. Stamtąd jest w prostej linii dwadzieścia jeden metrów do głównego zamkowego ścieku.

— Przez cmentarz — mruknął Vaughan do Meyera. — Teraz rozumiem, dlaczego sprowadzono lekarza sądowego. Ciekawe, ile śmiertelnych chorób można złapać, przekopując się przez taki kompost.

— Żadnej, z jaką nie można by sobie poradzić, stosując właściwe środki zapobiegawcze i odpowiednie lekarstwa — stwierdził Pascoe. — A ponieważ w Neustadt jest panna Campbell, mamy lekarza na miejscu.

— A kto będzie kopał? — Vaughan odwrócił się do Konrada. — Wasi ludzie, tak? Wszystkich sześciu? I jak długo miałyby to potrwać?

— Tydzień — odparł Pascoe. — Tylko trzy metry w dół. Ziemia jest miękka — tak twierdzi brat Konrad.

— A co potem? Conlin wychodzi przez tę króliczą dziurę... Ile czasu minie,

zanim psy gończe trafią do farmy?

— Do tej pory spiżarnia będzie już pusta. Brat Konrad i jego przyjaciele też przechodzą.

Konrad uśmiechnął się niemal przepraszająco.

— Dla nas to i tak już koniec. Nie sędzę, żebyśmy mogli wytrzymać kolejny rok takiej presji politycznej, jaką się wobec nas stosuje.

Vaughan skinął głową w stronę Pacellego i zapytał:

— Kto to jest?

— Nazywam się Pacelli — odezwał się zakonnik. — Reprezentuję w tej sprawie Towarzystwo Jezusowe, którego ojciec Conlin jest członkiem.

— O czym on mówi...? — Meyer wyglądał na zdezorientowanego.

— Jezuici, Julius — wyjaśnił mu Vaughan. — Żołnierze Chrystusa. Tak się świetnie bawili prowadząc przebiegłe gierki z Elżbietą I, że od tego czasu nie mogą przestać. Na czym ma polegać wasza rola w tej sprawie, ojczy?

— Organizujemy jednemu z naszych przedstawicieli w Berlinie Wschodnim, ojcu Hartmannowi, wizytę w Neustadt, w celu opracowania raportu o stanie tamtejszego kościoła, zamkniętego od pięciu lat.

— I co chcecie przez to uzyskać?

— Nic — odparł pogodnie Pacelli.

— Wschodnioniemiecki wywiad będzie pewnie spodziewał się kogoś... — powiedział Pascoe.

— Więc dajecie im Hartmanna?

— Żeby mieli zajęcie.

— A jemu to odpowiada?

— Najzupełniej — wtrącił Pacelli.

— To dobrze. — Vaughan wzruszył ramionami. — W porządku. Ale co dalej?

— Brat Konrad wraca jutro tą samą drogą, którą tu przybył. Pan pojedzie za nim trochę później — za dwa, może trzy dni. Ale o tym możemy porozmawiać potem. Jest jeszcze jedna sprawa. Przyszło mi do głowy, że stan zdrowia Conlina może być taki, że rozsądnie by było przerzucić go na Zachód jak najszybciej. Widzę tu, na mapie, pół kilometra na południe od farmy, łąkę nad rzeką.

— To Łąka Wodnego Konia — powiedział brat Konrad. — Nie wiem, skąd pochodzi ta nazwa. Dobry, twardy grunt. Trzysta metrów otwartej przestrzeni między drzewami.

— Myślę, że lekkie samoloty latały już tam nocą poniżej ich ekranów radiolokacyjnych, by przewieźć ludzi — odezwał się Pascoe. — Zna pan może takiego śmiałka, który by to potrafił, Bruno?

Teusen pokręcił przecząco głową.

— Nie, ale oni pewnie tak — wskazał na Vaughana i Meyera.

Pascoe czekał, aż w końcu Vaughan westchnął i spojrzał na Meyera.

— Nie wiesz, gdzie się może podziewać Max?

— Zakładam, że ten Max jest dobry — powiedział Pascoe.

— Tak uważała Luftwaffe.

- 64 -

— To było dawno.

— Zestrzelił siedemdziesiąt dwa lancastery... Wszystkie nocą. A pewnych rzeczy się nigdy nie zapomina.



— Może go pan dla mnie znaleźć?

— Spróbuję.

— Dobrze. Jak najszybciej, proszę. — Pacelli wstał. — Jeżeli to już wszystko, to chciałbym wracać. Mam jeszcze robotę.

— Oczywiście — odparł Pascoe. — Majorze Vaughan, może mógłby pan odwiedzić ojca Pacellego do Centrum Informacji Katolickiej?

Stary zakonnik potrząsnął głową.

— Dziękuję, nie trzeba. Proszę mi tylko pokazać drogę do najbliższej stacji metra, majorze. Przyda mi się trochę ruchu.

Kiedy szli wzdłuż kanału w stronę mostu, Pacelli odezwał się:

— Chciałem mieć okazję porozmawiania z panem, majorze Vaughan.

— Tak..?

— Słyszałem, że był pan jeńcem wojennym w Korei. Przez dwa lata trzymali pana Chińczycy, więc jest pan czymś w rodzaju eksperta od technik Pawłowa i im podobnych. Co będzie z Conlinem?

— Mogę tylko zgadywać — odparł Vaughan — bo nie jest to normalny przypadek.

— Proszę to wyjaśnić.

— Nasz przyjaciel, van Buren, nie ma za wiele czasu. A właśnie czasu potrzeba, by osiągnąć naprawdę dobre, trwałe rezultaty przy reformie myśli. Będzie musiał dążyć do szybkich wyników, być może pomagając sobie narkotykami. Jeśli jednak znajdzie odpowiednio czułe miejsca, nawet przez dwa-trzy tygodnie może wiele zdziałać.

— Ojciec Conlin jest starym, schorowanym człowiekiem...

— To akurat może być dla niego korzystne. Proszę pamiętać, że oni wcale nie życzą sobie jego śmierci. Będą musieli obchodzić się z nim ostrożnie, i to nie tylko dlatego, że byłoby widać sińce. Wątpię, żeby jego serce wytrzymało zbyt dużo w tym wieku.

— A więc... jak van Buren zacznie?

— Od pozbawienia go bodźców zewnętrznych. Jakiś tydzień w ciemnym pomieszczeniu, odcięcie od kontaktów z ludźmi i bodźców zmysłowych. To może doprowadzić do takiego straszliwego poczucia alienacji, że niektórzy chwytają się potem pierwszej wyciągniętej do nich ręki.

— Robiono to panu?

— Wiele razy.

— I wytrzymał to pan?

— Powiedzmy, że pęknięć nie widać. — Vaughan uśmiechnął się. — Mam żywą wyobraźnię, ojczu. To moja irlandzka część. Wymyślałem różne historie dla zabicia czasu.

— Ojciec Conlin wytrzyma — stwierdził z przekonaniem Pacelli.

- 65 -

— Może... Ale nie wiem, jakie są jego czułe miejsca. Jeżeli van Buren je znajdzie, może być źle.

— A sądzi pan, że ojciec Conlin ma jakieś słabości? Te czułe miejsca, o których pan mówi?

— Jest człowiekiem, czyż nie? Jak to mówi Biblia? Poczęty w nikczemności...

Wszyscy jesteśmy dotknięci grzechem pierworodnym. Myślałem, że to właśnie głosicie.

Kiedy dotarli do mostu i weszli po stopniach, Vaughan powiedział:

— Niech ojciec idzie na drugą stronę — jakieś pół kilometra dalej znajdzie ojciec stację metra.

Pacelli przystanął.

— A więc doprowadzi pan to do końca, majorze? I nie dla pieniędzy, jak sędzę.

Vaughan również zatrzymał się i uśmiechnął.

— Dla czego więc?

— Na pewno nie dla tej młodej damy. No, może częściowo, ale to byłaby za łatwa odpowiedź. Nie, majorze, może pan być twardym człowiekiem — pana przeszłość tego dowodzi — ale to tylko jedna strona medalu i jednocześnie skorupa ochronna. Pod nią jest chłopiec, który stanowiął załogę na barce swego ojca na Tamizie tamtego długiego, długiego lata, i który nigdy nie chciał, by to lato się skończyło. Chłopiec, który potem stwierdził, że życie jest bardziej paskudne, niż się spodziewał.

— Idź do diabła! — rzucił chrapliwie Vaughan, po czym odwrócił się i odszedł.

7.

Następnego dnia w Rzymie, w wieku osiemdziesięciu jeden lat, zmarł Jego Świątobliwość papież Jan XXIII. W jego sypialni w Pałacu Watykańskim krąg klęczących kardynałów odśpiewał chórem *De profundis* — pierwsi z milionów, które na całym świecie miały opłakiwać najbardziej kochanego papieża naszych czasów.

Generał jezuitów stał przy oknie w swoim biurze w Collegio di San Roberto Bellarmino, gdy lekko zapukano do drzwi i wszedł ojciec MacLeod.

— Chciał mnie ojciec widzieć?

— Tak. Chodzi o ojca Pacellego. Skontaktuj się z nim w Berlinie. Ma wracać jak najszybciej.

— A ojciec Hartmann?

— To już sprawa Pacellego — odparł generał nie odwracając się.

Kiedy drzwi zamknęły się cicho, upadł na kolana i zaczął się modlić o spokój duszy człowieka, który rozpoczął życie jako Angelo Giuseppe Roncalli.

Pacelli niecierpliwił się, stojąc przy oknie swego biura w Centrum Informacji Katolickiej w Berlinie Zachodnim. Gdy poobijany mały volkswagen skręcił w Budapestenstrasse i zatrzymał się przy krawężniku na dole, stary ksiądz wydał okrzyk ulgi. Vaughan, który siedział w kącie na krześle i czytał gazetę, wstał i podszedł do okna.

— A więc to on — powiedział, gdy Hartmann wysiadł i ruszył w kierunku człowieka, który ustawiał właśnie swój motor po przeciwnej stronie ulicy.

— Tamten to Schaefer, jego cień z Sekcji Szóstej — poinformował Vaughana Pacelli.

— Wyglądają na całkiem zaprzyjaźnionych ze sobą.

— Jest pan pewien, że poradzi pan sobie z nim? Vaughan skinął głową.

— Bez problemu.

— W porządku. Dałbym panu moje błogosławieństwo, ale nie sądzę, żeby zostało dobrze przyjęte. — Pacelli uśmiechnął się i wyciągnął rękę. — Mogę więc tylko życzyć panu powodzenia, majorze Vaughan.

— To zawsze pomaga — stwierdził Vaughan i wyszedł.

Po chwili ktoś zapukał, drzwi ponownie się otworzyły i wszedł Hartmann.

— A, jesteś, Erich.

Nowo przybyły położył na biurku skórzany neseser.

— Słyszałeś nowiny? — spytał Pacelli.

Hartmann wlepił w niego wzrok.

— Nowiny...?

- 67 -

— Krzesło Świętego Piotra jest wolne, Erich. Papież nie żyje. Dostałem wiadomość zaledwie godzinę temu.

Hartmann przeżegnał się. Widać było, że jest wstrząśnięty. Pacelli usiadł za biurkiem.

— Udało ci się?

— Tak, ojczy. — Hartmann otworzył neseser i wyjąwszy dużą kopertę, podał ją przez biurko.

Pacelli otworzył kopertę i rozłożył dokument, który z niej wyjął.

— Doskonale — powiedział. — Podpisane również przez samego ministra.

— Proszę zauważyć, że wolno mi jechać do Neustadt dopiero za kilka dni.

Pacelli wzruszył ramionami.

— Opóźniają, ile się da. Można się było tego spodziewać.

— Mam też stosować się do poleceń wojskowego komendanta tego obszaru.

— Którym prawdopodobnie będzie van Buren. — Pacelli pokiwał głową, złożył pozwolenie i oddał je Hartmannowi. — Miałem nadzieję, że zostanę tu, by zobaczyć, jak doprowadzasz sprawę do końca, Erich, ale teraz muszę wracać do Rzymu. Sam rozumiesz.

— Tak, ojcze. — Hartmann zawahał się, po czym zapytał ostrożnie: — Czy nowa sytuacja w Rzymie coś zmienia?

— Chodzi ci o to, czy nowy papież pochwali nasze działania? — Pacelli uśmiechnął się smutno. — Sądzę, że nie, jeśli zwycięży kandydat, o którym najczęściej się mówi. Podobno kiedyś stwierdził, że ma mało czasu dla mafii — czy to w Kościele, czy poza nim.

— I tak właśnie widzi nasz zakon?

— Towarzystwo Jezusowe zawsze miało wrogów, Erich, wiesz o tym. To ci, którzy są przeciwni naszej władzy, naszemu wpływom.

— A więc polecenia ojca w tej sprawie mogą zostać cofnięte?

— Nie, jeśli się pospieszymy. Na konklawe w Kaplicy Sykstyńskiej, w czasie wyboru nowego papieża, powinno być obecnych osiemdziesięciudwóch członków Kolegium Kardynalskiego. Kardynał Mindszenty nie może przybyć — ciągle siedzi jak w potrzasku w ambasadzie USA w Budapeszcie, a prymas Ekwadoru jest za stary na podróże, ale pozostali przyjadą, z każdego zakątka globu — lecz to trochę potrwa.

— Jak długo?

— Najmniej dwa tygodnie, a może nawet trzy.

— Rozumiem z tego, że działania w sprawie ojca Conlina są już mocno

zaawansowane?

Pacelli skinął głową i powiedział:

— Podczas naszego ostatniego spotkania wspominałem ci o pewnym Angliku

— profesorze Charlesie Pascoe.

— Pamiętam.

— On tu teraz sprawuje całkowite kierownictwo... nad wszystkim. — Pacelli

podkreślił to. — Od tego momentu wszelkie polecenia będziesz otrzymywał tylko od niego. Dziś po południu masz spotkanie, na którym szczegółowo objaśnią ci całą

- 68 -

operację. Sam zobaczysz, że Pascoe wspaniale nadaje się do tego typu rzeczy.

— A Schaefer? — Hartmann podszedł do okna. — Co z nim?

Pacelli dołączył do niego.

— Nie ma sprawy. Kiedy stąd wyjdiesz, idź do podziemnego garażu.

Znajdziesz tam starą ciężarówkę z napisem „Meyer i Spółka”. Wejdź na jej skrzynię

i zostaniesz zabrany na spotkanie z Pascoem. — Uśmiechnął się i położył dłoń

na ramieniu młodego księdza. Boisz się Neustadt, Erich?

— Nie, ojcze.

Pacelli westchnął.

— Tak właśnie myślałem. Ale lepiej nie szarżuj.

— Ojcze... — Hartmann zawahał się, i Pacelli czuł, że zastanawiał się, czy poprosić o błogosławieństwo.

— Lepiej już idź, Erich — powiedział stary jezuita. — Profesor Pascoe będzie czekał.

Hartmann wyszedł. Pacelli wyjrzał przez okno: Schaefer chodził tam

i z powrotem pod drzewami, z podniesionym kołnierzem. Wyglądał bardzo nieszczęśliwie. Zakonnikowi zrobiło się go żal, szybko jednak odegnał to współczucie. Wrócił do biurka i zaczął pakować swoją małą walizkę.

Podziemny garaż był zdumiewająco duży. Stało w nim z pół tuzina samochodów i ciężarówka, o której mówił Pacelli. Hartmann podszedł na jej tył i — zgodnie z poleceniem — zaczął się wspinać na skrzynię. Nagle zawahał się, po czym przeszedł na przód i zajrzał do szoferki.

Vaughan siedział rozparty na siedzeniu kierowcy, z czapką nasuniętą na oczy.

Popchnął ją palcem do góry i westchnął.

— Do tyłu — rzucił. — Zasada numer jeden w tej zabawie: zawsze rób, co co każą.

Zakonnik odwrócił się bez słowa, obszedł ciężarówkę i z powrotem wszedł na skrzynię. Usiadł na podłodze, opierając się plecami o szoferkę. Chwilę później samochód ruszył.

Hartmann siedział za biurkiem w gabinecie Teusena i studiował ostatnią z teczek, które dostał od Pascoego — tę dotyczącą Simona Vaughana. Kiedy skończył, z westchnieniem odchylił się na krzesło, pocierając oczy.

Drzwi otworzyły się i wszedł Pascoe.

— Już?

— Tak.

— A więc... teraz wie ojciec tyle, co ja. Zna nasze zamiary w tej sprawie i szczegóły dotyczące przeszłości tych, z którymi będzie ojciec pracował.

— Tak... to niezwykle ciekawe. Ten major Vaughan na przykład.

— Nie podoba się ojcu?



— Przyzna pan, że ma dosyć zastanawiającą przeszłość...

— Nie interesuje mnie, czy jakiś człowiek jest złodziejem, ojcie. Tylko czy jest złodziejem, na którym można polegać. Vaughan pracuje dla pieniędzy. To czyni z niego bardzo rzetelnego.

- 69 -

Zapukano do drzwi i do środka zajrzał Teusen.

— Brat Konrad jest tutaj. Jest gotowy do drogi.

— Dobrze. Poproś go.

Konrad wszedł. W swoich sztruksach, dwurzędowym płaszczu i tweedowej czapce wyglądał zupełnie jak robotnik.

— Ojcie Hartmann, to jest brat Konrad z Franciszkańskiego Zakonu Jezusa i Marii w Neustadt.

Dwaj mężczyźni podali sobie ręce.

— Wraca brat dzisiaj do Neustadt? — spytał Hartmann.

— Nie, tylko do Berlina Wschodniego. Będę nocował u siostry, a jutro pojedę do Neustadt.

— Jaką sytuację tam zastanę? — dopytywał się Hartmann. — Przypuszczam, że we wsi są jeszcze jacyś katolicy.

— Było ich wielu, ale to dawne dzieje. Nie można być dobrym członkiem partii i jednocześnie chodzić do kościoła. Wie ojciec, co się stało z kościołem Świętego Imienia?

— Tak, zamknięto go pięć lat temu. Oficjalnym powodem był brak wiernych.

— Ostatnio naszą parafią zarządzał ojciec Honecker. Wspaniały człowiek i bardzo lubiany. Ale miał już osiemdziesiąt lat i był bardzo słaby. Komendant

okręgu był niezadowolony, że liczba wiernych wciąż się powiększa. Bo widzi ojciec, Honecker z radością przyjmował wszystkich. Nie miało dla niego znaczenia, czy ktoś był partyjny, czy nie.

— I co się stało?

— W Świętym Imieniu był sławny krzyż — chyba średniowieczny — zwany Krzyżem Świętego Michała. Dębowy, z przepiękną figurą Zbawiciela. Stał w kamiennym stelażu obok ołtarza. Pewnej nocy komendant okręgu kazał go usunąć i postawić u stóp wzgórza, w lasku nad Elbą. Honecker poszedł do komendanta i usłyszał, że kościół będzie zamknięty, dopóki Krzyż Świętego Michała nie wróci na swoje miejsce. Jedynym warunkiem było, żeby ojciec Honecker przeniósł go sam... a krzyż ważył kilkaset kilo.

— Oczywiście spróbował...?

— Tak. I zmarł na atak serca.

Nastała cisza. W drzwiach, za plecami Konrada, Hartmann zauważył Vaughana.

— Cóż, nie możemy brata zatrzymywać. — Wziął z biurka jakąś kopertę i wręczył ją franciszkaninowi. — To dla pani doktor Campbell. Raport profesora Norderna.

— Dobrze. — Konrad wcisnął kopertę do wewnętrznej kieszeni płaszcza i odwrócił się do Vaughana. — A więc kiedy mogę się pana spodziewać? Pojutrze?

— Czemu nie — odparł Vaughan.

Franciszkanin stanął twarzą do wszystkich i uklonił się w staromodny sposób.

— Do zobaczenia zatem, panowie.

Kiedy wyszedł, Pascoe odezwał się do Hartmanna:

— Major Vaughan odwiezie teraz ojca do Centrum Informacji Katolickiej.

Schaeferowi zabrakło papierosów, był zmarznięty i już w całkiem ponurym nastroju, kiedy Hartmann wyszedł z Centrum Informacji Katolickiej i podszedł do niego.

Schaefer zdobył się na uśmiech.

— Jest ojciec wreszcie. Możemy wracać do domu?

— Przykro mi, Horst — powiedział Hartmann. — Niestety będę musiał zostać tu na noc. Mam nadzieję, że nie sprawi ci to zbyt wielkiego kłopotu.

— Chyba nie będzie musiało, prawda...? Schaefer usiłował nadać swojemu głosowi urażony ton, ale nie bardzo mu się to udało. Jego jedyną wielką słabością były kobiety i krew krążyła mu już szybciej na myśl o prostytutkach z hotelu „Astoria”. Sto metrów dalej, po drugiej stronie ulicy, widział wejście do hotelowego baru.

— Będę musiał wziąć ojca kluczyki od samochodu.

— Jasne. — Hartmann dał mu je. — Chciałem powiedzieć ci jeszcze jedno.

W następną niedzielę...

— Jedzie ojciec do Neustadt, jakiejś zapomnianej przez Boga wiochy na skraju wrzosowiska Holstein. Tak, słyszałem o tym, ojcze. Biuro informuje mnie na bieżąco o takich drobiazgach.

— To wspaniale. Obawiam się jednak, że mogę tam spędzić kilka tygodni.

— Wiejskie powietrze dobrze mi zrobi. Za dużo palę.

— A twoja żona?

— Nic jej nie będzie. Dziecko ma się urodzić dopiero za trzy miesiące, a poza

tym mieszka teraz z nami jej matka. To jeszcze jeden dobry powód, żeby wyrwać się na jakiś czas. Zobaczymy się rano, ojciec.

Skopnął z nóżki swoje BMW i poprowadził je wzdłuż chodnika w stronę „Astorii”. Hartmann szybko wrócił na drugą stronę ulicy. Kiedy wszedł do biura na pierwszym piętrze, Vaughan i Meyer stali przy oknie.

— Przyjął to całkiem dobrze — oznajmił im Hartmann.

— Na pewno? — spytał Vaughan. Zwrócił się do Meyera: — Julius, zawieź ojca Hartmanna do mieszkania Brunona. I przyjedź po mnie za godzinę.

Hartmann wyglądał na zdziwionego.

— Zostaje pan tutaj?

— Zgadza się.

Vaughan nie zwracał już na niego uwagi, pochłonięty obserwacją Schaefera, który właśnie dochodził do hotelu. Hartmann po chwili wahania wyszedł za Meyerem. Schaefer był już pod „Astorią”. Zaparkował BMW, zamykając tylne koło na łańcuch z kłódką, i wszedł do środka. Vaughan przystawił do okna krzesło, zapalił papierosa, usiadł i czekał.

Po wejściu do niewielkiego baru „Astorii”, Schaefer ku swemu rozczarowaniu spostrzegł, że nie ma tu nikogo poza właścicielem lokalu, Willim Scheelem — obrzydliwym tłustym facetem, który tkwił za kasą i czytał sportowe gazety.

Scheel podniósł wzrok.

- 71 -

— Herr Schaefer? Miło pana widzieć. Zamawia pan pokój?

Sięgnął po butelkę koniaku i nalał trochę do kieliszka, który następnie pchnął przez kontuar.

— Tylko na tę noc, Willi. — Schaefer jednym haustem połknął koniak. — Daj mi paczkę papierosów. Masz zastój w interesach?

— Jeszcze wcześniej — odparł Scheel. — Przy takiej pogodzie za parę godzin będzie ich tu jak sardynek w puszcze. — Pulchną dłonią dotknął klapy płaszcza Schaefera i wzdrygnął się. — Jest pan cały przemoczony. Potrzebna panu gorąca kąpiel.

— To brzmi zachęcająco.

Scheel podniósł głos.

— Jutta! Gdzie jesteś? Chodź no tu! — Nalał Schaeferowi nową porcję alkoholu.

— Jutta? — spytał Schaefer. — Jakaś nowa?

Scheel skinął głową.

— Bóg jeden wie, jak trudno dzisiaj o przyzwoitą pomoc, ale ta cizia...

Na widok czegokolwiek w spodniach zachowuje się jak goniąca się suka.

Schaefer upił trochę koniaku.

— Naprawdę?

— Będzie pan musiał z nią uważać. — Scheel uśmiechnął się przyjacielsko.

Doszedł ich ochryply, rozdrażniony głos:

— Słucham, czego pan chce?

Schaefer odwrócił się i ujrzał młodą niską kobietę, stojącą w wejściu do baru.

Miała wystające kości policzkowe, migdałowe oczy i twarz zepsutego dziecka. Jej czarna sukienka była dużo za krótka, pognieciona i poplamiona, a buty z czarnej lakierowanej skóry miały niewiarygodnie wysokie obcasy.

Schaefer omal nie zachłysnął się resztką koniaku. Scheel powiedział:

— Zaprowadź pana Schaefera do dziewiątki i przygotuj mu kąpiel. Potem

możesz się urwać. — Pchnął butelkę koniaku w stronę agenta. — Niech pan to lepiej weźmie, dobrze panu zrobi. To wspaniały środek na poty w czasie kąpieli...

Zaczął się śmiać, a Schaefer chwycił butelkę i z wyschniętym gardłem pospieszył za dziewczyną. Była już w połowie schodów — sukienka napinała jej się na pośladkach, w czarnych pończochach widać było oczka. Kiedy manipulowała kluczem w drzwiach, stał tuż za nią, czując już przyływ podniecenia.

Obejrzała się i powiedziała z uśmiechem:

— Lepiej szybko zdejmij ten płaszcz. Przeziębisz się na śmierć. Przygotuję ci łóżko.

Schaefer odłożył butelkę i zaczął rozpinąć płaszcz, a ona pochyliła się nad łóżkiem, by odchylić narzutę. Sukienka podjechała jej przy tym do góry, odsłaniając nagie ciało nad pończochami. Było to ponad jego wytrzymałość, toteż zaraz chwycił ją od tyłu i zaczął obmacywać jej piersi.

— Niegrzeczny chłopiec — powiedziała. — Zaziębisz się, ostrzegałam cię.

Potrzeba ci dobrego, mocnego drinka, żebyś się rozgrzał.

— A potem? — zapytał.

- 72 -

— Potem zobaczymy.

Poszła do łazienki i wróciła ze szklanką, którą napełniła prawie po brzegi.

Schaefer już zaczął się rozbierać. Podała mu szklankę.

— Proszę bardzo, złotko. Jeden duży, żeby cię przyhamować.

Prawie się zakrztusił połykając alkohol, a potem rzucił szklankę i pociągnął dziewczynę na łóżko. Grzebał rękoma przy guzikach jej sukienki, ale jego palce stały się nagle grube i niezręczne, i guziki nie dawały się odpiąć. Dziewczyna mówiła coś

do niego, lecz już nie słyszał, co — a po chwili jakby przestała istnieć.

Jutta poprawiła sukienkę, po czym podeszła do okna, otworzyła je i wychyliła się. Następnie wróciła do łóżka, przeszukała kieszenie Schaefera i znalazłszy jego papierosy, zapaliła jednego. Potem położyła się obok niego i oparła o poduszkę.

Po chwili drzwi otworzyły się i wszedł Vaughan.

— O, jak miło — powiedział po niemiecku. — Błękitny Anioł, wersja lekko podniszczona...

Dziewczyna uśmiechnęła się z przymusem, ale gdy się odezwała, jej głos był świeży i brzmiał jak głos damy:

— Nie wiem, co wsypałeś do tej butelki, ale z pewnością rozłożyło go to.

Zresztą w samą porę. To lubieżny samiec.

Vaughan uniósł jedną powiekę Schaefera.

— Wystarczy na dziesięć albo dwanaście godzin, powiedziałbym. Dobre prochy, ale trzeba mieć mocne serce, żeby to wytrzymać. Mam nadzieję, że on wytrzyma...

— Ty draniu — powiedziała.

Przejrzał marynarkę agenta i znalazł portfel. Zawierał kilkaset marek, zdjęcie żony i dzieci, świadectwo zwolnienia z wojska w randze sierżanta, legitymację SSD i różne papiery ubezpieczeniowe.

Włożył wszystko z powrotem do portfela.

— Odeślę ci to za dwie godziny. Posiedź z nim jeszcze trochę, a potem możesz iść.

— Wielkie dzięki.

— Co robisz teraz? Pracujesz gdzieś?

— W przyszłym tygodniu mam sztukę telewizyjną, a niedługo potem próbę głosu do filmu wojennego w Monachium.

— Mocno zajęta, co?

Wyszedł, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Dziewczyna zapaliła nowego papierosa i oparła się wygodnie, wpatrując się w sufit. Leżący obok Schaefer zaczął lekko chrapać.

W świetle lampy stojącej na biurku Teusen dokładnie obejrzał papiery i z satysfakcją pokiwał głową.

— Powiedziałem dziewczynie, że za parę godzin dostanie portfel z powrotem

— odezwał się Vaughan.

— Nie ma sprawy. Każę go odnieść jednemu z moich ludzi.

— Dobra. Myślę, że ona by chciała zmyć się stamtąd jak najszybciej. Jest dobrą

- 73 -

aktorką, ale granie dziwki na scenie telewizyjnej to jedno, a rzeczywistość to zupełnie co innego.

— Nie powiedziałeś o tym Hartmannowi?

— Nie sądziłem, żeby mu się to spodobało.

Teusen skinął głową.

— Masz rację. Mógłby coś namieszać.

— Gdzie jest Pascoe?

— W ambasadzie amerykańskiej. Miał zamówioną szyfrowaną rozmowę z Sekretarzem Stanu. Co masz zamiar teraz robić?

— Czy on wciąż uważa, że Conlina najlepiej wywieźć samolotem?

— Tak.



— W takim razie musimy poszukać Maxa Kubla, i to szybko.

— Spodziewasz się jakichś problemów?

— Chyba nie. Ale wiesz, jaki Max jest nieuchwytny. Chociaż Julius wypuścił już swoje czułki...

Przeszli do innego pokoju. Na balkonie stał Hartmann, spoglądając na miasto.

Meyer rozmawiał przez telefon. Gdy skończył, zwrócił się do Vaughana:

— To był Ziggy. Nie wie, gdzie Max gra w tym tygodniu, ale wygląda na to, że

Madame Rosa to jego skrzynka kontaktowa.

— Gra...? — zdziwił się Teusen.

— Na fortepianie — wyjaśnił Meyer. — Zarabia grając jazz po klubach.

— Wpadniemy do Rosy, a po drodze podwieziemy ojca — powiedział

Vaughan.

— Może mógłbym wam towarzyszyć? — zaproponował Hartmann. — Brzmi to interesująco.

— Nie tyle interesująco, co brutalnie. Być może zbyt brutalnie, jak na ten kołnierzyk.

Teusen poszedł do sypialni i wrócił z czarnym jedwabnym szalem, który wręczył ojcu Hartmannowi.

— Po czyjej stronie ty jesteś? — spytał Vaughan Teusena.

Hartmann zawiązał szalik tak, by zakrył koloratkę.

— Zadowolony pan, majorze?

— Czemu nie? To może być ciekawy wieczór.

Jechali stłoczeni w kabinie ciężarówki — prowadził Vaughan. Nad

Kurfurstendamm, najelegantszą ulicą Berlina Zachodniego, wznosiła się oświetlona

reflektorami wieża upamiętniająca cesarza Wilhelma.

— Berlin — odezwał się Meyer. — Co za miejsce... Uwierzyłby ojciec, że jedną trzecią tego zajmuje zieleń? W obrębie miasta jest ponad sto gospodarstw rolnych.

Dwadzieścia teatrów, Filharmonia Berlińska...

— I wielka różnorodność rozrywek bardziej cielesnych. Dla tych, którym to odpowiada — dorzucił oschle Vaughan.

— Niemniej to najwspanialsze miasto świata pod względem kuchni...

— Można by zapomnieć, że Gestapo wykurzyło go stąd w trzydziestym

- 74 -

dziewiątym — mruknął Vaughan.

Meyer zignorował go.

— To straszne wyznanie w ustach starego Żyda, ojczu, ale uwielbiam berlińskie jedzenie — całe jest koszerne, proszę mi wierzyć.

Vaughan skręcił w ulicę starych kamienic czynszowych, zatrzymał się przy krawężniku i wysiadł. Wszedł po schodach i sprawdził wizytówki.

— Dawno jesteście razem? — spytał Hartmann.

— Właściwie to nie — odparł Meyer. — Simon służył w wojsku, potem miał małe kłopoty na Dalekim Wschodzie...

— Tak, wiem o tym.

— Gdy go poznałem, był szefem policji w pewnym małym arabskim państewku. Uratował wtedy moją skórę.

— Ma pan o nim wysokie mniemanie.

— Jest dobrym człowiekiem.

— To tutaj! — zawołał Vaughan.

Nacisnął dzwonek, a potem powiedział coś do głośnika domofonu. Kiedy podeszli, drzwi otworzyły się i Vaughan poprowadził ich dalej. Było tu nawet dosyć przyzwoicie — ściany pomalowane na kremowo i wykładzina na wąskich schodach. Mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze. Mosiężna tabliczka na drzwiach głosiła: ROSA — CHIŃSKI ASTROLOG.

— O Boże — westchnął Meyer. — Z kim my się zadajemy?

— Nie podoba się to panu? — spytał Hartmann.

— Astrologia — chińska czy inna — to bzdura. W drzwiach stanęła bardzo stara kobieta. Miała na sobie długą czarną suknię, w uszach złote kolczyki, siwe włosy mocno związane z tyłu. Jej twarz przypominała pergamin, a oczy świeciły ciemnym blaskiem.

— Kiedy pan się urodził? — zapytała Meyera głosem niewiele głośniejszym od szeptu. — Dwudziesty siódmy czy dwudziesty dziewiąty grudnia?

Zaskoczony Meyer odpowiedział:

— Dwudziesty siódmy.

— Typowy Koziorożec — stwierdziła. — Gdyby umierał i przyprowadziliby mu lekarza, poprosiłby go o pokazanie dyplomu.

Vaughan uśmiechnął się szeroko.

— Myślę, że to całkiem celne spostrzeżenie, no nie, Julius? Tak na marginesie, to szukam Maxa. Maxa Kubla. Ziggy Schmidt sądził, że mogłaby pani nam w tym pomóc.

— Maxa? Jesteście jego przyjaciółmi?

— Właśnie.

— W porządku, wejdźcie.

W salonie było ciepło — w kominku, przed którym spały dwa koty, trzaskał ogień. Wszędzie leżały książki.

Gospodyni usiadła przy okrągłym mahoniowym stole i wskazała im ręką krzesła.

- 75 -

— Myślałam, że może przyszlście na przepowiadanie przyszłości...

Odezwał się Hartmann:

— Czemu by nie? Coś małego w zamian za pani czas. Ile?

— Każdy podarunek jest mile widziany. — Bacznie mu się przyglądała, a on wyjął portfel i wyciągnął z niego banknot stumarkowy. — W którym roku pan się urodził? U Chińczyków ważny jest rok.

— W tysiąc dziewięćset trzydziestym.

— Rok Konia. — Pokiwała głową. — Chyba koniec kwietnia...

— Zgadza się.

— W takim razie Koń i Byk. Służy pan wymagającemu panu. Sądzę, że najbardziej wymagającemu na świecie. — Sięgnęła do przodu i odchyliła szalik. —

No proszę, mam rację.

— Na to by wyglądało.

— Kierowany przez ogień i przez ogień strawiony. Musi pan uważać.

— Dziękuję, będę — powiedział z powagą.

Odwróciła się do Meyera, który zakrył twarz rękoma.

— Nie, ani słowa. Nie chcę słuchać tych bzdur.

— Niech pani nie traci czasu — odezwał się Vaughan. — Proszę lepiej spróbować mnie. Dwudziesty siódmy lipca tysiąc dziewięćset dwadzieścia sześć.

— Tygrys i Lew — powiedziała. — Oba zwierzęta drapieżne, a wszyscy ludzie boją się tygrysa w nocy. Chodzi pan po trupach, majorze. — Wstała. — Jestem zmęczona. Znajdźcie Maxa w klubie o nazwie „Tabu” na Josephstrasse.

Wyszła z salonu.

— Madame Sosostriś, „najmądrzejsza kobieta w Europie” — odezwał się cicho Hartmann. — Zna pan to, majorze?

— Lepszy jest wers, który następuje później — odparł Vaughan. — „Nie znajduję Wisielca”. Czuję, że ona go właśnie znalazła. Eliot wiedział, o czym mówi.

— Eliot? — zdziwił się Meyer. — Jaki Eliot?

— Nieważne, Julius.

— Ten klub... „Tabu”. Zna go pan? — spytał Hartmann.

— Berlińczyk, ojciec, lubi chełpić się tym, że może proponować swojemu gościowi wszystko, od najbardziej eleganckich nocnych klubów na świecie po nędzne bary.

— A „Tabu”?

— Nie jest ostatni na tej liście, ale... Może lepiej odwieziemy ojca po drodze.

— Nonsens — rzucił Hartmann. — To chyba konieczny etap mojej edukacji, nie uważa pan, majorze?

## 8.

W czasie drugiej wojny światowej niemieccy piloci myśliwców mieli ogromną przewagę pod względem potwierdzonych zwycięstw. Głównemu asowi Luftwaffe przypisywano niemal dziewięć razy więcej strąceń niż jego najlepszym brytyjskim i amerykańskim przeciwnikom, a kilkudziesięciu niemieckich lotników miało wyniki powyżej stu pięćdziesięciu samolotów. Ten zaczarowany krąg nie obejmował Maxa Kubla, który zakończył wojnę ze stu czterdziestoma dziewięcioma strąconymi samolotami na koncie.

Miał zaledwie dwadzieścia lat, kiedy po raz pierwszy zobaczył walkę, latając z Legionem Kondor w Hiszpanii. Później został zestrzelony w Polsce i ratował się na spadochronie; w czasie całej wojny przytrafiło mu się to jeszcze siedem razy. Po gwałtownym lecie czterdziestego drugiego roku, gdy zwycięstwo wydawało się tak bliskie, wysłano go na front wschodni. Zestrzelony pod Kijowem dwunastego czerwca czterdziestego trzeciego i wzięty do niewoli przez Rosjan, Max Kubel uciekł, porwał myśliwiec typu Jak i wrócił na tereny okupowane przez Niemców.

Dzięki temu wyczynowi mógł dodać do swojego Krzyża Rycerskiego kolejne odznaczenie: Liście Dębu. Zabroniono mu jednak brać udział w lotach bojowych, więc prawie przez rok musiał siedzieć za biurkiem w inspektoracie Luftwaffe.

Wiosną czterdziestego czwartego załatwił sobie przydział do formacji nocnych myśliwców.

We wrześniu czterdziestego czwartego dołączył do grupy testującej Me 262 — w owym czasie najnowocześniejszy myśliwski samolot odrzutowy na świecie.

Rankiem, drugiego dnia października, rozbił się w płonącym samolocie pod Hamburgiem i na rozkaz samego Göringa został przewieziony helikopterem

do szpitala w Weissach w Bawarii, gdzie opracowano specjalne techniki regenerowania na wpół upieczonych ludzkich ciał. Dopiero w marcu czterdziestego szóstego uznano, że jest w wystarczająco dobrej formie, by ponownie wynurzyć się na powierzchnię życia.

Siedzący w „Tabu” przy pianinie Max Kubel zupełnie nie wyglądał na swoje czterdzieści pięć lat. Miał jasne włosy i zuchwałe niebieskie oczy, które ogromnie podobały się kobietom. W starej kurtce Luftwaffe z czarnej skóry sprawiał niezłe wrażenie, toteż otoczony był dziewczynami, stojącymi na podwyższeniu nad małym parkietem. Kiedy Vaughan, Hartmann i Meyer wychylili się przez barierkę balkonu, zaczął właśnie grać *St. Luis Blues*.

— Dobry jest — stwierdził Hartmann.

— Uwielbia autoreklamę. Nosiłby swój Krzyż Rycerski, gdyby sądził, że to

- 77 -

przejdzie.

Meyer usiadł przy stoliku i zawołał kelnera.

— Chcecie coś do jedzenia? — zapytał swoich towarzyszy.

Vaughan zerknął na Hartmanna i potrząsnął przecząco głową.

— Może butelkę wina. Niersteiner albo coś w tym guście.

Kubel podniósł wzrok i zauważywszy ich pomachał ręką.

— Taki lot nocą wymagałby wielkiej odwagi... — zauważył Hartmann.

— W Innsbrucku mają jedną z najstarszych skoczni narciarskich na świecie. Jak się skoczy, to widać jeden z miejskich cmentarzy przy kościele. Jeśli masz talent, możesz wylądować w jednym kawałku trzysta szesnaście metrów niżej. — Vaughan zapalił papierosa. — Max ciągle robi takie rzeczy dla rozrywki. Był tyle razy ranny

w czasie wojny, że chyba musieli mu amputować nerwy, , kiedy się nim zajmowali.

Kubel przestał grać. Zastąpił go jakiś akordeonista. Klub był zatłoczony —

głównie mężczyźni w średnim wieku lub starsi i kobiety nie pierwszej młodości.

— Miłość na sprzedaż — mruknął Vaughan.

— Dlaczego pan sądzi, że ten grzech powinien mnie szokować, majorze? —

zauważył Hartmann. — Przeciętny ksiądz słyszy w konfesjonale więcej zła

i niegodziwości przez tydzień, niż przeciętny człowiek doświadcza w ciągu całego

życia.

W tym momencie na szczycie schodów ukazał się Kubel. Przystanął, by zapalić

papierosa, po czym przysunął sobie krzesło i dosiadł się do nich. Chłodno przyjrzał

się Hartmannowi i nagle jego oczy rozszerzyły się. Odciągnął szalik tamtego na bok.

— Dobry Boże...

— Nie martw się, nie przyszedłem ratować twojej duszy.

— Nie tym razem przynajmniej. — Ksiądz uśmiechnął się i wyciągnął rękę. —

Erich Hartmann.

Kubel sięgnął po butelkę wina.

— Ciągłe latasz „Czarną Suka?” — spytał obojętnym tonem Vaughan.

— Nie rozstałbym się z nią.

— Gdzie ją trzymasz?

— W prywatnym klubie niedaleko Celle. — Głos Kubla brzmiał leniwie, ale

w jego oczach pojawiła się ostrożność.

— Czarna suka? — zdziwił się Hartmann.

— Max ma stary samolot zwiadowczy typu Fiesler Storch. Pomalowany

na czarno dla kamuflażu. Czasami wykonuje pewne nocne loty...



— Już nie — powiedział Kubel. — Oni robią się za dobrzy. W kwietniu jeden z ich migów przechwyił Heiniego Brauna w Henschel i strącił go.

— To przecież kupa ruskiego złomu — rzucił Vaughan. — Taki stary wyga jak ty poradziłby sobie.

Kubel uśmiechnął się.

— Postanowiłem na stare lata zadowolić się prostszymi rzeczami, Simon. Dobre pianino, kieliszek wina, niezbyt wymagająca dama...

— I nic więcej? — zapytał Hartmann. — Czy na całym świecie nie ma niczego

- 78 -

więcej, co by pan chciał?

Kubel odwrócił się do niego.

— Właściwie nie, ojcze. Wszystko jest marnością. Czyż nie tak mówi Biblia?

Vaughan nachylił się.

— Jeden lot, Max, w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Neustadt nad Elbą, osiemdziesiąt kilometrów od granicy. Dwadzieścia minut w tę, dwadzieścia z powrotem. Dwóch pasażerów.

— Powiedziałem wam, tracicie czas.

— Sto tysięcy marek albo jakakolwiek inna waluta.

— O Jezu, kogo mam wywieźć, Waltera Ulbrichta?

— Niezupełnie.

Kubel zastanawiał się, bębniąc palcami po stole.

— Dla kogo bym pracował?

— Mogę cię teraz do niego zawieźć.

Od jakiegoś czasu hoża kobieta koło czterdziestki kręciła się wokół nich

nerwowo. Jej makijaż był trochę zbyt przesadny, a blond włosy ułożone w kilka warstw w stylu, który bardziej pasowałby młodej dziewczynie, nie można jej jednak było odmówić pewnego uroku.

Kubel uśmiechnął się.

— Dobra, pojedziemy więc zobaczyć tego twojego przyjaciela, Simon, ale później. — Chwycił kobietę za rękę. — Najpierw muszę zatańczyć z Frau Zeigler. Jest właścicielką tego obrzydliwego zakładu, a zawsze trzeba uszczęśliwić szefa.

Hartmann i Vaughan oparli się o poręcz i przyglądali się, jak Kubel wraz z kobietą wchodzi na zatłoczony parkiet.

— Myślałem, że zacznie gryźć — mruknął Vaughan.

— Uważa się pan za człowieka rozsądnego, majorze?

— Rozumiem ludzi takich jak Max — powiedział Vaughan. — Choć należą do zupełnie innego gatunku.

— Dlaczego?

— Jego świat to świat czynu. Ty myślisz o czymś, a on po prostu to robi.

— Co pan ma na myśli?

— Politykę albo rozmowę. Filozofię albo seks. — Vaughan spojrzął na środek parkietu, gdzie Kubel masował pośladki Frau Zeigler. — Widzi ojciec, co mam na myśli?

— A pan, majorze Vaughan?

— Kiedy miałem piętnaście lat, moja babcia powiedziała mi, że są trzy rzeczy, których trzeba unikać jak zarazy: alkohol, karty i rozpustne kobiety.

— Poszedł pan za jej radą?

— Cóż, nie gram w pokera, ojczy, bo nie mam nic do przegrania.

— Przeciwnie, powiedziałbym, że wszystko.

Vaughan roześmiał się głośno i odwrócił do Meyera, który właśnie skończył jeść.

— Słyszysz to, Julius? Jeszcze jest dla mnie nadzieja. Na miłość boską,

- 79 -

zabierajmy Maxa i wynośmy się stąd, zanim nasz przyjaciel zacznie wygłaszać kazanie z balkonu.

Na dworze bez przerwy padał deszcz. Ulica była bardzo zatłoczona, gdyż jedną jej stronę rozkopano, by wyremontować rurę ściekową. Na końcu panowało jakieś zamieszanie — zebrał się tam mały tłumek złożony z robotników i przechodniów.

Zajechał policyjny samochód, później następny.

— Gdzie zaparkowałeś? — spytał Kubel, z niesmakiem patrząc na mokry chodnik.

— Na następnej ulicy — odparł Vaughan. — Nie mogłem podjechać bliżej.

Gdy podeszli do zbiegowiska, złapał za ramię przechodzącego w pośpiechu robotnika.

— Co się dzieje? Wypadek samochodowy?

— Jeden z instalatorów utknął w "kanale burzowym, a przy tej ulewie poziom wody podnosi się z każdą minutą.

Kiedy odszedł, Hartmann ruszył naprzód. Łatwość, z jaką torował sobie drogę przez tłum, była zdumiewająca, i Vaughan po raz pierwszy zdał sobie sprawę z jego wzrostu i szerokości ramion.

— Co on kombinuje? — spytał Meyer, kiedy jezuita przystanął, by porozmawiać z sierżantem policji.

W wykopie głęboka na metr woda kłębiła się w chaosie szlamu i połamanych desek.

Z ciemnej czeluści kanału wynurzyła się jakaś postać, a za nią trzy następne.

Sięgnęli z trudnością do góry, ale chętne dłonie wyciągnęły ich.

— Kazałem wszystkim wychodzić — odezwał się pierwszy mężczyzna. —

Musiałem. Między wodą a sufitem zostało tylko kilkadziesiąt centymetrów, a poziom wody podnosi się cały czas.

— Czy ten człowiek tam jeszcze żyje? — zapytał Hartmann.

— Tak, ale niedługo zaleje go woda. Nie mogliśmy nic zrobić. Na nogach ma półtonowy blok.

— Jak się nazywa?

— Gunter Braun.

Hartmann podał swój płaszcz Vaughanowi.

— Proszę to potrzymać, majorze.

Zeskoczył do wykopu, zanurzył się w ciemny tunel i zniknął.

— Czy on oszalał? — krzyknął Meyer.

Vaughan nie zawracał sobie głowy odpowiadaniem, tylko po prostu wcisnął płaszcz zakonnika Meyerowi, wyrwał lampę z rąk zdumionego policjanta i, wskoczywszy do dołu, ruszył za Hartmannem.

Rura miała może półtora metra średnicy, a poziom wody był już o jakieś trzydzieści centymetrów wyższy niż przedtem. Światło lampy od razu wynurzyło z ciemności Hartmanna i bladą, zrozpaczoną twarz Guntera Brauna. Woda z kanału burzowego omywała mu już głowę.

Kiedy światło ukazało koloratkę Hartmanna, Braun krzyknął:

— Tego mi właśnie potrzeba, księdza... Przyszedł ojciec mnie wyspowiadać?

— Wcale nie, przyjacielu. — Jezuita pochylił się nad nim, macając rękoma pod wodą.

Vaughan zbliżył się do niego.

— Traci ojciec czas. Ten blok waży pół tony. Słyszał ojciec, co powiedział brygadzysta...

— Niech pan trzyma jego głowę — odparł spokojnie Hartmann. — I wyciągnie go, kiedy krzyknie, że już można.

— Szalony! — wrzasnął Braun. — Wariat! Zakonnik wziął głęboki oddech i zanurzył głowę.

Potężne ramiona uniosły się, a zaraz potem z wody wynurzyła się twarz. Była jakby wyrzeźbiona w kamieniu: każdy mięsień napięty.

Braun krzyknął i Vaughan, upuszczając lampę i pogrążając ich w ciemności, rzucił się do tyłu, bo poczuł, że ciało mężczyzny jest wolne. Po chwili, ku zdumieniu tłumu, wynurzył się z wykopu. Rozległy się podniecone okrzyki i mężczyźni rzucili się do pomocy.

Max Kubel wyciągnął rękę, by wydźwignąć majora.

— Pół tony, Max — powiedział Vaughan. — Ten skurczybyk podniósł pod wodą pół tony samymi rękami.

Za nimi ukazał się przemoczony Hartmann ze szlamem na twarzy.

Oszołomiony Meyer pomógł mu włożyć płaszcz.

Przez moment uwaga tłumu skupiła się na Braunie. Wnoszono go właśnie do karetki.

— Może lepiej odejźmy, panowie, póki jeszcze możemy — odezwał się

Hartmann.

— Ma rację — przytaknął Meyer. — Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy, jest zdjęcie na pierwszej stronie „Berliner Zeitung”.

Zakonnik odszedł szybko, więc ruszyli za nim.

— Nadzwyczajny człowiek, ten ksiądz — mruknął Kubel.

— Wiem — powiedział Vaughan. — Właśnie takiego mi potrzeba. Jeszcze jeden święty głupiec.

- 81 -

# 9.

Po wyjściu z berlińskiego korytarza powietrznego do Niemiec Zachodnich, Max Kubel skierował samolot na południe i zszedł na wysokość trzystu metrów.

Siedzący obok Pascoe odezwał się:

— Sam nie latam, ale wyobrażam sobie, jak przyjemnie jest prowadzić taką maszynę. Czy to nie jednego z samolotów tego typu użył Skorzeny do wywiezienia Mussoliniego z Gran Sasso w czterdziestym trzecim?

— Zgadza się. A w ostatnim tygodniu wojny Hannah Reitsh wylądowała takim pod ostrzałem rosyjskiej artylerii w samym sercu Berlina.

Pod nimi było już Bitterfeld. Kubel ustawił się do wiatru i opuścił storcha do lądowania. Na ich spotkanie wyjechał czarny mercedes. Za jego kierownicą siedział Werner Bohmler. Kubel wyłączył silnik i siedzieli chwilę w ciszy.

— Nigdy nie korzystał pan z tego lądowiska, nawet w czasie wojny? — spytał Pascoe.

Kubel potrząsnął głową.

— Nie. Mówi pan, że reflektory lądowania ciągle działają?

— Tak mnie poinformowano. Również system radiolokacyjny w wieży jest na wszelki wypadek regularnie kontrolowany przez Luftwaffe.

— Po co? Co te sukinsyny w dowództwie sobie myślą? — Kubel wyglądał na wściekłego. — Zawsze nienawidziłem ich „odwagi”. Wielcy mężczyźni za biurkami.

— Tacy jak ja? — spytał Pascoe.

— Dokładnie tacy jak pan, profesorze. Tylko mundur inny.

— Oczywiście. Ale przejdźmy do interesów. Czy mógłby pan wykonać taki lot

do Neustadt?

— Nie ma sprawy.

— A te zwiadowcze migi, na których łąatają tu enerdowncy, nie niepokoją pana?

— Jasne, że tak — odparł Kubel. — Tyle że ich radar nie umie zbyt dobrze rozróżniać pomiędzy celami na niskiej wysokości a zakłóceniami od obiektów terenowych. Co znaczy, że jeśli przez całą drogę będę trzymał tę starą sukę poniżej dwustu metrów, nie będą nawet wiedzieli, że tam jestem. A te dzieciaki, którym każą na tym latać... mają za sobą jedynie suchy trening. Żadnego doświadczenia w walce.

— A więc zrobi to pan?

— Myślę, że tak — powiedział ponuro. — Opuszczone lądowiska zawsze budziły we mnie najgorsze skojarzenia i przeczucia. To jest złe miejsce. Dobrzy ludzie tu ginęli. Ale cóż — w końcu śmierć czeka nas wszystkich. — Wzdrygnął się

- 82 -

i otworzył drzwi. — Chodźmy. Niech mnie pan lepiej przedstawi temu swojemu człowiekowi.

W Waszyngtonie było jeszcze bardzo wczesnie rano, ale prezydent Kennedy, który nie mógł spać z powodu bólu w krzyżu, siedział za swoim biurkiem w Owalnym Gabinetie i pracował nad jednym z przemówień przeznaczonych na wizytę w Niemczech.

Usłyszał lekkie pukanie do drzwi. Do środka zajrzał Dean Rusk.

— Dowiedziałem się, że pan już wstał. Prezydent odłożył pióro.

— Coś nowego?

— Sprawa Conlina. Miałem wiadomość od Pascoe.

— Świetnie. Niech się pan poczęstuje kawą i zda mi relację.



Dean Rusk zrobił to. Gdy skończył, Kennedy powiedział:

— Przypuszczam, że Pascoe wie, co robi. Niech Bóg im dopomaga, tylko tyle mogę powiedzieć.

Sekretarz Stanu wstał i dodał:

— Generał Gehlen powiadomił o wszystkim kanclerza Adenauera, tak jak pan prosił. To chyba na razie wszystko.

— W porządku. Niech mnie pan informuje na bieżąco.

Rusk wyszedł, a prezydent podszedł do okna, odciągnął zasłonę i wyrztał na zewnątrz. Było ciągle ciemno. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu poczuł się przygnębiony. Wrócił do biurka i wzięwszy pióro do ręki zaczął znowu pisać — ...

*nie można mówić o wolności na świecie, dopóki choć jeden kraj będzie jej pozbawiony.*

Dochodziła właśnie trzecia po południu, gdy przed gospodę w Neustadt

zajechała spółdzielcza ciężarówka i wysiadł z niej brat Konrad. Georg Ehrlich i Berg rozmawiali na ganku — sołtys uśmiechnął się i pomachał ręką.

— Wróciliście, Konradzie.

Przez plac przejechał służbowy mercedes. Prowadził Harry van Buren, obok niego siedziała młoda kobieta w mundurze Volkspolizei.

— O rany — odezwał się Berg. — To on... nowy szef. O dzień za wcześnie.

Chyba lepiej będzie, jak wrócę. — Wskoczył do swojej półciężarówki i odjechał.

— Biedny Heinrich — mruknął sołtys. — Dla niego życie jest tylko jedną przeklętą sprawą po drugiej. Jak było w Berlinie?

— Jak zwykle.

— A wasza siostra?

— W porządku, dziękuję, A co tutaj? Czy wydarzenia w zamku coś zmieniły?

— Właściwie nie. Niekiedy Vopo przychodzą się napić. Dowódcą jest kapitan Sussmann. Jest też starszy sierżant o nazwisku Becker — prawdziwy łajdak. Tak czy siak, zbieranina jak wszędzie. Macie czas na kawę?

— Teraz nie, dziękuję. Może później. Chciałbym zobaczyć, jak wyglądają sprawy na farmie — powiedział Konrad i zszedł po stopniach.

Kiedy wszedł do pokoju, Margaret Campbell siedziała przy oknie w swoim wózku i czytała. Spojrzała na niego i wyraźnie się ucieszyła.

— Brat Konrad! Jak cudownie brata widzieć. — Odłożyła książkę i wyciągnęła

- 83 -

ręce.

— Dobrze pani wygląda — powiedział Konrad. — Chodzi pani już?

— Troszkę. Ale to nieważne. Co się stało?

Podszedł do okna i spojrzał w górę na Schloss Neustadt.

— Wrócił.

— Kto?

— Van Buren. Właśnie przejechał przez wieś swoim samochodem. Miał ze sobą porucznika Vopo. Kobietę. — Odwrócił się do niej. — Widziałem tego pani majora Vaughana.

— Mojego majora Vaughana? — Zaczerwieniła się.

— O tak, tak sędzę. To wyjątkowy człowiek.

— Ale czy on może cokolwiek zrobić?

— Będzie go pani mogła sama zapytać. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, powinien być tutaj jutro wieczorem.

Zrobiła się bardzo blada i znowu wyciągnęła ręce.

— Proszę mi opowiedzieć... proszę mi wszystko opowiedzieć.

Pokój, do którego Berg wprowadził van Burena, znajdował się na szczycie schodów prowadzących z holu. Był urządzone jak biuro, ale z dużym pustym kominkiem.

— Tak, to mi powinno wystarczyć — stwierdził van Buren. — Zwłaszcza jak mi tu napalicie.

— Ten pokój służył zawsze za biuro dowodzącemu oficerowi, zarówno naszych ludzi, jak i Rosjan, gdy tu byli.

Van Buren przeglądał właśnie szuflady biurka i uśmiechnął się, wyciągając rosyjski granat.

— Rzeczywiście. Jest ich tu co najmniej z tuzin. Ostatni dowódca musiał być jakimś paranoikiem, który spodziewał się spadochroniarzy wpadających tutaj o świcie.

— Jeszcze coś... — Dozorca podszedł do drzwi w narożniku pokoju i otworzył je.

Van Buren dołączył do niego i spojrzał w dół tonących w mroku spiralnych kamiennych schodów.

— Gdzie one prowadzą?

— Na tylny dziedziniec. Dogodne prywatne wejście w razie potrzeby.

Popatrzył na stojącą przy oknie kobietę w wojskowym płaszczu z futrzanym kołnierzem, opadającym na ramiona.

— Porucznik Leber będzie potrzebowała pokoju — oznajmił chłodno van Buren.

— Oczywiście, Herr Professor.

Wbiegł Sussmann, zapinając po drodze mundur.

— Bardzo przepraszam, towarzyszu. Dopiero mnie poinformowano o waszym przybyciu.

— Porucznik Ruth Leber. Będzie z nami przez jakiś czas.

- 84 -

— Towarzyszko...

— W porządku, Berg. Dopilnuj, żeby pani porucznik dostała najlepszy pokój.

Berg wziął jej walizkę. Poszła za nim, odprowadzana przez Sussmanna wzrokiem pełnym szczerego zachwytu.

— Chcę wyjaśnić jedną rzecz — powiedział van Buren. — Porucznik Leber nie jest tutaj na osłodę dla żołnierzy. Ma ważną rolę do odegrania w moich planach wobec Conlina.

— Tak jest, towarzyszu.

— A jak z nim?

— Nie mam pojęcia. Tak, jak rozkazaliście, trzymaliśmy go w całkowitej izolacji.

— Zaprowadźcie mnie do niego.

Na trzecim poziomie był chłód i wilgoć. Strażnik przed celą miał na sobie zimowy płaszcz i wełniany szalik.

— Macie coś do zameldowania? — spytał Sussmann.

— Nic, towarzyszu. Żadnego dźwięku.

— Otwórz klapkę — rozkazał van Buren. Strażnik wykonał polecenie. Uderzył w nich smród wydobywający się z celi.

— Może nie żyje — podsunął Sussmann.

— Nie, ma się świetnie. — Van Buren kopnięciem zamknął klapkę. — Jest

właśnie taki, jak chciałem, i jutro zabieramy się do pracy.

Margaret Campbell siedziała na wózku przy oknie, czytając raport profesora

Norderna. Był wręcz fascynujący, a przy tym zwięzły i rzeczowy.

Przeczytała go raz, zamyśliła się na chwilę, po czym przeczytała ponownie.

*Praca na cmentarzu we wskazany sposób nie powinna nastroczać zbyt wielkich trudności. Teren leży blisko rzeki, musi być więc dosyć wilgotny. Większość pochowanych pochodzi prawdopodobnie z biedoty lub klasy średniej, toteż trumny będą raczej zwykłe, drewniane. Gdyby natrafiono na świeże ciało, to jest pochowane w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy, sytuacja może być nieprzyjemna. Z powodu ciśnienia gazu trumna może rozpaść się na kawałki. Ciało będzie rozdęte, cuchnące gazy i płyny przenikną do gleby, a wraz z nimi toksyny i bakterie. Gdyby ktokolwiek z pracujących skaleczył się, skutki byłyby fatalne, infekcja doprowadziłaby bardzo szybko do zgorzeli gazowej. Większość ciał jednak będzie już zamieniona w tłuszczowosk, tłuszczową substancję o przenikliwym, bardzo nieprzyjemnym zapachu. Nie jest to niebezpieczne. Istnieje co prawda pewne ryzyko zarażenia wąglikiem i gruźlicą, lecz tak małe, że właściwie nie warto go rozważać.*

*Zwykle przyjmuje się dla grobów głębokość stu osiemdziesięciu centymetrów, jednak w tej części NRD najczęściej stosuje się dwa i pół metra. Zmiany w podglebiu i osiadanie powodują, że można znaleźć ludzkie szczątki nawet na głębokości trzech i pół metra. Niebezpiecznym miejscem może być kanał ściekowy. Często występuje tu czad i gaz kopalniany. Czad dusi, a gaz nie tylko dusi, ale może także wybuchnąć. Istnieje też ryzyko wpadnięcia do ścieku. Dostanie się do ludzkich jelit patogenów powoduje nudności, wymioty i śmierć w ciągu kilku godzin.*

*Jest też możliwość wirusowego zapalenia wątroby. Niekoniecznie w wyniku zranienia — wirus może dostać się do organizmu przez usta i ręce. Śmiertelność w takich przypadkach wynosi dziesięć procent.*

*Każde, najdrobniejsze nawet zadrażnienie czy otarcie skóry powstałe w jakiegokolwiek fazie tej operacji musi natychmiast zostać zdezynfekowane i zabezpieczone farmakologicznie. Jeśli nie będzie się tego przestrzegać, u zranionego w ciągu dwunastu godzin wystąpią objawy posocznicy.*

Tak, to jest to. Siedziała z raportem na kolanach, myśląc o tym, co przeczytała.

Po chwili drzwi otworzyły się i wszedł brat Konrad.

— Gotowa? — zapytał.

— Jak zwykle.

Gdy wjechał z nią do kuchni, wszyscy siedzieli już przy drewnianym stole.

Boże, ależ oni wszyscy są starzy, pomyślała, przyglądając się po kolei pogodnym twarzom.

Był oczywiście Franz — zaledwie dziewiętnastoletni i przypominający młodego byczka, ale Florian, Gregor i Augustin dawno przekroczyli wiek średni, a brat Urban był wątłym staruszkiem, przed którym z pewnością nie zostało już wiele życia.

Czekali.

— Brat Konrad powiedział mi o waszej decyzji — odezwała się — i cieszę się bardzo, ale czy naprawdę myślicie, że to możliwe?

— Oczywiście — odparł brat Konrad. — Gregor był w czasie wojny oficerem wojsk inżynieryjnych. Uważa to za całkowicie realne.

— Gleba jest niezwykle lekka — zabrał głos Gregor. — Można w niej łatwo

pracować. Mamy pełno drzewa na stemple, a w stodole sporo blachy falistej, której można użyć jako podkładu.

— Nie będzie problemów z powietrzem? — spytała Margaret.

— Nie, nie na tej głębokości. I proszę pamiętać, że tunel będzie właściwie całkiem krótki. Sądzę, że to powinno się udać najwyżej w dwa tygodnie, może nawet szybciej.

— W porządku — powiedziała. — Ale jest tu jeden szkopuł — będziemy kopać przez cmentarz. Wiąże się z tym pewne ryzyko zakażenia. Brat Konrad przywiózł mi od wybitnego berlińskiego patologa szczegółowy raport na temat tego, czego się można spodziewać. Chciałabym przejrzeć go teraz z braćmi.

Kłapka u dołu drzwi Conlina została podniesiona. Gdy wsuwano talerz, zamigotało światło. Kłapkę zamknięto. Czekał nasłuchując — za chwilę doszedł do niego w ciemności szelest. Był to samotny sznur, który miał zwyczaj pojawiać się codziennie dokładnie w godzinie posiłku.

Strach opuścił go równie szybko, jak przyszedł. Zachichotał i powiedział cicho:

— Odruch warunkowy, przyjacielu. Pawłow byłby z ciebie dumny.

Po czym położył się znowu na pryczy i, dożywszy ręce, zaczął się modlić.

Zapadał zmrok, kiedy ciężka ciężarówka przejechała przez posterunek we Flossen do strefy neutralnej, a później zatrzymała się przed szlabanem, przy którym czekał szeregowy Gerald Hornstein z karabinem przewieszonym przez

- 86 -

ramię. Drzwi wartowni otworzyły się — ukazał się w nich Peter Bulow i podszedł do ciężarówki.

Za kierownicą siedział Werner Bohmler. Miał na sobie starą wojskową czapkę,

brudny kombinezon i aż prosił się o ogolenie. Bez słowa podał swoje papiery. Bulow przejrzał je i oddał mu z powrotem. Skinął głową na Hornsteina, który podniósł szlaban — Bohmler przejechał.

Po dziesięciu minutach zatrzymał się na poboczu wąskiej drogi w gęstym lesie, przeszedł na tył wozu i odczepił wysoką klapę, opuszczając ją tak, że utworzyła pochylnię.

Rozległ się ryk zapalanego silnika i z ciężarówki wyjechał Vaughan na motorze Cossack z bocznym wózkiem. Ubrany był w pełny mundur Vopo, ciężki kurierski płaszcz do kostek, kask i duże gogle, teraz akurat podniesione. Na piersiach miał przewieszony rosyjski karabin szturmowy typu AK ze składaną kolbą i załadowanym trzydziestonabojowym magazynkiem, gotowy do natychmiastowej akcji.

— No, no, całkiem odpowiednio pan wygląda. Vaughan uśmiechnął się szeroko.

— Miejmy nadzieję, że przeciwnik też to stwierdzi. Zobaczymy się jutro wieczorem. Jedenasta trzydzieści, jak było ustalone. Postaram się nie kazać panu czekać.

Bohmler nasłuchiwał, dopóki warkot cossacka nie umilkł w oddali, a następnie wsiadł do ciężarówki i odjechał z powrotem w stronę Flossen.

Vaughan pruć ciemność żółtym strumieniem światła swego reflektora, mając po obu stronach gęsty las sosnowy. Wbił sobie mapę w pamięć i teraz odtwarzał kolejne etapy drogi. Na pierwszym przejeździe w prawo. Potem w lewo.

Na skrzyżowaniu w prawo. Później pierwsza wioska, Ploden. Kilka domów i gospoda.



Przed gospodą stał terenowy samochód Vopo, obok którego siedział kierowca, jakby na kogoś czekając. Zasalutował, widząc przejeżdżającego cossacka. Vaughan odpowiedział mu skinieniem głowy. Nic prostszego.

Przepełniony nagle niepohamowaną radością, otworzył szeroko przepustnicę i z rykiem pognął w noc.

Margaret Campbell siedziała w kaplicy na swoim wózku. Od tego pierwszego razu, kiedy brat Konrad przyprowadził ją tutaj, miejsce to miało dla niej jakiś szczególny urok. Nie doświadczyła bynajmniej religijnego nawrócenia — panował tu jednak taki spokój, jakiego nigdy przedtem nie знаła. Wrażenie to potęgowała jeszcze drewniana figura świętego Franciszka, który uśmiechał się do niej w świetle świec.

Zaskrzypiały drzwi za nią i zajrzał Konrad.

— A, tu pani jest. Szukałem pani. Ktoś chce panią zobaczyć.

Odsunął się i do kaplicy wszedł Vopo w długim do kostek nieprzemakalnym płaszczu, kasku i goglach, z półautomatem na piersiach. Poczowała ogarniającą ją panikę, ale w tym momencie uniósł gogle.

- 87 -

Brat Konrad zostawił ich. Vaughan położył jej na kolanach płócienną torbę, którą trzymał w ręku.

— Prezent dla ciebie od profesora Norderna.

Była tak wzruszona, że miała trudności z mówieniem.

— Co to jest?

— Środki medyczne. Różne lekarstwa, które według niego mogą ci się tu przydać.

Popatrzyła na niego rozjaśnionymi oczami.

— Miałeś rację, prawda? Przejrzałeś mnie, jakbym była ze szkła. Ty jeden.

Zdjął kask i odłożył go.

— Dużo przeszłaś. To widać.

— Tak się cieszę, że cię widzę. Tak się cieszę.

Uśmiechnął się, zapalił papierosa i usiadł obok niej. — No to wszystko w porządku.

Minęła właśnie dziesiąta, kiedy Heinrich Berg wytoczył się z gospody i ruszył do swojej ciężarówki. Zawsze miał słabość do wódki morelowej i ten ostatni kieliszek był zdecydowanie tym jednym za dużo.

Wgramolił się za kierownicę i zaczął grzebać w poszukiwaniu kluczyków, gdy lufa pistoletu dźgnęła go w prawe ucho. Zimny głos powiedział cicho:

— Pod górę w stronę zamku — po lewej stronie na skraju lasu stoi tam nie używana stodoła.

— Co to znaczy? — zdziwił się Berg. — Czego chcesz?

— Rób, co ci mówię!

Lufa boleśnie wkręciła się w jego ucho. W pośpiechu włączył światła, pewien, że to na pewno jakieś nieporozumienie. Pistolet dźgnął go ponownie.

— Dalej! Ruszaj! Nie mam całej nocy do stracenia.

Zupełnie już spanikowany Berg włączył stacyjkę i szybko ruszył.

W stodole było zimno i wilgotno, ale cicho i pusto. Berg wszedł niepewnie w krąg światła padającego z reflektorów i stanął przed Vaughanem.

— Słuchaj pan, co to ma znaczyć? — Starał się powstrzymać drżenie głosu. —

Czego pan chce?

— To bardzo proste — stwierdził Vaughan. — Macie tam na zamku w celi na tak zwanym trzecim poziomie człowieka nazwiskiem Conlin. Zgadza się?

Berg zwilżył wyschnięte usta.

— Ale to jest sprawa bezpieczeństwa państwowego. Zajmuje się tym SSD.

— Otóż to — rzucił wesoło Vaughan. — Kilku moich przyjaciół chciałoby go stamtąd wydostać i pomyśleliśmy, że może mógłbyś nam pomóc.

Berg gapił się na niego w całkowitym oszołomieniu.

— Chyba pan zwariował. Dlaczego miałbym coś takiego zrobić?

— Bo byłeś niegrzecznym chłopcem, kolego. Sierżant Heinrich Berg, czy może raczej powinienem powiedzieć — Hauptscharfuhrer? Czy nie tak nazywają ten stopień w SS?

— To jakaś bzdura — spróbował jeszcze Berg. — Nie wiem, o czym pan mówi.

- 88 -

Byłem żołnierzem. Cały czas służyłem w piechocie.

— W SS — powiedział cicho Vaughan, wyjmując z kieszeni plik papierów i kładąc je na masce ciężarówki. — Nie w Waffen SS. Ci przynajmniej walczyli. Wy

byliście Einsatzgruppen. Szwadrony śmierci, rekrutowane z niemieckich więzień.

Nigdy w życiu nie stanąłeś twarzą w twarz z żołnierzem w bitwie. Wszystko, co robiliście, to przeprowadzanie egzekucji na ludziach. Na wielu ludziach.

Na każdym, kogo wam rozkazano zabić.

— To kłamstwo!

— Sam zobacz. To są fotokopie twoich papierów.

— Gdybym był w SS, miałbym pod lewą pachą wytatuowaną moją grupę krwi

— wyszeptał Berg.

— Normalnie tak, ale ty jesienią czterdziestego czwartego byłeś jeszcze na szkoleniu w Dachau, a do tego czasu twoi przełożeni wiedzieli już, że gra skończona. Wstrzymano tatuowanie. Po prostu nie chcieli za bardzo utrudniać wam życia po wojnie. Wszystko tu jest, przeczytaj.

— Idź do diabła! — Berg rzucił się do przodu, ale Vaughan kopnął go niedbale pod prawą rzepekę i odskoczył. Stary upadł.

— Którą metodę wolałeś? Komorę gazową, zastrzyk fenolu czy po prostu kulę w kark?

Berg na klęczkach gniótł papiery w rękach.

— Powiem wszystko. Dlaczego nie? Esesmani są na każdym szczeblu władzy.

Policja i SSD są ich pełne. — Ale im też powiem o panu. Będą wdzięczni.

— W ten czy inny sposób i tak stracisz głowę — stwierdził Vaughan. — Popatrz tutaj. Na ostatniej stronie. Mauthausen, ósmy kwietnia czterdziestego piątego.

Zamordowałeś człowieka o nazwisku Willi Stein, który przez całą wojnę współpracował z komunistycznym podziemiem przeciwko faszystom. Wykonałeś egzekucję...

— Nie pamiętam.

— A powinieneś. Wszystko jest tu w aktach. Powiesiłeś go na haku od mięsa.

Berg przypomniał sobie. Widać to było po jego twarzy.

— No i co?

— Nie wiem, na ile interesujesz się historią polityczną, ale w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim, kiedy faszyci doszli do władzy, jedną z pierwszych rzeczy, jaką zrobili, było zdławienie starej KPD, Niemieckiej Partii Komunistycznej, której wybitnym członkiem był niejaki Walter Ulbricht. Obecnie przewodniczący Rady

Państwa. Słyszałeś o nim?

— Tak — wyjęczał Berg.

— Ulbricht uciekł, gdyż jeden z jego najbliższych przyjaciół z ruchu zaryzykował wszystko, by go wydostać. A wiesz, kim był ten człowiek?

— Na Boga, nie! — krzyknął Berg.

— Zastanawiam się, co Walter Ulbricht zrobiłby człowiekowi, który zarznął Williego Steina — powiedział Vaughan.

Berg z twarzą w dłoniach przykucnął obok ciężarówki. Vaughan podszedł

- 89 -

do drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Gdy się odwrócił, Berg stał.

— Czego ode mnie chcecie?

— Chociaż mamy spore obiekcje pomagając takiej świni, jak ty — zapewnimy ci azyl na Zachodzie z gwarancją nie wszczynania postępowania karnego.

We właściwym czasie zostaniesz wywieziony razem ze wszystkimi innymi zamieszkanymi w tę sprawę. Żadnych problemów.

— Dobrze. Co mam zrobić?

— Van Buren wrócił dzisiaj, prawda?

— Tak.

— Jaki on jest?

— Niewiele mogę o nim powiedzieć. — Berg wzruszył ramionami. — Zimny facet.

— Dlaczego tak uważasz?

— Cóż, przejął apartamenty używane zawsze przez dowódcę. Z prywatnym wejściem. Drzwi w narożniku pokoju i spiralne schody prowadzące na tylny

dziedziniec. Myślałem, że robię mu przysługę wspominając o tym, zwłaszcza że przywiózł ze sobą tę kobietę. Porucznika Vopo.

— Ale on tak nie myślał?

— Nie.

— Może po prostu nie lubi kobiet. — Berg poruszył się niespokojnie. Vaughan zapalił papierosa. — Dobra, teraz opiszesz mi rozkład zamku. A potem ja ci powiem, co zrobisz.

- 90 -

# 10.

„Będę błogosławił Pana, który udziela mi rad, który nawet w nocy kieruje moim sercem. Nigdy nie stracę Pana z oczu. Ponieważ stoi u mojego boku, nie poddam się”.

Słowa te, wyszeptane na głos, podniosły Conlina na duchu. Zresztą od czasu do czasu musiał usłyszeć jakiś głos, choćby nawet tylko swój własny. Była to stara metoda. Doświadczył już przedtem samotności w celi w Sachsenhausen i Dachau, podobnie jak pastor Niemóller.

To właśnie Niemóller nauczył go, jak walczyć, używając wszelkich zasobów intelektu. Jak być szczególnie silnym w tych najczarniejszych chwilach strachu przed jakimś nieznanym koszmarem, kończącym wszystko.

Technika była prosta. Trzeba było, strona po stronie, przypominać sobie mszał, właściwy porządek nabożeństw i tak dalej. Następnie poezję, którą można było głośno recytować. Zdumiewające było, jak wiele powracało, zwłaszcza irlandzkiego, języka czasów jego młodości, tak długo przecież nie używanego. *Dwór o północy* na przykład. Jako chłopiec potrafił wyrecytować całość. Dostał za to od dziadka oprawną w skórę Biblię.

*Ba ghanth me ag siubhail le chiumhais na na habhann,*

*Ar bhainseach ur's an drucht go trom...*

*Rankiem wśród rzeczki chodziłem bosy,*

*Wśród łąk, co lśniły kroplami rosy...*

Później książki. Choćby *David Copperfield*. Czytał ją wiele razy. Dodawała otuchy jak stara przyjaźń.

Właśnie ponownie przeżywał śmierć Steerfortha w czasie tego okropnego

sztormu pod Yarmouth, gdy zupełnie niespodziewanie otworzyły się drzwi i do środka wpadło światło.

Stał w nich van Buren, a za nim Sussmann i Becker. W celi straszliwie cuchnęło, toteż Sussmann cofnął się szybko.

Van Buren przyłożył do ust chusteczkę.

— Jak się masz, ojczy? Zdolny do walki?

Szczur wystrzelił spod łóżka i zniknął w ciemnym kącie — Van Buren podążył za nim wzrokiem.

— Postępuje pan naprawdę głupio, jeśli ma pan zamiar pokazać mnie potem

- 91 -

w sądzie całego i bez skazy — odezwał się Conlin. — Jako weteran obozów koncentracyjnych mogę pana zapewnić, że ugryzienie przez szczura w takich warunkach, wśród ludzkich odchodów, powoduje zazwyczaj w ciągu sześciu do dwunastu dni rozwój choroby Weila.

— Naprawdę? — powiedział van Buren.

— W około jednej trzeciej przypadków następuje śmierć spowodowana przez nieomogę wątroby.

Van Buren odwrócił się do Sussmanna:

— Zabierzcie go na górę i każcie tu posprzątać. Ruszył korytarzem, a Sussmann i Becker poszli za nim, ostrożnie trzymając między sobą Conlina.

Kiedy Vaughan wwiózł Margaret Campbell do starej stodoły Domowej Farmy, ujrzeli Konrada i Franza stojących w dużej dziurze w rogu, sięgającej im już do pasa.

Brat Gregor wyjechał z pustą taczka z sąsiedniego pomieszczenia i zaczął ponownie ładować na nią ziemię.



— Jak leci? — spytał Vaughan.

Konrad wyszedł z wykopu, wierzchem dłoni ścierając pot z czoła.

— Na razie w porządku.

— W jaki sposób pozbywacie się ziemi?

— To najmniejszy problem. Chodźcie, pokażę wam.

Brat Gregor napełnił już taczkę i Konrad zabrał ją do drugiego pomieszczenia.

Vaughan poszedł za nim, popychając przed sobą wózek z dziewczyną. Była tam kamienna podłoga, na której stały rdzewiejące maszyny rolnicze. W rogu znajdowała się studnia z odsuniętą drewnianą pokrywą i do niej właśnie Konrad wysypał zawartość taczki. Dopiero po dłuższym czasie usłyszeli plusk.

— Z siedemnastego wieku — wyjaśnił zakonnik. — Od lat jej nie używaliśmy.

Myślę, że śmiało pomieści nasze odpady z tunelu.

Wrócili do pierwszego pomieszczenia.

— Gdzie są pozostali? — spytała Margaret. Brat Konrad podniósł swoją łopatę.

— Jest sporo pracy, Fraulein. Prowadzenie gospodarstwa, mleko i jajka dla wieśniaków. Musimy zachowywać pozory. Brat Urban jest za stary do takiej roboty, dogląda więc krów i kur. Florian zastępuje Franza przy dojeniu krów i dowożeniu mleka, a Augustin zajmuje się gotowaniem i innymi pracami domowymi.

— Ja mogłabym to robić — oznajmiła. — Już czas, żebym więcej stawała na tej nodze, a kiedy się zmęczę, mogę pracować na wózku. — Miał niepewną minę, toteż pociągnęła Vaughana za rękaw. — Powiedz mu, Simon! Wytłumacz mu! Brama na podwórko jest zawsze zaryglowana. Żeby wejść, ludzie z zewnątrz muszą dzwonić. To oznacza, że nie mogą mnie zaskoczyć.

— Ona ma rację — stwierdził Vaughan. — To by pozwoliło Augustinowi robić

coś tutaj. A skoro już o tym mówimy, to jeśli możecie mi dać coś zamiast tego

ślicznego munduru, to mam do zabicia resztę dnia.

Wanna była bardzo stara: miała mosiężne kurki, a woda tryskała z ust cheruba.

Ale liczyło się tylko to, że kiedy Sussmann i Becker opuścili go do niej, poczuł błogie ciepło. Westchnął i zamknął oczy.

- 92 -

Van Buren kiwnął głową na dwóch Vopo, którzy natychmiast wyszli. Weszła za to porucznik Leber. Miała na sobie biały kombinezon i niosła ręcznik na ramieniu.

— Umyj go dokładnie i zdezynfekuj wodę.

— Zmartwiłem więc pana? — Stary ksiądz uśmiechnął się i otworzył oczy.

W tym momencie dostrzegł kobietę. Uśmiech zamarł mu na ustach. Opuścił ręce zasłaniając się.

— Wstydzisz się, że wyszkolona pielęgniarka widzi cię nagiego? — powiedział

van Buren. — Co za niedorzeczność. Przecież w ciele ludzkim nie ma nic sprośnego

— czy może inaczej uczyli cię w seminarium? Często się zastanawiałem, jak to tam jest. Księża w celibacie i dorastający chłopcy...

— Jeszcze dziwniejsze wydaje mi się, że dla człowieka o pańskim

wykształceniu pojęcie celibatu jest tak trudne do zrozumienia. — Kobieta właśnie go

namydlała i skrzywił się. — Co to ma być? Koniecznie chce mnie pan poniżyć?

— Wiesz, naprawdę uważam, że to interesujące — stwierdził van Buren. — Że uważasz tę sytuację za tak denerwującą. Taką haniebną.

Stary człowiek po raz pierwszy stracił panowanie nad sobą.

— Niech mi Bóg wybaczy moje słowa, ale dlaczego nie pójdziesz do diabła?!

— A, teraz rozumiem — wykrzyknął van Buren. — Nie haniebną, ale

przerażającą. Boisz się takich sytuacji. To ciekawe. — Zwrócił się do kobiety

po niemiecku: — Wyciągnij go teraz i ubierz. Porozmawiam z nim, jak zje.

Wyszedł, a Ruth Leber pomogła Conlinowi wyjść z wanny i bez słowa

wycierała jego ciało ręcznikiem, obchodząc się z nim delikatnie, jakby był dzieckiem.

Następnie przyniosła mu czystą bieliznę, sztruksowe spodnie, koszulę, ciepły sweter,

skarpetki i pantofle, i czekała, aż się ubierze, wciąż nie odzywając się ani słowem.

Gdy był gotowy, otworzyła drzwi i poprowadziła go do sąsiedniego pokoju.

Van Burena nie było, ale w kominku płonęły wielkie kłody drewna, a na małym

stoliku do gry w karty czekał posiłek.

Podąła mu krzesło, po czym ruszyła do drzwi. Gdy je otwierała, powiedział

po niemiecku:

— Dziękuję ci, moje dziecko.

Nawet się nie zatrzymała, tylko cicho zamknęła drzwi za sobą. Conlin

westchnął, sięgnął po widelec i podniósł do ust kawałek wołowiny. Była naprawdę

doskonała. Do popijania miał chablis — swoje ulubione wino, wspaniale schłodzone.

Nie żywił żadnych złudzeń co do celu tego wszystkiego, ale jego ciało potrzebowało

maksymalnie dużo sił na nadchodzące dni.

Gdy Berg zszedł na trzeci poziom, ujrzał wartownika zmywającego celę

wiadrami wody nabieranej z kranu w korytarzu.

— Ciągłe jest na górze? — spytał.

— Zgadza się. Co pan tam ma?

Berg w jednej ręce trzymał latarkę, a w drugiej wiadro, które teraz uniósł.

— Trutka na szczury. Chcesz trochę?

Wartownik wzruszył ramionami.

— Nie, dzięki. Wyłóż ją pan tutaj?

- 93 -

— Nie. Jeszcze niżej. Tam się dranie rozmnażają — powiedział Berg. — To na razie!

Ruszył dalej korytarzem i skręcił za róg. Schodził bardzo długo, aż w końcu wszedł do podziemnej komnaty. To, czego szukał, znajdowało się na środku: ciężka metalowa płyta, zaryglowana i zamknięta na kłódkę. Ukłęknął i wyjąwszy z kieszeni pęk kluczy zabrał się do roboty.

Nigdy przedtem nie zdarzyło mu się otwierać tej kłapy i musiał spróbować aż ośmiu kluczy, zanim znalazł właściwy. Była ciężka — potrzebował obu rąk i całej swojej siły, by ją podnieść.

Zbadał latarką ciemność pod sobą, po czym szybko zszedł po żelaznej, może trzymetrowej drabinie. Przed nim był opadający w dół tunel o średnicy trzech metrów, całkowicie suchy.

Minęło dwadzieścia minut, zanim wynurzył się z otworu. Zatrzasnął z powrotem kłapę, wziął wiadro i rozsypał trochę trutki na szczury, myśląc przy tym o Vaughanie. Chciałby mieć go w swoich rękach w Mauthausen. Na Boga, dałby mu wtedy popalić. Ale teraz ten sukinsyn miał nad nim władzę. Wyobrażenie tego, co by się z nim stało, gdyby Ulbricht kiedykolwiek ujrzał akta jego służby w SS, było zbyt straszne, by się nad nim zastanawiać.

Chociaż, z drugiej strony, sytuacja w jakiej się znalazł, też miała swoje zalety.

Mógł bezpiecznie wyjechać na Zachód, uwolniony wreszcie od prześladowającego go od lat nieznośnego strachu, że jego przeszłość go dopadnie. Wracając korytarzem zaczął cicho pogwizdywać.

Conlin ograniczył się do jednego kieliszka wina i kończył właśnie jedzenie, gdy wszedł van Buren.

— Wyglądasz jak nowo narodzony. — Usadowił się na krześle po drugiej stronie kominka i zapalił papierosa.

— Co teraz?— spytał Conlin.

— A jak myślisz?

— Najpierw był pan nieprzyjemny, teraz oferuje pan wygody. Nic nowego.

Gestapo robiło dokładnie to samo, kiedy po raz pierwszy znalazłem się w piwnicach na Prinz Albrechtstrasse. Był tam brutal, który omal nie zatłukł mnie biczem na śmierć, a potem szczerzy chłopak, błagający mnie, bym wyznał wszystko, żeby się uratować.

— I w końcu okazał się gorszy niż ten pierwszy. Mam rację?

— Czego pan właściwie ode mnie chce?

— Nie ja — odparł van Buren. — Ja tu tylko pracuję Dla Kleina. A Klein chce Chrześcijańskiego Podziemia. Nazwiska, kontakty, adresy, działalność. Plus wszystko o waszych związkach z CIA.

— Ale żadne takie związki nie istnieją.

— Czy to ma jakieś znaczenie? Wszystko jest kwestią perspektywy. To jakby reakcja łańcuchowa. Klein chce dogodzić Ulbrichtowi, dając mu to, czego tamten chce, a ja chcę dogodzić Kleinowi. — Uśmiechnął się. — A to oznacza, że ty musisz dogodzić mnie.

- 94 -

— Obawiam się, że byłoby to trudne.

— Tak sądziłem.

— A więc, co teraz?

— Ty mi powiedz.

— Faza Druga, której celem będzie doprowadzić mnie do krawędzi szaleństwa.

Rozłożenie mnie na części, a następnie złożenie z powrotem według pana wyobrażenia. Dobra marksistowska psychologia, która zakłada, że każdy człowiek ma swoją tezę, swoją stronę pozytywną, i antytezę — mroczną stronę. Jeśli uda się panu ją odnaleźć i pobudzić, moje wydobyte na jaw ukryte winy mogą się okazać dla mnie zbyt ciężkie do udźwignięcia. Czy nie tak przedstawiałby pan to swoim studentom?

— Bardzo dobrze — powiedział van Buren. — A gdzie, według ciebie,

powiniennem

szukać

twojej

antytezy?

W sferze

seksualnej?

Wyglądałeś

na zaniepokojonego tym drobnym incydentem z porucznik Leber w łazience.

— Dlaczego celibat jest dla was czymś takim niepojętym? — spytał Conlin. —

Naprawdę powinieneś się opamiętać, chłopcze. Zacząć czytać inne książki.

Van Buren nie był ani trochę zbity z tropu. Nacisnął guzik na biurku i wszedł

Sussmann.

— Zabierzcie go już.

Conlin wstał.

— To wszystko?

— A powinno być więcej? — Van Buren wyjął nowego papierosa. — Dobranoc, ojcze. Śpij dobrze.

W powrotnej drodze na trzecim poziomie Sussmann nie odezwał się ani słowem, dopóki nie doszli do celi, przed którą stał wartownik. Gdy Conlin zatrzymał się przed drzwiami, Sussmann powiedział:

— Nie, następna.

Cela była dokładnie taka sama jak poprzednia, ale czysta i świeża. Miała ubikację, materac na pryczy, koce.

— Myślę, że tu będzie ojcu wygodniej. Dobranoc ojcu. — Drzwi zamknęły się i klucz przekręcił się w zamku.

Po chwili zgasło światło. Conlin rozłożył koce. Przynajmniej miał chwilę wytchnienia. Czemu to zawdzięczał, nie wiedział, ale od razu się rozluźnił, napięcie opuściło go i spokojnie uklęknął przy łóżku, by odmówić swoje modlitwy.

Nagle celę wypełnił jakiś przerażający dźwięk. Wstał z trudem i zobaczył nad drzwiami duży dzwonek. Dzwonił bez przerwy, a obok szybko mrugało czerwone światło.

Jakim był głupcem. Klucz zazgrzytał w zamku, drzwi otwarły się z hukiem i wpadli Sussmann z Beckerem, by powlec go między sobą korytarzem.

Zmordowany Vaughan wydostał się z wykopu, a na jego miejsce obok Gregora wskoczył młody Franz. Byli już na głębokości ponad dwóch metrów i szło im teraz ciężiej.

Z drugiego pomieszczenia wyszedł Florian, popychając pustą taczkę.

— Ma pan dosyć?

— Prawie. Odwykłem od ciężkiej pracy. — Vaughan zerknął na zegarek. —

Zresztą i tak będę musiał już ruszać.

W drzwiach ukazała się Margaret Campbell, oparta na dwóch starych drewnianych kulach, a za nią Konrad z dzbankiem kawy i kilkoma kubkami na tacce.

— A to co? — spytał Vaughan.

— Brat Konrad znalazł je dla mnie. — Roześmiała się. — Dzięki nim znowu czuję się chociaż w połowie jak człowiek.

Zadzwonił dzwonek u bramy. Stojący w dole Franz zatrzymał się z kilofem uniesionym nad głową. Wszyscy czekali.

— Ja zobaczę — rzucił Konrad i wyszedł.

Przez szparę w nie domkniętych drzwiach Vaughan wyjrzał na zewnątrz.

Margaret przysunęła się do niego i szepnęła:

— Kto to, jak myślisz?

Konrad zapalił światło przy bramie i otwierał właśnie furtkę. Do środka wkroczył Heinrich Berg. Mruknął coś do Konrada, nerwowo omiatając wzrokiem dziedziniec. Zakonnik zamknął bramę i wrócił do stodoły.

— Chce się widzieć z panem, majorze.

Berg przystanął przy drzwiach z czapką w rękę, a jego ciemne czujne oczy dokładnie obejrzały wszystko dookoła. Wykop w rogu, dziewczynę. Wszyscy zastygli w oczekiwaniu. W końcu zdobył się na przymilny uśmiech.

— „Majorze”? Nie wiedziałem.

— Znalazłeś? — spytał niecierpliwie Vaughan.



— Tak, Herr major. Było dokładnie tak, jak pan powiedział. Ciężka pokrywa włązu w dolnej komnacie. Zaryglowana i zamknięta na kłódkę.

— Wszedłeś do środka?

— Tak.

— Opowiadaj.

— Była drabina... stalowa drabina na jakieś cztery-pięć metrów w dół. Tunel miał około trzech metrów średnicy i cały czas opadał. W kilku miejscach trzeba było jeszcze zejść po dwóch drabinach, po trzy metry każda — nie więcej.

— Przeszedłeś całą drogę?

— Tak. Wszystko jest wybetonowane, poza ostatnimi dziesięcioma czy dwunastoma metrami. Tam jest nierówno. Widać też, gdzie skończyli kopać — leży tam trochę gruzu.

— I mogłeś oddychać? Powietrze nie było stęchłe?

— Nie, świeże i czyste. W kilku miejscach była woda, głęboka może na trzydzieści centymetrów. Nie ścieki... myślę, że woda źródłana.

— Jeśli powietrze jest świeże — odezwał się Konrad — to znaczy, że tunel musi mieć wylot w co najmniej dwóch miejscach.

— Dokładnie tak. — Vaughan zwrócił się do Berga: — Dobrze się spisałeś.

Przez jakiś czas nie będziemy się widzieć. Co najmniej przez tydzień.

- 96 -

— Czy w tym czasie miałbym coś jeszcze zrobić?

— Obserwuj codziennie, jak obchodzą się z Conlinem, i informuj na bieżąco brata Konrada... powiedzmy, co dwa dni.

— Jak pan sobie życzy.

— W porządku, możesz już iść.

Konrad wypuścił go i ponownie zamknął furtkę. Gdy wrócił, powiedział:

— Sądzi pan, że możemy mu ufać?

— On nie ma wyboru. Gdyby mógł, to by nas wydał, ale nie może. Dla takich jak Berg życie jest pasmem kompromisów. — Rzucił okiem na zegarek — Lepiej się już przebiorę. Nie chcę, żeby mój przyjaciel musiał się wałęsać po granicy.

Kiedy wyszedł na ganek, znowu miał na sobie ciężki płaszcz kurierski i kask, a na piersiach szturmowy karabin AK.

— Nie podobasz mi się w tym — stwierdziła Margaret Campbell.

— Nie muszę.

Z tyłu za nią Konrad wyprowadził cossacka ze stodoły i poszedł otworzyć bramę.

Vaughan przelotnie dotknął jej policzka wierzchem dłoni w rękawiczce.

— Wyglądasz zbyt ładnie stojąc tu, by cię zostawiać, kochanie.

— I co byś ze mną zrobił?

— Coś wymyśliłbym. — Wsiadł na motor. — Zobaczymy się w weekend.

Wyjechał za bramę, którą Konrad zaraz zamknął. Dziewczyna stała, wsłuchując się w słabnący w nocy odgłos silnika, a potem odwróciła się i weszła do domu.

W dawnym pokoju operacyjnym na Bitterfeld Pascoe siedział przy biurku kontrolera, badając w świetle lampy plan zamku Neustadt. Bruno Teusen spał na krześle w rogu. Było bardzo cicho — zbliżała się północ — i Pascoe zastanawiał się, co się stało. Co poszło źle. W tym momencie zapukano do drzwi i wszedł Vaughan, a za nim Bohmler.

Pascoe odchylił się na krześle i uśmiechnął.

— Już zaczynałem się niepokoić. Chyba się starzeję. Wszystko było w porządku na granicy?

Vaughan zdjął kask.

— Jak w bajce. Od Neustadt do Flossen nie widziałem żywej duszy, aż dopiero natknąłem się na Bohmlera.

— To było zaraz po jedenastej — odezwał się Bohmler. — Wsadziliśmy motor na tył ciężarówki i dojechaliśmy do Flossen, gdzie Bulow od razu nas przepuścił.

— Doskonale — ucieszył się Pascoe. — Teraz niech mi pan powie, co tam się działo. Wszystko.

Bohmler i Vaughan przeszli przez lotnisko do budynku, który kiedyś służył jako kasyno oficerskie.

— Nie jest źle — powiedział Bohmler. — Wojskowe prycze, niestety, ale jest dużo koców, a dozorca włączył dzisiaj bojler. Do jutra powinno być pełno gorącej wody.

Drzwi jednego z hangarów były częściowo otwarte. Dochodziło zza nich

- 97 -

światło i słychać było dźwięk wiertarki elektrycznej.

— Co się tam dzieje? — spytał Vaughan.

— To ten pański zwariowany przyjaciel, Kubel. Wygląda na to, że poświęca tej swojej maszynie każdą wolną godzinę dnia i nocy.

— Dogonię pana za chwilę — rzucił mu Vaughan. Kiedy wszedł do ogromnego hangaru, ujrzał w nim samotnego storka. Max Kubel, pogwizdując wesoło, pracował wiertarką na jednym ze skrzydeł. Ubrany był w czarny roboczy kombinezon, który z pewnością widział lepsze dni.

Wyłączył wiertarkę i uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Patrzcie państwo, powrót bohatera. Jak było?

— Ciekawie. Widzę, że ciągle bardziej kochasz samoloty niż kobiety.

— Bo bardziej można na nich polegać. Powiedz mi, przyjacielu, w jakim stanie znalazłeś tę dziewczynę, o której mi wspominałeś? Ma się dobrze?

— Jedną z niewielu rzeczy, jakich jestem jeszcze pewien, jest to, że ją rzeczywiście znalazłem.

— I jak się czujesz?

— Niepokoję się.

— O kogo? O siebie czy o tę twoją młodą damę? — Kubel roześmiał się głośno.

— Mój biedny Simon.

— Skończysz w piekle — rzucił Vaughan i ruszył do drzwi.

— Niewątpliwie — odkrzyknął mu wesoło Kubel, po czym wziął do ręki wiertarkę i włączył ją.

Ojciec Conlin skulił się w rogu celi położonej na pierwszym poziomie. Była pomalowana na biało, zupełnie nieumeblowana, i wypełniało ją ostre białe światło, które sprawiało ból oczom.

Słyszał wciąż tępy, mocny dźwięk uderzeń. Wydawał się być bardzo blisko, a jednocześnie daleko. To nie miało sensu.

Drzwi otworzyły się i ukazał się w nich van Buren z młodym wartownikiem.

— Bierz go — rozkazał.

Kiedy Vopo wyprowadzał Conlina na korytarz, stary ksiądz ujrzał van Burena stojącego już przed następną celą i zaglądnącego do środka przez zakratowane okienko. Odgłosy uderzeń trwały nadal i gdy wartownik popchnął Conlina

wystarczająco blisko, zobaczył w celi człowieka w obdartej koszuli i spodniach, rozciągniętego na ławce. Sussmann i Becker, rozebrani do pasa, tłukli go systematycznie gumowymi wężami.

Mężczyzna na ławce jęknął, odwracając głowę, i ku swemu przerażeniu, Conlin zobaczył, że to Karl, kierowca, który tamtej pierwszej nocy przywiózł go do domu Margaret Campbell.

— Czego to ma dowieść? — spytał van Burena. — On nic nie wie o Podziemiu.

Nie może powiedzieć panu ani słowa — zorganizowałem cały system tak, by był maksymalnie bezpieczny.

— Och, wierzę ci — odparł van Buren. — Ale bez pokuty poprawa nie jest możliwa, czyż nie tego naucza Kościół? Czy nie powinniśmy zainteresować się jego

- 98 -

dużą? A ból oczyszcza. Weź swój krzyż... i tak dalej. Co za okazja.

- 99 -

# 11.

Była sobota, zaraz po ósmej, gdy Bulow machnięciem ręki przepuścił ciężarówkę przez granicę we Flossen. Jakież półtora kilometra dalej Bohmler skręcił w lewo na leśny trakt i po dalszych kilkuset metrach wyjechał na polanę, gdzie nad rwącym potokiem stały ruiny starego młyna. Skrzydła, które kiedyś dostarczały mu energii, nie obracały się od lat, a frontowa brama budynku wisiała krzywo na zardzewiałych zawiasach.

Wjechał do środka i wyjąwszy latarkę obszedł samochód i spuścił klapę.

Wewnątrz był cossack z bocznym wózkiem i oczywiście Vaughan, znowu przebrany za Vopo. Anglik podał Bohmlerowi nożną pompkę z długim węzem i kilka plastikowych wiader. Wziął je bez słowa, po czym napełnił wodą z kranu w rogu.

Deszcz zaczął bębnić o dach. Bohmler uśmiechnął się i powiedział:

— Dwadzieścia minut wcześniej, i oszczędziłoby nam to trochę czasu.

— Narażając jednocześnie na niebezpieczeństwo, że jakiś wścibski gość zobaczy, jak część wyposażenia Volkspolizei wjeżdża z Zachodu do NRD, i zacznie się zastanawiać, co to ma znaczyć — zauważył Vaughan.

Włożył koniec gumowego węża do jednego z wiader i zaczął energicznie pompować, podczas gdy Bohmler spryskiwał samochód. Bardzo szybko brudnoszara farba, którą był pokryty, zmyła się, odsłaniając to, czym rzeczywiście była ciężarówka — terenowy wóz Vopo, pomalowany na ciemnozielono i brązowo — ochronne barwy strefy leśnej, z oznakami dywizji i grupy.

Cała robota trwała dziesięć minut. Bohmler poszedł wrzucić pompkę i wiadra do strumienia, po czym wrócił, wycierając ręce w szmatę.

— Wszystko teraz zależy od pana, majorze.

Vaughan usiadł za kierownicą.

— Godzinę po północy. Okay?

Zapalił silnik i przejechał polanę. Bohmler poszedł kawałek za samochodem, ale zanim doszedł do szosy, szum motoru rozplynął się w nocy. Skręcił i ruszył z powrotem do przejścia granicznego.

Vaughan powinien wiedzieć, że było za dobrze, żeby mogło tak trwać.

Jakkolwiek dobra by była organizacja, niespodziewane wypadki zawsze paprały sprawę. Głupie drobiazgi, o których się nie pomyślało.

Pierwsze piętnaście czy dwadzieścia kilometrów minęło spokojnie. Nic, tylko drzewa i ciemność. Przejeżdżając przez Ploden zauważył cossacka z bocznym wózkiem — identycznego jak ten, którego sam miał — zaparkowanego przed gospodą. Z pewnością był to regularny punkt postojowy patroli Vopo.

- 100 -

I prawdopodobnie również jedyna karczma w okolicy.

Ciężarówka skręciła gwałtownie, gdy jedna z tylnych dętek pękła. Vaughan z trudem utrzymał kierownicę, nacisnął mocno na hamulec i zdołał zatrzymać się na skraju szosy.

Klnąc cicho wysiadł, wyjął podnośnik ze skrzynki z narzędziami i odczepił jedno z dwóch zapasowych kół. Było ciemno, zbyt ciemno, żeby mógł widzieć, co robi, toteż wziął z szoferki latarkę i położywszy ją na ziemi zaczął odkręcać śruby. Nie chciały nawet drgnąć i doszedł do wniosku, że pewnie zostały dokręcone mechanicznie w warsztacie. Wyteżał całą swoją siłę próbując zdjąć koło. Może właśnie dlatego nie usłyszał warkotu nadjeżdżającego motoru. A potem już było za późno na zrobienie czegokolwiek.

Cossack zjechał na pobocze. Vopo zsiadł i podszedł do Vaughana. W innych okolicznościach mogłoby to nawet być zabawne, gdyż wyglądał zupełnie tak samo, jak on — kask, gogle, płaszcz, nawet AK na piersiach.

— Jakież kłopoty, towarzyszu?

— A jak sądzicie? — spytał kwaśno Vaughan. Wsunął rękę do prawej kieszeni, znalazł kolbę schowanego tam walthera i odciągnął bezpiecznik.

— Pomogę wam. — Vopo żwawo zabrał się do udeptywania podnośnika. —

Dokąd jedziecie?

— Do Stendal — odparł Vaughan. — Do magazynu dywizji.

Wiedział, że istnieje takie coś. Jego nowy przyjaciel zmógł w końcu stare koło.

— Co, w sobotę wieczorem?

Vaughan przyturlał zapasowe.

— Nagła potrzeba. Jedna z naszych ciężarówek wypadła z drogi niedaleko

Flossen i złamała ośkę. Jest potrzebna na poniedziałek, czyli trzeba dzisiaj zdobyć część, a jutro naprawić wóz. — Zaczął dokręcać śruby. — Weekend mam z głowy.

Z sykiem powietrza uwolnił podnośnik. Vopo zachichotał.

— Mieliście w planie coś specjalnego? Może przypadkiem Brudną Gertę w gospodzie w Ploden, co? Słyszałem, że już nie jest taka dobra.

Vaughan wrzucił lewarek do skrzynki z narzędziami.

— Żebracy nie mogą wybierać, nie w takiej dziurze. — Wspiął się do kabiny. —

Tak czy siak, dzięki, towarzyszu. Muszę ruszać.

— Chwileczkę — rzucił Vopo. — Zapomnieliście zdjętego koła. Wrzucę je wam na tył.

Vaughan usłyszał kroki obchodzące samochód i już nie czekał na reakcję



tamtego, tylko nacisnął mocno na pedał gazu i odjechał.

Nie miał żadnych szans w wyścigu z taką maszyną jak cossack. Widząc w lusterku zbliżające się światło motoru, zaczął jechać zygzakiem, by uniemożliwić Vopo wyprzedzenie samochodu.

Przez jakiś czas mu się udawało, potem jednak wyjechał z lasu na pięciokilometrową groblę, biegnącą przez błotniste mielizny i wielkie pasma trzciny wyższych od człowieka. Obcy świat zamieszkały jedynie przez ptaki.

Tutaj taka strategia była już niemożliwa — najmniejszy błąd i ciężarówka

- 101 -

wyleciałyby z szosy prosto w bagno. Byłoby to bardzo smutne dla Seana Conlina i Margaret Campbell, nie mówiąc już o Simonie Vaughanie.

Może gdyby jechał wolno, zapraszając Vopo do wyprzedzenia, zaistniałaby jakaś szansa zepchnięcia cossacka z drogi. Vaughan spróbował tego, ale Vopo nie miał najmniejszego zamiaru przyjąć zaproszenia i cały czas trzymał się na ogonie. Rozległ się strzał, potem następny, i Vaughan zrobił jedyną rzecz, jaka mu jeszcze pozostała — zahamował ostro i zatrzymał się z poślizgiem. Nie gasząc silnika przesunął się na siedzenie pasażera, wyskoczył z drugiej strony i przykucnął pod ciężarówką.

Usłyszał, jak cossack zatrzymuje się, a zaraz potem zbliżające się kroki. Blisko jego twarzy przeszły wojskowe buty i mignął koniec płaszcza. Drzwi od strony kierowcy zostały otwarte jednym szarpnięciem.

Nastąpiła chwilowa cisza. Vaughan wyszedł spod samochodu, stając za Vopo.

Kolanem rąbnął go w kręgosłup, a lewe ramię owinał wokół szyi, zginając ciało Vopo w bolesny łuk. Prawą ręką szarpnął kask tamtego do tyłu wbijając go w jego kark,

który złamał się natychmiast. Vopo wydał z siebie jeden zduszony krzyk i umarł.

Ciężko oddychając Vaughan trzymał go przez chwilę w ramionach, a potem powlókł z powrotem do cossacka i usadowił w bocznym wózku, co nie było łatwe, gdyż zabity był potężnym mężczyzną. Następnie sam usiadł na motorze. Gdy silnik zaczął regularnie pracować, zeskoczył i przekręcił przyspiesznik. Maszyna szarpnęła do przodu i przeleciała nad krawędzią szosy.

Wyjął z ciężarówki latarkę. Ciało zostało wyrzucone do przodu i motor leżał teraz na nim. Nie trwało długo, zanim zniknął, Vaughan czekał jednak do chwili, aż powierzchnia bagna uspokoiła się zupełnie.

Cóż — zginął jeden Vopo z patrolu razem z maszyną... Mogłoby to oznaczać dla bezpieczeństwa, że po prostu zwiął na Zachód. A nawet gdyby moczary postanowiły ujawnić swoją tajemnicę, nic nie wskazywało, że było to coś więcej niż nieszczęśliwy wypadek.

Wsiadł do szoferki i zapalił papierosa. Smakował obrzydliwie. Cisnął go przez okno i odjechał, mocno zaciskając ręce na kierownicy.

Po powrocie na farmę zaraz poszedł do stodoły, zszedł z bratem Gregorem po pochylni z desek do wykopu i zajrzał w głąb tunelu.

— Jak daleko jesteście? — spytał.

— Jakieś sześć metrów. Idzie nam naprawdę bardzo dobrze.

Tunel był jasno oświetlony żarówkami zwisającymi w różnych odstępach z długiego kabla. Sufit i boki wyłożono arkuszami rdzewiejącej fałdowanej blachy i podparto drewnianymi belkami.

— Trudno się tu zamachnąć kilofem — zauważył Vaughan.

— Tak, chyba tylko jeden człowiek może pracować w przodku, mając u boku

kogoś do pomocy przy ładowaniu wózka. Metr dwadzieścia szerokości, metr pięć wysokości.

— Nie posuwalibyście się naprzód szybciej, gdyby z przodu mogły pracować dwie osoby jednocześnie?

- 102 -

— Przez poszerzenie tunelu? Nie bardzo, bo wtedy automatycznie zwiększyłaby się objętość ziemi do wywiezienia. Spędziłem sporo czasu obliczając to wszystko. — Gregor uśmiechnął się przepaszająco. — Od czasu do czasu ciągle wychodzi ze mnie inżynier.

— To brat tu rządzi — powiedział Vaughan. — W końcu, jeśli tylko tunel będzie dość szeroki, żeby przeszedł przez niego człowiek, to w porządku.

— Otóż to. Miałem ten sam problem w okopach w czasie ostatnich dni pod Stalingradem.

— Wyobrażam sobie.

Z przodu doszły ich trzy ostre szarpnięcia. Gregor spojrział na Konrada i pozostałych braci.

— Ciągnijcie!

Ktoś chwycił sznur i oczom Vaughana ukazał się załadowany ziemią wózek, na kołach ze starego wózka mleczarskiego. Po prymitywnych szynach wyjechał pochylnią na górę, gdzie Konrad zaczął przesypywać jego zawartość na taczkę.

Schyliwszy się Vaughan wszedł do tunelu i na czworakach dotarł do miejsca, w którym Franz kopał starą łopatą. Za nim kucał Florian. Obaj byli rozebrani do pasa, spoceni i brudni.

Franz uśmiechnął się szeroko.

— Wrócił pan, majorze? Chce pan łopate?

— Nie, dzięki — odparł Vaughan. — Wygląda na to, że dobrze się bawicie.

— Człowiek czuje się tu przyjemnie i bezpiecznie. Jak w łonie matki. Są też ciekawe pamiątki. — Pogrzebał ręką w luźniej ziemi i wyjął kość palca. — Proszę bardzo. Prezent z Neustadt.

Vaughan wyczołgał się z powrotem i wyszedł po pochylni.

— Żadnych nieprzyjemnych niespodzianek, jak dotąd? — spytał.

Gregor zaprzeczył ruchem głowy.

— Tylko stare kości. Zbadałem cmentarz — większość grobów pochodzi z siedemnastego i osiemnastego wieku.

— A pozostałe? Te przed nami?

Konrad przerwał pracę i oparł się na łopacie.

— Niestety, są dużo późniejsze. Niektóre nawet z zeszłego roku.

Nastąpiła nieprzyjemna cisza. Wydawało się, że nikt nie wie, co powiedzieć.

W tym momencie otworzyły się drzwi stodoły i weszła Margaret Campbell, utykając, ale już bez kul. Opierała się jedynie na grubej lasce.

— Kolacja dla wszystkich — oznajmiła, a gdy uśmiechnęła się do Vaughana, zrobiło się od razu jaśniej.

Zbliźali się już do końca posiłku, kiedy zabrzmiał dzwonek przy bramie.

— To powinien być Berg — stwierdził Konrad. — Spodziewałem się go dziś wieczorem.

Wyszedł, by zaraz wrócić z dozorcą. Berg był wyraźnie zaskoczony obecnością Vaughana i stanął niepewnie na progu, mnąc w rękach czapkę.

— Wrócił pan, majorze...

— Na to by wyglądało. Co się dzieje tam na górze?

— Nie zwierzają mi się ze swoich tajemnic. Niewiele udaje mi się zobaczyć.

— Pospiesz się, człowieku — zniecierpliwił się Vaughan.

— No... Conlin jest w dobrym stanie. To znaczy może chodzić o własnych siłach. Dziś po południu widziałem, jak wychodził pod strażą z gabinetu van Burena.

— Ciągle trzymają go na trzecim poziomie?

— Tak. — Berg zawahał się i po chwili powiedział: — Zajęli się teraz kimś innym.

— Kim?

— Podśledzałem, jak kapitan Sussmann rozmawiał z Beckerem. To chyba człowiek, który przywiózł tu ojca Conlina.

— I co mu zrobili?

— Wszystko — stwierdził po prostu Berg. — Godzinami sterczał na dziedzińcu przywiązany do słupa. Moim zdaniem długo już nie pociągnie.

Margaret Campbell wyraźnie bardzo się zmartwiła. Vaughan wziął jej rękę pod stołem i trzymał mocno.

— A ta kobieta, którą van Buren z sobą przywiózł? Co ona za jedna?

— Porucznik Leber. Pielęgniarka z Korpusu Medycznego. — Berg wzruszył ramionami. — Szczerze mówiąc, prawie jej nie widuję. Większość czasu spędza z van Burenem.

Przez chwilę Vaughan zastanawiał się, a potem pokiwał głową.

— W porządku. Lepiej zostań teraz i posłuchaj, co mam do powiedzenia, bo też będziesz brał w tym udział. — Wstał. — Przyjechałem dzisiaj w ciężarówce Vopo.

Stoi w jednej z szop na dziedzińcu.

— I gdy nadejdzie czas ucieczki, ona właśnie posłuży nam za transport...? —  
spytał Konrad.

— Dokładnie tak. Są w niej mundury i karabiny dla wszystkich, łącznie z tobą,  
Berg. Nawet gdyby postawiono na nogi całą okolicę, w takim wozie nikt nie będzie  
nas niepokoił.

— A co z ustawieniem w czasie tego wszystkiego? — odezwała się Margaret  
Campbell. — Jak chcesz to zorganizować?

— Zwyczajnie. — Podeszedł do kredensu, na którym leżał skórzany wojskowy  
tornister, i wyjął z niego mały nadajnik.

— Ma pan zamiar porozumiewać się drogą radiową? — zdumiał się Konrad. —  
Przecież to szaleństwo. Służba Bezpieczeństwa ma dziesiątki zespołów, których  
jedynym zadaniem jest kontrolowanie wszystkich częstotliwości radiowych.

Znaleźliby pana w ciągu paru godzin.

— O to właśnie chodzi — powiedział Vaughan. — Bądźcie cierpliwi, a zaraz  
wszystko zrozumiecie. Od przyszłej środy moi przyjaciele na Bitterfeld będą  
w ciągłym pogotowiu. Czekają tam samolot obserwacyjny typu Storch z pilotem, który  
wielokrotnie wykonywał podobne loty. W dniu, w którym pójdę po Conlina, ten  
nadajnik zostanie włączony. Wysyła na falach ultrakrótkich specjalnie zakodowany  
sygnał i po dwóch minutach automatycznie się wyłącza. To alarmuje tych

- 104 -

na Bitterfeld. Procedura zostaje powtórzona w momencie, gdy wyprowadzam  
Conlina, i kiedy sygnał dociera do Bitterfeld, storch startuje.

— A ile czasu zabierze lot? — spytała Margaret.

— Najwyżej dwadzieścia minut. Pilot wylądowuje nad Elbą w miejscu zwanym

Łąką Wodnego Konia, niecały kilometr stąd.

— Ale czy można wylądować w nocy w takim miejscu?

— Ten pilot może. Wszystko, czego mu potrzeba, mam tu w tornistrze. Konrad zawiezie mnie i Conlina na tę łąkę, skąd polecimy storchem do Bitterfeld.

— A pozostali? — zapytał Berg.

— Konrad wraca tu po was, oczywiście ubranych w mundury. — Uśmiechnął się do dziewczyny. — Jest nawet jeden dla ciebie.

— Nie wiedziałam, że robią takie małe.

— Ja też nie. Będziesz musiała nasunąć czapkę na oczy. W ciężarówce jest mapa z wyraźnie oznaczoną najkrótszą drogą do Flossen. Radziłbym znaleźć czas, by nauczyć się jej na pamięć, Konradzie.

— Oczywiście.

— Jeszcze jedno — wbijcie to sobie wszyscy dobrze do głowy. W dniu, o którym mowa, najważniejszą sprawą jest, żeby każdy robił to, co ma do zrobienia, dokładnie na czas. Jeśli w ostatniej fazie kogoś będzie brakowało, pozostawiamy go własnemu losowi. — Zwrócił się do Konrada. — Nie czeka brat na nikogo, proszę pamiętać.

Berg potrząsnął głową.

— Szaleństwo — mruknął. — Absolutne szaleństwo.

— Nie, nieprawda — zaprzeczył Konrad. — Jak się nad tym zastanowić, to bardzo proste. Wszystko pasuje do siebie jak w szwajcarskim zegarku.

— A wiecie, co się z takim zegarkiem dzieje, gdy jakaś część się popsuje? —

spytał ponuro Berg. Włożył czapkę na głowę. — No, lepiej już pójdę. Zobaczymy się

pojutrze.

Konrad poszedł go odprowadzić, pozostali również podnieśli się z miejsc.

— Wracamy do kopalni soli — rzucił wesoło Franz i wszyscy wyszli.

Dziewczyna odwróciła się do Vaughana i w jej oczach pojawiła się troska.

— Wyglądasz na zmęczonego.

Przez chwilę miał ochotę powiedzieć jej o zdarzeniu na grobli, o tym, że właśnie zabił człowieka, lepiej jednak chyba było nic nie mówić. Nie była osobą, która potrafiłaby przyjmować takie rzeczy lekko, niezależnie od rodzaju motywu.

— Chyba się starzeję — powiedział uśmiechając się. Wrócił Konrad.

— O której pan wyjeżdża?

Vaughan spojrział na zegarek.

— Za jakąś godzinę. Mój kontakt będzie oczekiwał mnie punktualnie o pierwszej.

Margaret położyła mu rękę na ramieniu.

— Wracasz już dzisiaj?

Tak, to konieczne. Mam robotę. Ale wrócę w środę.

- 105 -

Sądzi pan, że ten pański plan się powiedzie? — spytał Konrad.

— Czemu nie?

— A ojciec Hartmann? Nie powiedział mu pan?

— Wolałbym postawić go przed faktem dokonanym. Mógłby mieć inne zdanie na temat niektórych punktów.

— Pan wie najlepiej. — Konrad zawahał się, zerkając to na nią, to na niego. —

Zostawię was na chwilę, jeśli można, i zobaczę, jak posuwa się praca w stodole.



Wyszedł. Vaughan zapalił papierosa, a dziewczyna siedząc na krześle założyła ręce na piersiach i przyglądała mu się.

— Jak długo cię znam? Rok? Sto lat?

— Nie warto być dokładnym.

— Wiesz, jak ja się czułam tamtego poranka na moście? Jak bardzo chciałam ci wszystko powiedzieć?

Pochylił się i dotknął jej twarzy.

— Sporo wody upłynęło już od tego czasu.

— I ty wierzysz w to wszystko? — spytała. — Wierzysz w to, co robisz? Chyba musisz. Inaczej nie mógłbyś tak iść na całego.

— Czy wiesz, że muru pilnuje trzydzieści tysięcy ludzi? Każdy żołnierz, który przeszkodzi koledze w ucieczce, dostaje awans o dwa stopnie, Order Zasługi Narodowej Armii Ludowej, pięćset marek i urlop w Moskwie dla dwóch osób. Nie przypuszczam, żeby wspominali ci o tym na uniwersytecie.

— Rzeczywiście nie.

— To wszystko zresztą nie bardzo sukinsynom pomaga. Ponad dwa tysiące strażników już zwiało. Widzisz, oni wolą doświadczyć dostatków zachodniego kapitalizmu niż czystości ideologii marksistowskiej.

— Jesteś cyniczny — stwierdziła.

— Naprawdę?

— Opowiedz mi o Borneo.

— Niby po co?

— Chciałabym wiedzieć, jak to wyglądało z twojego punktu widzenia. Proszę.

Dotknęła lekko dłonią jego ramienia.

— W zeszłym roku na Borneo obszar wokół Kotabaru był całkowicie

kontrolowany przez terrorystów, w większości nie-Indonezyjczyków. Byli to chińscy infiltratorzy komunistyczni. Masowo palili wsie i zmuszali Dżaków, by im pomagali, zarzynając w niektórych zdobytych wioskach co drugiego mężczyznę czy kobietę — po prostu dla zachęty.

— I posłali tam ciebie, żebyś coś z tym zrobił?

— Miałem już do czynienia z terrorystami, więc dali mi kompanię nieregularnego wojska — dżackich zwiadowców — i kazali zrobić porządek. Nie za dobrze mi szło — aż do czasu, gdy spalili misję w Kotabaru, gwałcąc i mordując cztery zakonnice i osiemnaście dziewcząt. To było to, jeśli chodzi o mnie.

— Co zrobiłeś?

— Jeden z informatorów doniósł mi, że pewien chiński kupiec w Selangor,

- 106 -

nazwiskiem Hui Lui, jest komunistycznym agentem. Zaaresztowałem go, a gdy nie chciał gadać, oddałem go Dżakom.

— Na tortury?

— Wytrzymał tylko kilka godzin. Potem powiedział mi, gdzie zaszył się oddział, którego szukałem.

— I dostałeś ich?

— W końcu tak. Podzielili się na dwie grupy, co trochę utrudniło nam sprawę, ale udało się.

— Mówili, że rozstrzeliwałeś swoich jeńców.

— Zrobiłem to tylko raz — w czasie ostatniego pościgu, gdy następowałem na piąty drugiej grupie. Opóźnialiby mnie.

— Rozumiem. A pan Hui Lui?

— Zastrzelony podczas próby ucieczki. To najprawdziwsza prawda, i w tym tkwi cała ironia. Byłem gotów sprowadzić go na wybrzeże i postawić przed sądem, ale w noc przed naszym wyruszeniem próbował uciec.

— Żałujesz czegoś z tego?

— Celem terroryzmu jest terror. Pierwszy powiedział to Lenin i znajdziesz to na pierwszej stronie każdego komunistycznego podręcznika prowadzenia wojny rewolucyjnej. Taki ogień możesz zwalczyć tylko ogniem. Zrobiłem to, co trzeba było zrobić. Malaje, Kenia, Cypr, Aden... Widziałem to wszystko i miałem dosyć ludzi usprawiedliwiających mordowanie niewinnych argumentowaniem, że wszystko było w imię Sprawy. Kiedy skończyłem, nie było już terroru w Kotabaru. Nie było już gwałcenia i mordowania małych dziewczynek. Bóg jeden wie, że to powinno się liczyć.

Oparła się o stół. Twarz miała spokojną, oczy na wpeł przymknięte, zadumane.

— A więc zrujnowałaś się. Karierę, reputację — wszystko.

— Lepiej już pójdę.

Wstał, zdjął z wieszaka na drzwiach swój długi płaszcz kurierski i włożył go.

Przewiesił AK przez piersi i założył kask, podciągając ramię.

— Może być?

— Chyba tak.

Gdy otworzył drzwi, odezwała się cicho:

— Wiem teraz, co to było, co widziałam w tobie od pierwszego momentu — widziałam i czułam, ale nie rozumiałam. Myślę, że w twoim sercu ciągle jest jakieś poczucie pogwałconej sprawiedliwości.

Nastąpiła cisza. Po chwili drzwi zamknęły się za nim bezgłośnie.

Minęła właśnie druga w nocy i Meyer leżał na jednej z wąskich wojskowych pryczy na Bitterfeld, grubo obłożony kocami, bo łatwo marznął. Czytał jedną z książek Vaughana, krytyczną rozprawę na temat filozofii Heideggera.

Drzwi otwarły się i wszedł Vaughan.

— Simon, jesteś! — zawołał Meyer.

— Wyglądasz na zdziwionego. — Vaughan zdjął kask i płaszcz i usiadł ciężko na brzegu łóżka zapalając papierosa.

- 107 -

— Wszystko poszło jak trzeba?

— Musiałem zabić jednego marudera Vopo, który usiłował zatrzymać mnie na drodze.

— O Boże!

— Nie martw się. Wrzuciłem go razem z jego motorem do bagna na wrzosowisku Holstein. Jeśli będę miał odrobinę szczęścia, jego zwierzchnicy pomyślą, że zwiął.

— Są czasy, gdy jedyne, co możesz zrobić, to zamknąć okna i czekać, aż ciemność minie — powiedział Meyer.

— Wieki temu, gdy miałem siedemnaście lat, chodziłem tańczyć na stare Trocadero. Muzyka była w twoim stylu. Podobałaby ci się.

— No to o co chodzi?

— Że siedemnaście lat to wiek niezliczonych obietnic. Siedemnaście lat to odprowadzanie dziewczyny do domu dziesięć kilometrów w deszczu za niewiele więcej niż pocałunek. Siedemnaście lat to poczucie przepelnienia niespokojnym

podnieceniem, świadomość, że coś czeka zaraz za rogiem. Siedemnaście lat to

wystawanie pod uliczną lampą z dziewczyną w ramionach i deszcz niesiony przez wiatr jak srebrny pył.

— To było kiedyś, a teraz jest teraz, Simon — stwierdził Meyer. — Masz trzydzieści siedem lat, z czego dwadzieścia jesteś zawodowym żołnierzem. Spójrzmy prawdzie w oczy — *business is business*, a twoje rzemiosło to zabijanie. Ty nie potrafisz przestać. Malaje, Kenia, Cypr — wszystkie te małe wojny, w których walczyłeś. A teraz to. Dla ciebie zawsze będzie jakaś nowa mała wojna, bo ty nie umiesz przerwać tej swojej gry. Ale pewnego dnia — bez względu na to, jaki dobry jesteś, jaki sprytny — gdzieś na dachu będzie czekał snajper, który wpakuje ci kulę w plecy. Nic w tym zaszczytnego.

— Spędziłem dwa lata w chińskim obozie jenieckim — powiedział Vaughan zmęczonym głosem. — To wystarczający zaszczyt jak na jedno życie.

— Jesteś wrakiem człowieka, Simon. Bądź grzecznym chłopcem i zostaw ją w spokoju. Wydostań ją stąd bezpiecznie — to dobry uczynek — a potem zostaw. Ona ma prawo żyć.

Vaughan rozebrał się i położył na drugiej pryczy.

— Masz coś przeciwko temu, żebym jeszcze poczytał? — spytał Meyer. — Przeszkadza ci światło?

— Nie.

— Ciekawy facet, ten Heidegger. Twierdzi, że do osiągnięcia prawdziwej pełni życia konieczna jest konfrontacja ze śmiercią. Zgadzasz się z tym?

Głos Vaughana był przytłumiony, gdy odpowiadał:

— W swoim czasie Heidegger był dobrym człowiekiem. Zupełnie jak ja.

Gabinet Waltera Ulbrichta umeblowany był ze spartańską prostotą. Na ścianie, w widocznym miejscu, wisiała oprawiona fotografia Stalina z dedykacją, a ogólnie chłodna atmosfera panująca w tym gabinecie nie była wynikiem jedynie dobrze znanej niechęci towarzysza przewodniczącego do centralnego ogrzewania.

- 108 -

Poranne słońce wpłynęło do pokoju przez jedno z wąskich okien, nie rozświetliło jednak całkowicie ponurego mroku. Ulbricht siedział za biurkiem, przedzierając się systematycznie przez pliki papierów, podawanych mu przez sekretarza. Od czasu do czasu podpisywał jakiś list.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Helmut Klein. W wąskim płaszczu z futrzanym kołnierzem wyglądał dość dystyngowanie, a jednak w obecności starszego mężczyzny wydawał się jakby maleć. Przez chwilę Ulbricht nie zwracał na niego uwagi, dalej podpisując listy. W końcu przerwał, zdjął okulary i przetarł ręką oczy.

— Zostaw nas — powiedział cicho do sekretarza. Tamten natychmiast wstał i wyszedł bez słowa.

Ulbricht przez całą minutę patrzył na Kleina, zanim się odezwał:

— No cóż, Klein, czekam. Wróciłem z Moskwy dwa dni temu i nie usłyszałem od was ani słowa.

— Towarzyszu przewodniczący — zaczął Klein — te rzeczy trochę trwają.

— Powiedzieliście mi, że ten Amerykanin, van Buren, jest najlepszy. Nie podobał mi się jego brak politycznego zaangażowania, ale zapewniliście mnie, że to nie ma znaczenia. Obiecaliście mi wyniki.

Kleinowi zupełnie zaschło w ustach. Zwilżył wargi i zdołał wykrztusić:

— Tak, towarzyszu przewodniczący.

— Dobrze. Niepowodzenie w tej sprawie nie będzie tolerowane. Uczyniłem was osobiście odpowiedzialnym. Spodziewam się szybko usłyszeć od was pomyślnę nowiny.

Wziął do ręki pióro i zabrał się z powrotem do swoich dokumentów, Klein zaś wyszedł tak szybko, jak tylko mógł. Kazał swojemu kierowcy zawieźć się natychmiast do Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego na Normannenstrasse.

Kiedy wszedł do przedpokoju swego gabinetu w Sekcji Piątej, Frau Apel wstała, by go powitać.

— Dzień dobry, pułkowniku. Ten oficer z Lipska jest na linii.

— Mniejsza teraz o niego — odparł Klein. — Połącz mnie z kapitanem Sussmannem w zamku Neustadt.

Wszedł do gabinetu i nie zdejmując płaszcza usiadł za biurkiem. Zrozumiał, że stoi na skraju przepaści. Swoje życie i karierę złożył całkowicie w ręce Harry'ego van Burena.

Zadzwonił telefon. Gdy podniósł słuchawkę, usłyszał:

— Tu Sussmann.

— Co się tam dzieje, Sussmann? Czy on do czegoś dochodzi? Chcę usłyszeć prawdę.

— Moim zdaniem nie. Za dużo gadania. Gdybyśmy ze starszym sierżantem Beckerem mieli wolną rękę...

— Nie — stwierdził krótko Klein. — Jeszcze tydzień a potem ponownie przyjrzymy się sytuacji. Naturalnie oczekuję od was raportu na temat działań van Burena, z najdrobniejszymi szczegółami.

— Oczywiście, towarzyszu.

— Ja sprawa może oznaczać dla was znaczny awans, Sussmann, jeśli dojdziemy do szczęśliwego końca.

— Zrobię, co w mojej mocy.

— Jeszcze jedno. Ten ksiądz, Hartmann, zjawi się pojutrze. Chcę wiedzieć o wszystkich jego poczynaniach. Dzwońcie o każdej porze. Macie numer prywatny, pod którym możecie mnie złapać w nocy, gdybym nie był w biurze. Teraz połączcie mnie z van Burenem.

Van Buren był w swoim gabinecie tylko z Ruth Leber i przeglądał notatki z ostatniej sesji z Conlinem, gdy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę i Klein powiedział wesoło:

— Cześć, Harry. Od paru dni nie miałem od ciebie wiadomości, więc pomyślałem, że zobaczę, jak ci idzie.

— Świetnie — oznajmił van Buren. — Robię zdecydowane postępy.

— W porządku. Po prostu musiałem dziś rano spotkać się z przewodniczącym Ulbrichtem i on wspomniał o sprawie Conlina. Powiedział, że oczekuje szybko naprawdę pozytywnych wyników. Jeśli proces Conlina ma się zbiec w czasie z wizytą Kennedy'ego, trzeba jak najszybciej rozpocząć przygotowania.

— Rozumiem.

— Czy moja obecność pomogłaby coś?

— Nie, to nie wchodzi w rachubę — odparł pośpiesznie van Buren. —

Wszystko zależy od stopnia bliskości mojego osobistego kontaktu z Conlinem.

Nikt inny nie może wejść na prywatny obszar naszych wzajemnych stosunków.



— Tydzień, Harry, to wszystko, co mogę ci dać.

— Ależ to śmieszne.

— Nie, to Ulbricht.

Połączenie zostało przerwane. Van Buren odłożył słuchawkę i siedział marszcząc brwi.

— Jakież kłopoty? — spytała Ruth Leber.

— Nie, nie sędzę. Będziemy po prostu musieli posuwać się trochę szybciej, to wszystko. — Wstał. — Chyba porozmawiam jeszcze z Conlinem.

Kiedy otworzył drzwi do celi, Conlin siedział na łóżku, wpatrując się w ścianę.

Wyglądał bardzo mizernie — schudł tak, że na twarzy widać było każdą kość.

— Nie wyglądasz za dobrze — stwierdził van Buren.

— Po prostu starzeję się.

Van Buren zapalił papierosa i dym zaczął się roznosić w zimnym powietrzu.

Conlin uśmiechnął się.

— Szkoda czasu. Najbardziej przykre momenty odzwyczajania się od nikotyny mam już za sobą. Od lat tak dobrze nie oddychałem. Pod tym względem wyświadczyłeś mi przysługę, Harry.

Na nieoczekiwany dźwięk swego imienia van Buren poczuł gniew — i coś w rodzaju strachu, ukrytego pod gniewem.

— Bierzcie go — rzucił do Beckera i wyszedł. Podszedł do innej celi i otworzył

- 110 -

ją. W rogu leżał Karl, kierowca ciężarówki. Z kącika ust ciekła mu krew, oczy były utkwione w jakimś punkcie przestrzeni.

— Szczycimy się poczuciem logiki i obowiązku, wewnątrz jednak jesteśmy

barbarzyńcami — powiedział van Buren. — Skłonność do przemocy jest najtrwalszą cechą człowieka.

Conlin z bólem na twarzy ukląkł i pochylił się nad pobitym ciałem. Dostrzegł przebłysk rozpoznania. Karl wyszeptał:

— Niech mnie ojciec ratuje. Niech mi ojciec pomoże.

Chciał chwycić koszulę zakonnika, ale nie starczyło mu sił i osunął się z powrotem na ziemię.

— Na litość boską, Harry — rzucił Conlin. — Sprowadź mu lekarza.

— Za późno — odparł van Buren. — Ale zrobiłem drugą najlepszą rzecz.

Przyprowadziłem mu księdza.

Wyszedł — drzwi zamknęły się, trzasnęły zasuwę. Conlin objął Karla i oparł jego umęczoną głowę na swoim ramieniu.

— Karl — wyszeptał — chcę, żebyś wypowiedział akt skruchy. Powtarzaj za mną: „O Boże mój, nieskończenie dobry Boże...”

## 12.

„L'Osservatore Romano” jest jedną z najstarszych gazet na świecie. Jej zasięg nie ogranicza się do samego Watykanu, ukazują się bowiem również specjalne tygodniowe wersje po angielsku, francusku, hiszpańsku i portugalsku.

Chociaż pismo informuje o wszystkich ważniejszych wydarzeniach na świecie, nie ma wątpliwości, że redakcja specjalną wagę przywiązuje przede wszystkim do tego, co ma jakikolwiek związek z Kościołem katolickim. W środę rano nadeszło doniesienie od jednego z niemieckich korespondentów i dziennikarz dyżurny zaniósł je prosto do Manzini, redaktora naczelnego.

— Skąd to przyszło? — zapytał Manzini.

— Z Berlina Zachodniego. Sądzisz, że jest w tym jakaś prawda?

— Nie wiem. Jeśli tak, to może z tego być niezły bigos. Zostaw mi to i nie mów nic o tym. Nikomu.

Dziennikarz wyszedł. Manzini siedział przez chwilę pogrążony w myślach, a następnie sięgnął po telefon i kazał swojemu sekretarzowi, by połączył go z generałem jezuitów w Collegio di San Roberto Bellarmino. Ponad sześćset tysięcy osób — największa liczba wiernych, jaka kiedykolwiek zebrała się, by uczcić biskupa Rzymu — przeszło obok zabalsamowanego ciała papieża Jana XXIII, wystawionego przez trzy dni na widok publiczny w bazylice Świętego Piotra. Wśród żałobników, oprócz prezydenta Włoch i całego jego gabinetu, znaleźli się dyplomatyczni przedstawiciele pięćdziesięciu państw. Potem — zgodnie z ostatnią wolą zmarłego — pochowano go bez ceremoniału w Krypcie Świętego Piotra.

Dla Pacellego był to pracowity czas: przyjmowanie dygnitarzy kościelnych przybywających do Rzymu z całego świata, konferencje z różnymi departamentami

włoskich służb specjalnych, ustalanie nowych linii postępowania.

Gdy zapukał do drzwi i wszedł, generał stał przy oknie. Po chwili odwrócił się.

— A, jesteś. Właśnie rozmawiałem przez telefon z Manzinim z „L'Osservatore Romano”. Dostali wiadomość w sprawie Conlina.

— Co dokładnie?

— To tylko niewielka informacja od ich berlińskiego korespondenta, całkowicie nie potwierdzona — że Conlin zniknął i że mają go enerdowncy.

— Co ojciec powiedział Manziniemu?

— Poprosiłem go oczywiście o niedrukowanie tego. Powiedziałem, że chodzi tu o sprawy bezpieczeństwa państwowego. Zgodził się od razu. To człowiek, na którym można najzupełniej polegać. Zauważył jednak, że jeśli plotka już się rozeszła, to prędzej czy później zwróci uwagę innych agencji informacyjnych i nic nie

- 112 -

będzie można na to poradzić.

— Niedobrze — stwierdził Pacelli. — A swoją drogą ciekawe, jak powstają takie przecieki, mimo całej dokładności systemu zabezpieczającego. Rozejrzę się w tych innych agencjach. Mamy tam pewne wpływy.

— Rób, co tylko możesz.

— Czy mogę ojcu przypomnieć, że to właśnie dzisiaj ojciec Hartmann jedzie do Neustadt?

Siedzący za biurkiem generał podniósł wzrok.

— W takim razie musimy się za niego modlić.

— Też tak sądzę — powiedział Pacelli. — Chyba będzie potrzebował wszystkich naszych modlitw.

W podziemnym garażu Sekretariatu Katolickiego w Berlinie Wschodnim Erich

Hartmann wkładał walizkę na tył swojego volkswagena. Panował półmrok.

W podziemnej hali były jeszcze tylko dwa inne samochody i państwowa karetka.

Zastanawiał się właśnie, co ona tu robi, gdy usłyszał warkot motoru i po podjeździe zjechał Schaefer na swoim BMW.

Miał na sobie trencz, czapkę i gogle, a do bagażnika motocykla przypięta była płócienna walizka. Postawił maszynę na nóżce i podszedł do zakonnika, unosząc gogle.

— Dlaczego nie mogliśmy odbyć tej podróży za dnia, ojcze? Nie cierpię jazdy po ciemku.

— Miałem po południu sporo papierkowej roboty — odparł Hartmann, co niezbyt ściśle odpowiadało prawdzie. Siedział w swoim biurze aż do ósmej, ponieważ poprosił go o to Pacelli, chociaż nie powiedział, dlaczego.

— W porządku, ojcze. Możemy więc ruszać.

— To nonsens. Czemu nie możesz pojechać ze mną wygodnie samochodem?

— Takie są przepisy — stwierdził Schaefer. — Gdzie ojciec jedzie, tam ja za ojcem.

— Co wydaje mi się szczytem biurokracji.

— To jest właśnie demokratyczny socjalizm. Hartmann uśmiechnął się.

— Jak twoja żona?

— Zadowolona, że pozbywa się mnie na tydzień. — Schaefer wyszczerzył zęby.

— Powiem coś ojcu. W połowie drogi na miejsce, za Rathenow, jest przydrożna kafejka „Astor”. Jeśli się ojciec tam zatrzyma, to pozwolę sobie postawić kawę.

— Załatwione — rzucił Hartmann, wsiadł do volkswagena i wyjechał z garażu.

Schaefer przystanął, by założyć rękawiczki. Nagle z tyłu usłyszał jakiś cichy głos:

— Przepraszam...

Odwróciwszy się, ujrzał wysokiego mężczyznę z rękami w kieszeniach. Było w nim coś dziwnego, czego początkowo Schaefer nie był w stanie określić. Po chwili zdał sobie sprawę, co to było. Mężczyzna ubrany był w identyczny jak on trencz, tweedową czapkę, granatowy sweter i szare tweedowe spodnie. Wszystko takie samo, jak jego.

- 113 -

— Horst Schaefer?

Czując, że coś jest bardzo nie w porządku, Schaefer sięgnął po walthera schowanego w kaburze pod lewą pachą, zbyt późno jednak — przed nosem ujrzał lufę bliźniaczej broni.

— Ja również mam walthera. — Uśmiechnął się Vaughan.

Karetka podjechała bliżej i wysiadło z niej dwóch mężczyzn w białych kombinezonach. Jeden z nich wykręcił Schaeferowi ręce do tyłu i zakuł w kajdanki. Vaughan zabrał mu portfel. Wyjął z niego dowód osobisty, który wrzucił z powrotem do kieszeni jeńca. Zatrzymał tylko bardziej osobiste rzeczy — list od ojca Schaefera i kilka zdjęć jego żony z dziećmi. Następnie włożył do portfela drugi dowód osobisty i umieścił całość w wewnętrznej kieszeni swojego płaszcza.

— Co to ma znaczyć? — Teraz Schaefer naprawdę się przestraszył. — Kim jesteście?

— Ja jestem Horst Schaefer — powiedział przyjaznym tonem Vaughan. — Ci dwaj dżentelmeni natomiast są członkami nielegalnej — jak pewnie ty byś to określił

— organizacji, Chrześcijańskiego Podziemia. Nie radziłbym ci sprawiać im kłopotów. Nie są zbyt dobrzy w nadstawianiu drugiego policzka.

Jeden z nich zaprowadził Schaefera na tył karetki, drugi otworzył drzwi i razem wepchnęli go do środka, na jedne z noszy. Zanim zorientował się, co się dzieje, wbito mu igłę strzykawki w ramię.

Na drugich noszach leżało ciało całkowicie przykryte czerwonym kocem.

Vaughan odsłonił woskowe rysy młodej dziewczyny o oczach zamkniętych przez śmierć.

— Zawsze staramy się, żeby to była młoda dziewczyna. Wtedy Vopo na przejściu gorzej się czują.

— Nie rozumiem. — Schaefer z trudem utrzymywał otwarte oczy, a kończyny ciążyły mu, jakby były z ołowiu.

— Jedziesz do Strefy Zachodniej. Całkiem legalnie. Ci panowie mają wszystkie papiery.

Otworzyli skrytkę w podłodze, wielkości mniej więcej trumny. Następnie ułożyli w niej Schaefera, którego już opuszczała świadomość.

Była to spokojna noc w kawiarni „Astor”. W środku siedziały tylko cztery osoby — dziewczyna za kontuarem, dwóch spożywających kolację kierowców ciężarówek i Erich Hartmann, za stołem w rogu, z filiżanką kawy przed sobą.

W czarnej sutannie i kapeluszu z szerokim rondem rzucał się mocno w oczy, toteż pozostali przyglądali mu się ciekawie. Zastanawiał się, co mogło zatrzymać Schaefera, gdyż ruch na drodze był niewielki. Nagle usłyszał na zewnątrz warkot motoru i zobaczył BMW, zajeżdżające na parking obok volkswagena.

— Fraulein? — zawołał na dziewczynę. — Poproszę jeszcze jedną kawę.

Po chwili drzwi otworzyły się. Obrócił się z uśmiechem, który zaraz zamarł, bowiem ku jego zdumieniu do kafejki wszedł Simon Vaughan.

Anglik wsypał cukier do postawionej przed sobą kawy. Hartmann poczekał, aż dziewczyna wróci za kontuar, po czym wyszeptał:

- 114 -

— Co tu się, u licha, dzieje?

Vaughan wyjął z portfela legitymację i podał mu.

— Horst Schaefer, przyjaciel ojca z SSD.

Była to dokładna kopia legitymacji Schaefera, poza tym oczywiście, że odcisk kciuka, rysopis i zdjęcie należały do Vaughana.

Hartmann oddał mu dokument.

— Gdzie jest Schaefer? Co mu pan zrobił?

— Powinien już być w Berlinie Zachodnim. Smacznie teraz śpi. Kiedy się obudzi, ujrzy przy łóżku Brunona Teusena.

Twarz Hartmanna była spokojna, ale w jego oczach pojawił się gniew, a prawa dłoń zacisnęła się w pięść.

— Dlaczego nie przedyskutowano tego ze mną?

— Bo obawiano się, że mógłby się ojciec sprzeciwić. Teraz już ojciec nie może.

— Niech pana diabli, Vaughan.

— Mocne słowa, jak na człowieka w takim stroju — zauważył Vaughan. —

A skoro już o tym mowa, to po co ten wyszukany ubiór? Powiedziałbym, że to niepotrzebne strojenie się.

— Chcę, żeby wiedzieli, kim jestem, gdy dojadę do Neustadt. Myślałem, że o to chodzi. Żebym ściągnął na siebie całą uwagę.



— Coś w tym stylu — mruknął Vaughan. — No cóż, między nami wojna czy pokój?

Hartmann uśmiechnął się smutno.

— Czy mam jakiś wybór?

Wstał i wyszedł, a Vaughan za nim.

Krótko po dziesiątej Hartmann zajechał przed gospodę w Neustadt. Kilka metrów dalej stał gazik Vopo. Zakonnik siedział przez chwilę w samochodzie, po czym wziął walizkę i wysiadł. Podeszedł do drzwi i po krótkim wahaniu otworzył je.

Georg Ehrlich stał razem z Sigrid za ladą. Heinrich Berg i kilku miejscowych chłopów siedziało kręgiem pijąc piwo, a przy stole obok kominka Sussmann i Becker jedli gulasz.

Pierwsza zobaczyła Hartmanna Sigrid i gwałtownie wciągnęła powietrze do płuc. Zaległa cisza. Jezuita postawił walizkę i podeszedł do kontuaru.

— Czy pan jest Georgiem Ehrlichem, tutejszym sołtysem?

— Zgadza się.

— Nazywam się Hartmann. Przypuszczam, że uprzedzono pana o moim przyjeździe. Jestem tutaj, aby zbadać sprawę kościoła.

Ehrlich nerwowo mrugał oczami w stronę dwóch Vopo.

— Tak — powiedział wolno. — Kilka dni temu dostałem wiadomość

z Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego. Traciecie czas, ojcze, musicie o tym wiedzieć.

Otworzyły się drzwi i wszedł Vaughan niosąc swoją płócienną torbę. Położył ją obok walizki Hartmanna i podeszedł bliżej.

— No i jak ojcu poszło?

Heinrich Berg gapił się na niego z otwartymi ze zdumienia ustami

i przerażeniem w oczach, ale Vaughan tylko wesoło skinął wszystkim głową.

Sussmann wstał wycierając usta serwetką i przeszedł przez salę. Przez moment

stał przyglądając się im obu, po czym rzucił krótko:

— Dokumenty.

Hartmann wręczył mu swoje pozwolenie z Ministerstwa Bezpieczeństwa

Państwowego. Sussmann obejrzał je, oddał mu bez słowa i zwrócił się do Vaughana.

— A wy?

— Schaefer, Sekcja Szósta.

Podał Sussmannowi legitymację SSD.

— A, tam gdzie on, to i wy?

— Coś w tym stylu.

— Czy pan jest może wojskowym komendantem tego obszaru? — spytał

Hartmann.

— Nie — odparł Sussmann. — Dlaczego pytacie?

— Kazano mi zgłosić mu swoje przybycie.

Sussmann zawahał się.

— Osoba, której szukacie, jest dzisiaj zajęta. Musicie spróbować jutro rano.

W zamku Neustadt.

Wrócił do stołu i usiadł mówiąc coś do Beckera, który zaśmiał się ordynarnie.

— Miałby pan dla nas jakieś pokoje, Herr Ehrlich? — zapytał Hartmann.

Sołtys potrząsnął głową.

— To niemożliwe.

— Rozumiem — powiedział spokojnie jezuita. — Jest tu jeszcze plebania?

— Tak — odparł niechętnie Ehrlich. — Ale od dłuższego czasu nie używana.

Mam klucz.

— Może gdyby miał pan kilka wolnych koców... Jestem pewien, że damy sobie z panem Schaeferem radę, chyba że znalazłby pan dla niego miejsce tutaj.

Ehrlich wyglądał na osaczonego.

— Przecież nie mogę spuścić ojca z oczu, prawda? — odezwał się wesoło

Vaughan. — Chyba lepiej, jak będziemy się trzymać razem.

— W porządku — powiedział Ehrlich. — Poszukam paru koców i przyniosę klucz.

— A kościół? — spytał Hartmann. — Ma pan klucz od kościoła?

— Kościół pozostanie zamknięty. — Był to głos Sussmanna.

Hartmann odwrócił się w jego stronę, a Ehrlich krzyknął w pośpiechu:

— Przyniosę koce. — I uciekł.

Wieśniacy przytłumionymi głosami omawiali między sobą sytuację,

a Hartmann i Vaughan usiedli przy stole, żeby poczekać. Sigrid bez słowa przyniosła

im dwa piwa. Była bardzo ładną dziewczyną o płowych włosach zaplecionych wokół

głowy, harmonizujących z tradycyjnym strojem. Jak urzeczona wpatrywała się

w Hartmanna, nie mogąc oderwać od niego wzroku.

- 116 -

Uniósł kufel w jej stronę.

— Dziękuję. To bardzo miło z pani strony.

Becker wstał i z kuflem piwa w ręce zuchwałym krokiem ruszył w ich stronę.

Opróżniwszy kufel, postawił go na stole i zatrzymał się przed Hartmannem, spoglądając na niego pogardliwie.

— Faceci w spódnicach. Co dalej będzie? — Cmoknął ustami i poklepał zakonnika w policzek.

Ręka Hartmanna zacisnęła się na jego nadgarstku i uśmiech zniknął z twarzy Beckera. Zatoczył się, a potem uklęknął na jedno kolano, ściągnięty w dół potężną siłą. Nagle uwolniony utracił równowagę i przewrócił się. Jego wykrzywiona wściekłością twarz wyglądała przerażająco.

Gwałtownie szarpnął za kaburę.

— Becker! — zawołał Sussmann. — Dosyć! Sierżant wstał z ręką na kolbie swojego walthera. Tym razem w głosie Sussmanna była stal:

— Becker! Mówię po raz ostatni!

Becker wrócił do stolika i w tym momencie nadszedł Ehrlich z kocami i lampą naftową.

— Mam wszystko, panowie. Proszę za mną. Plebania stała zaraz przy kościele

— mały, jednopiętrowy budynek z drewnianymi okiennicami.

— Nie pozwoliliście nikomu się tu wprowadzić? — zdziwił się Hartmann.

— We wsi nie brakuje mieszkań, ojcze. Rolnictwo podupada w tych stronach, a większość młodych, jeśli może, wyjeżdża do Berlina, by dostać pracę w tamtejszych fabrykach. Obawiam się, że nie ma prądu, dlatego wziąłem lampę naftową, ale jest bieżąca woda i ubikacja. Powinno być znośnie.

Za frontowymi drzwiami ciągnął się kamienny korytarz. Drewniane schody prowadziły na piętro. Ehrlich poszedł do kuchni — stał tam stół, krzesła i stary kamienny piec.

— Z tyłu za domem jest pełno drewna, jeśli chcecie rozpaścić ogień. Na górze są dwie sypialnie, ale nie wiem, w jakim stanie są materace.

— Damy sobie radę — powiedział Hartmann. — Był pan bardzo uprzejmy.

— Drobiazg, ojcie — burknął Ehrlich. Przez chwilę wydawało się, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz w końcu rozmyślił się i wyszedł.

— Co teraz? — spytał jezuita.

— Rozpalmy ogień. Pokręcimy się tu trochę, a potem chciałbym zobaczyć, co słychać u franciszkanów.

— Mogę pójść z panem?

— Jak ojciec chce. Ale w ciągu dnia musimy trzymać się od ich farmy jak najdalej. Nie może być nawet śladu żadnego związku.

— Oczywiście.

Vaughan zapalił papierosa.

— Podobało mi się to, co ojciec zrobił w gospodzie z tym bykiem. Nie wiedziałem, że lubicie takie rzeczy.

— Żołnierze Chrystusa, majorze Vaughan. Nie słyszał pan o tym? — Hartmann

- 117 -

wziął do ręki lampę. — A teraz zobaczę, czy znajdę na podwórku jakieś drewno.

Dzwonek przy bramie rozbrzmiał samotnym, niesamowitym dźwiękiem. Przez jakiś czas nie było żadnej reakcji, potem rozległy się odgłosy kroków i przez klapkę wyjrzał na zewnątrz stary i słabowity brat Urban. Po chwili odsunął zasuwę i otworzył bramę.

— Pan major — powiedział swoim ochryłym głosem. — Są w stodole.

— Jak idzie?

— Niedobrze.

Gdy Vaughan otworzył drzwi, od razu poczuł odór. Konrad i Florian ładowali wózek na brzegu wykopu — obaj mieli usta i nos obwiązane bandażami. Panujący w stodole półmrok potęgował jeszcze niesamowitość całej scenerii.

Konrad przerwał pracę, opierając się ramieniem na łopacie.

— Udało się panu — odezwał się stłumionym głosem. — Czy wszystko poszło jak trzeba?

— Doskonale. To jest ojciec Hartmann.

— Z oczywistych powodów nie podam ojcu ręki — powiedział Konrad.

Poblady na twarzy Hartmann podszedł na skraj wykopu.

— Nie jest za dobrze?

— Niestety. Robimy duże postępy, ale zaczęliśmy trafiać na świeże groby.

— Smród jest okropny.

Na dole coś się poruszyło i wynurzył się jakiś człowiek na czworakach. Kiedy wstał, pomimo całej głowy owiniętej bandażem, Vaughan poznał Gregora. Przed sobą, w obu rękach, niósł jakiś wypchany tobołek.

— Ramię albo to, co z niego zostało — oznajmił Konradowi. — Wyciąganie reszty nie będzie należało do przyjemności.

Przeszedł do drugiego pomieszczenia.

— Studnia? — spytał Vaughan. Konrad skinął głową.

— A potem wapno i warstwa ziemi. Nic innego nie możemy zrobić.

— Gdzie jest doktor Campbell?

— W domu, zajmuje się Franzem. Skaleczył się, a ona bardzo nalegała, żeby nawet najmniejsze zadrapanie natychmiast jej zgłaszać.

— Pójdziemy zamienić z nią dwa słowa.

Znaleźli ją w kuchni, razem z rozebrany do pasa Franzem. Na stole stała duża blaszana miska z odkażoną wodą i zestaw leków. Gdy wchodzili, właśnie dawała mu zastrzyk i Vaughan od razu zauważył przymocowany plastrem opatrunek na lewym ramieniu chłopaka.

— Simon. — Uśmiechnęła się. Policzki miała zapadnięte.

— Jak leci?

— Świetnie. Widziałeś się z Konradem?

— Tak, zajrzeliśmy tam. Paskudnie.

— Pójdę już — odezwał się Franz.

— I pamiętaj — przykazała mu. — Najmniejsza rzecz — jakiegokolwiek pobołowanie, ból głowy czy coś takiego — zaraz przychodź do mnie.

- 118 -

— Fraulein — powiedział uśmiechając się od ucha do ucha. — Już mnie wszystko boli.

Wyszedł, a dziewczyna stwierdziła:

— A więc to jest ojciec Hartmann.

Hartmann uściskał jej rękę i uśmiechnął się ciepło.

— Miło mi poznać panią. Wiele o pani słyszałem.

— Zrobić ojcu kawy?

Zawahał się, zerkając na Vaughana.

— Nie, dziękuję. Chyba wrócę do stodoły. Może na coś się tam przydam.

— Do podania herbaty i okazania współczucia — powiedział z brutalnością

Vaughan. — Nic poza tym. Oni mają swoją robotę do wykonania — ojciec ma swoją.

Nie chcę, żeby sobie ojciec ubabrał sutannę. Jeśli spędzi tam ojciec za dużo czasu, wieśniacy poczują, kiedy będzie ojciec przechodził placem.

— W porządku — rzucił z rozdrażnieniem Hartmann. — Rozumiem, o co panu chodzi.

Gdy poszedł, Vaughan odwrócił się do dziewczyny. Postawiła czajnik na piecu i spojrzała na niego — wyglądała na zmęczoną i bezbronną.

— Nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę, że cię widzę — powiedziała i przytuliła się do niego.

Wszystkie jego poprzednie postanowienia gdzieś się rozplynęły. Przygarnął ją mocno.

— Kiepsko, co?

Gdy podniosła ku niemu oczy, ujrzał w nich obrzydzenie.

— Strasznie, Simon. Jakby z jakiegoś koszmaru, a kłopot w tym, że niedługo będzie pewnie jeszcze gorzej.

Był wczesny zimny poranek i panowała jeszcze ciemność, gdy dwaj Vopo wywlekli Conlina na dziedziniec. Stał między nimi drząc i zastanawiając się, co będzie dalej. Włączono reflektory terenowego samochodu stojącego w pobliżu i w ich świetle jezuita ujrzał Karla, przywiązanego do słupa na środku dziedzińca.

Pojawili się Sussmann i Becker.

— Dajcie go tu — rozkazał kapitan i podszedł do słupa, a za nim Becker i dwaj Vopo z Conlinem.

Karl wisiał na rzemieniach, głowa opadła mu na bok. Becker przyjrzał mu się z bliska.

— Chyba nie żyje — oznajmił.



— Upewnij się — rzucił zimno Sussmann.

Becker wyjął swojego walthera, odbezpieczył go i strzelił Karłowi w głowę z bezpośredniej odległości. Kawałki kości i krew rozprysły się dookoła, ciało zwiotczało. Conlin krzyknął. Sussmann i Becker odeszli, a Vopo puścili Conlina, który opadł na ziemię u stóp trupa.

Doszedł go odgłos kroków, w wilgotnym powietrzu uniósł się zapach dymu z papierosa i obok przykucnął Harry van Buren.

— Gdybyś był rozsądny, mógłbyś zapobiec jego śmierci. Żyłby, gdyby nie ta

- 119 -

twoja niewiarygodna obłuda. Zawsze musisz mieć we wszystkim rację, nawet jeśli to zabija ludzi?

— Odejdź — powiedział ojciec Conlin cicho.

— Tak jak biednego Karla. Albo twoją siostrę. Wstał i odszedł. Słysząc było tylko jego kroki na bruku. Conlin skulił się, opierając głowę o kolano Karla.

— Och, dobry Boże. Frances Mary — wyszeptał. — Nigdy tego nie chciałem, przecież wiesz o tym.

Pierwszy raz od wielu lat rozplakał się.

Vaughan i Hartmann siedzieli na krzesłach przed gabinetem van Burena i czekali. Po chwili Vaughan wstał i podszedł do poręczy, spoglądając w dół na imponujące schody i hol.

— Doskonałe do zrobienia nowej wersji *Więźnia z Zandy*, ale chyba niezbyt wygodne — zauważył Hartmann.

Drzwi otworzyły się i wyjrzał Sussmann.

— Przyjmie was teraz... razem.

Jezuita wszedł pierwszy, Vaughan zaraz za nim. Sussmann, zamknąwszy

drzwi, oparł się o nie. Van Buren siedział za biurkiem. Hartmann podał mu swoje pozwolenie.

Amerikanin zignorował je i dalej przyglądał się zakonnikowi z rozbawionym, lekko ironicznym uśmiechem na twarzy.

— Wybiera się ojciec na bal kostiumowy?

— Myślę, że wie pan, dlaczego tu jestem — powiedział ostrożnie Hartmann. —

Kazano mi zgłosić się po przybyciu do komendanta i właśnie to zrobiłem. Mogę już odejść?

— Bardzo dobrze. — Van Buren klasnął rękami. — Nie ma to jak wychowanie religijne.

— Słyszałem pana wykład w Dreźnie trzy miesiące temu. *Psychologiczne podstawy perswazji religijnej*. Był pan bardzo sugestywny.

— Ale nie udało mi się przekonać samego siebie...? To chciał ojciec powiedzieć?

— Tak się składa, że wierzę, iż w każdej istocie ludzkiej jest coś głębokiego i tajemniczego, dla czego nie można *znaleźć* racjonalnego wytłumaczenia — powiedział Hartmann.

Van Buren uniósł rękę, by mu przerwać.

— Dosyć, dzięki. Nie interesują mnie argumenty filozoficzne, przynajmniej nie o tej porze dnia. Trzymajmy się faktów. Co ma ojciec zamiar robić w czasie pobytu tutaj?

— Zbadać stan kościoła. Spotkać się z ludźmi. Zorientować się w ich potrzebach religijnych.

— Z myślą o ponownym otwarciu kościoła?

— Jeśli będą tego chcieli. Prawo każdego obywatela do swobodnego wyboru religii jest zawarte w konstytucji.

— Podobnie jak cenzura. I to, że związkom zawodowym nie wolno strajkować.

Co jest słuszne, a co nie?

- 120 -

— Wydawało mi się, że nie ma pan teraz czasu na filozoficzne dyskusje.

Van Buren uśmiechnął się.

— Punkt dla ojca. — Zapalił papierosa i odchylił się na krześle. — W porządku.

Niech ojciec gra te swoje małe gierki, jeśli ojciec musi, ale nie wchodzi mi w drogę.

Najdrobniejszy incydent i w ciągu godziny wraca ojciec do Berlina.

— Jak pan chce. Jeszcze jedno — rozumiem, że pan ma klucze do kościoła.

Przez chwilę van Buren siedział wpatrując się w niego, następnie otworzył

szufladę i wyjąwszy z niej trzy duże klucze na kółku, rzucił je na biurko.

— Proszę, ale żadnych obrzędów kultowych.

— Sądzi pan, że na pewno zbiorę wiernych... Dziękuję. To bardzo zachęcające!

I dziękuję za poświęcenie mi czasu.

Ruszył do drzwi. Gdy Sussmann otwierał je, van Buren powiedział

po angielsku:

— Podobno był ojciec w Notre Dame. Dwa lata w amerykańskiej drużynie futbolowej.

— Zgadza się.

Van Buren wybuchnął śmiechem.

— Sportowiec. W czarnym habicie. Że też musiałem dożyć takiego dnia!

Hartmann nie dał się sprowokować i wyszedł bez słowa. Van Buren zaśmiał

się, wstał i podszedł do kominka. Dorzuciwszy jeszcze jedną kłodę, odwrócił się do Vaughana.

— A więc jesteście Schaefer? — spytał po niemiecku.

— Zgadza się, towarzyszu.

— Słyszałem, że wprowadziliście się z nim na plebanię.

— Nie miałem wyboru. Sołtys powiedział, że nie może dać nam noclegu w gospodzie, a poza tym lubię trzymać się blisko niego. To moja praca.

— I to właśnie macie robić — powiedział van Buren. — Trzymajcie się go jak rzep psiego ogona. Jeśli cokolwiek się wydarzy, chcę o tym zaraz wiedzieć.

— Wy tu dowodzicie, towarzyszu.

Van Buren skinął głową.

— W porządku. Ruszajcie i bądźcie w kontakcie.

Vaughan wyszedł i Sussmann zamknął drzwi.

— Macie zamiar pozwolić temu Hartmannowi się tu szwendać? — zapytał.

— Jego pozwolenie jest podpisane przez samego ministra bezpieczeństwa państwowego. To wszystko kwestia polityki, Sussmann. Powiedzcie porucznik Leber, że chcę ją widzieć, dobrze?

Kapitan wyszedł, a van Buren usiadł za biurkiem, otworzył szufladę

w poszukiwaniu czystego papieru i ponownie natknął się na rosyjskie granaty. Wyjął jeden i zauważył, że jest bardzo podobny do amerykańskich.

Trzymał jeszcze granat w ręce, gdy wrócił Sussmann.

— Małe paskudztwo — mruknął van Buren.

— Granat odłamkowy.

— Tak, używaliśmy takich w Korei — mają sporo wad. Jeśli będziecie

kiedykolwiek chcieli nim rzucić, upewnijcie się, że jesteście schowani. Mogą rozrzucić odłamki w promieniu dwustu metrów.

Sussmann, który nigdy nie był w akcji i zazdrościł skrycie van Burenowi jego wojennego doświadczenia, pokiwał głową.

— Będę o tym pamiętał, towarzyszu. Porucznik Leber zaraz przyjdzie.

— Dobra.

— Coś jeszcze, towarzyszu?

— Tak, przyprowadźcie tu znowu Conlina, zobaczymy, co u niego.

# 13.

W kościele było zimno i wilgotno, czego zresztą należało się spodziewać.

Panował też półmrok, gdyż szyby wąskich okien pomalowane zostały na ciemne, niezbyt przyjemne kolory.

— Dziewiętnasty wiek — stwierdził Hartmann. — Ale te filary są średniowieczne.

Przypomniało to Vaughanowi jego dzieciństwo i przymusowe uczęszczanie z babką w każdy niedzielny wieczór na mszę. Wtedy pachniało w kościele — teraz też pachniało. Nic się nie zmieniło.

W dwóch nawach stały rzędy dębowych ławek, a po lewej stronie była mała ciemna kapliczka z obrazem Matki Boskiej. Hartmann poszedł wzdłuż nawy i uklęknął przed ołtarzem.

W podłodze był kwadratowy otwór z mosiężnymi krawędziami.

— Co to jest? — spytał Vaughan.

— Przypuszczam, że to miejsce po Krzyżu Świętego Michała. — Rozejrzał się po kościele, lekko marszcząc brwi. — Jest tu coś niezwykłego. Zauważył pan, jakie wszystko czyste? — Przejechał palcem po balustradzie. — Nie tylko nie ma kurzu, ale nawet pachnie pastą do czyszczenia.

Poszedł do zakrystii i otworzył drzwi. Nie było tam wiele. Stół, krzesła i kredens, który, jak się okazało, zawierał księgi parafialne oraz duży zapas świec. Następnego odkrycia dokonał Vaughan, bo gdy spróbował otworzyć boczne drzwi, okazały się nie zamknięte i ustąpiły pod naciskiem ręki.

— A co ojciec na to? — zapytał. — Teraz przynajmniej wiemy, jak wchodzi do środka „grupa czyszcząca”.

— Ciekawe, czy nasz przyjaciel sołtys wie o tym. — Hartmann nacisnął włącznik światła — zadziałał. — Widzi pan. Nawet jest prąd, a to więcej niż na plebanii. Zastanawiam się, co to znaczy.

Vaughan zapalił papierosa.

— Pewnie większość mieszkańców wioski, aż pali się do tego, żeby powrócić na łono Matki-Kościola.

— Być może — zgodził się Hartmann. — Niech mi pan powie, czy według pana jest możliwe, żeby bratu Konradowi i jego przyjaciółom udało się to, o czym mówił wczoraj?

— Co, przekopać się w ciągu najbliższych trzech dni? Czemu nie? Czy to ważne? — Nagle Vaughan pojął, w czym rzecz. — Chciałby ojciec więcej czasu, o to chodzi? Żeby naprawdę wgryźć się w sytuację? Cóż, niech sobie ojciec da spokój. Nie

- 123 -

jesteśmy tu, żeby ratować dusze, ale by ratować Conlina.

Hartmann nie odpowiedział, tylko wrócił do kościoła. Vaughan siedział kończąc papierosa, aż nagle, ku swemu całkowitemu zdumieniu, usłyszał muzykę organową.

Początkowo nie mógł dojrzeć jezuitę, ale w końcu dostrzegł go przy organach, schowanego za zasłoną wiszącą nad ławkami chóru. Gdy do niego dołączył, Hartmann eksperymentował, przebierając palcami po klawiaturze i wyciągając jeden rejestr po drugim.

— To też ojciec podłapał w drużynie futbolowej w Notre Dame?

— Nie są za dobre — stwierdził Hartmann. — Ale i nie takie złe. Ostatecznie trudno się spodziewać jakiegoś wspaniałego instrumentu w takiej wsi. W dodatku

od tej całej wilgoci ucierpiał rejestrysty stroikowe.

Zaczął grać *Preludium i Fugę D-dur* Bacha. Był naprawdę dobry. Vaughan usiadł na jednej z ławek, z rękami w kieszeniach i głową odchyłoną do tyłu, i po prostu słuchał. Nie trzeba było być melomanem, żeby ulec tej muzyce. Hartmann grał, pogrążony w jakimś swoim prywatnym świecie, a dźwięki organów wypełniały cały kościół, odbijając się echem od krokwi.

Kiedy skończył, Vaughan powiedział cicho:

— Za to też powinien ojciec zostać najlepszym w Ameryce.

Zakonnik obrócił się na stolku, po raz pierwszy odkąd go Vaughan znał uśmiechając się szeroko, najwyraźniej uradowany. Nagle znieruchomiał, patrząc ponad ramieniem Anglika.

Gdy Vaughan obejrzał się, ujrzał Sigrid Ehrlich siedzącą w pierwszej ławce.

Na głowie miała chustkę, a na ramionach wełniany płaszcz, narzucony w widocznym pośpiechu. Siedziała otulona nim, nie spuszczać z Hartmanna oczu, w których czaił się jakiś lęk.

Zszedł do niej uśmiechając się.

— Fraulein Ehrlich, prawda? Cieszę się, że panią widzę.

— Ojczy... — Jej głos był prawie szeptem.

— Co panią sprowadza? — Usiadł obok niej.

— Usłyszałam organy.

— W gospodzie?

— Tak.

— Musi mi pani wybaczyć. Zapomniałem się. Gwałtownie pochyliła się do przodu.



— Nie, wcale nie. To było wspaniałe. Dawno nie słyszałam czegoś takiego.

Ojciec Honecker też czasami grał, ale byłam wtedy tylko dzieckiem i nie doceniałam takich rzeczy.

— Znała pani ojca Honeckera?

— O, tak.

— Rozumiem — powiedział ostrożnie Hartmann. — Proszę mi powiedzieć, jest pani katoliczką?

Zaczerwieniła się.

- 124 -

— Ja... jestem ochrzczona, ale od śmierci ojca Honeckera nie było tu księdza.

— Tak, wiem o tym. — Na chwilę zapadła cisza. Dziewczyna utkwiała wzrok w swoich dłoniach, złożonych na kolanach. Hartmann powiedział łagodnie: — Kościół jest bardzo zadbany. Czysty, przewietrzony. Pani to robi? — Zerknęła z niepokojem na Vaughana. — Może pani mówić swobodnie. Herr Schaefer nie powie.

— Regularnie co tydzień przychodzi tu kilka starszych kobiet.

— Rozumiem. — Nie uśmiechał się, ale w oczach miał jakieś światło, które rozjaśniło całą jego twarz. — Będę się za was modlił, moje dziecko. Za was wszystkich.

Chciał wstać, ale złapała go za rękaw. Twarz miała napiętą i pełną niepokoju.

— Niech mnie ojciec wyspowiada.

Stał jak sparaliżowany, pobladł i wpatrywał się w nią. Nagle dziewczyna upadła na kolana; a po policzkach poleciały jej łzy.

— Och, ojczy, to już tak długo.

— Oczywiście, moje dziecko. — Podniósł ją i posadził na ławce. — Zaczekaj tu.

Zaraz wrócę.

Poszedł do zakrystii. Vaughan ruszył za nim, ale gdy tam dotarł, po Hartmannie nie było ani śladu. Otworzył boczne drzwi i ujrzał jezuیتę wchodzącego do budynku plebanii.

Usiadł na stole i zapalił papierosa.

— O Boże — wyszeptał — tylko tego mi było jeszcze potrzeba.

Po paru minutach drzwi otworzyły się i wszedł Hartmann z czarną aksamitną torbą.

— Niech mi ojciec nie mówi — odezwał się Vaughan. — Sam zgadnę. Szaty liturgiczne i inne drobne akcesoria.

Hartmann otworzył torbę i zaczął wyjmować z niej różne rzeczy.

— Chyba pan nie myślał, że przyjadę nie przygotowany, majorze. — Włożył komżę i zarzucił na ramiona fioletową stułę.

— Czy byłoby to za dużo, gdybym poprosił ojca o pamiętanie, po co tu jesteśmy?

Hartmann zatrzymał się z ręką na klamce.

— Majorze Vaughan, chcę czy nie chcę, jestem przede wszystkim kapłanem.

I zawsze nim będę. Nie mogę przed tym uciec. To racja mojego istnienia.

— A więc znowu jesteśmy w kanale?

— Skoro pan tak uważa...

Hartmann wyszedł z zakrystii. Vaughan stanął na progu patrząc, jak rozmawia z Sigrid Ehrlich. Po chwili wstała i poszli do konfesjonału.

Vaughan usłyszał przyciszone głosy, a potem łkanie dziewczyny. Poczł nagle,

że nie ma prawa tu być. Zamknąwszy cicho drzwi, wyszedł do ogrodu i zaczął bez celu chodzić tam i z powrotem pod platanami, paląc papierosa.

Minęło dobre pół godziny, zanim Hartmann i dziewczyna pojawili się. Jezuita zdjął już komżę i stułę i znowu był w sutannie i ciemnym kapeluszu. Sigrid

- 125 -

wpatrywała się w niego z przejęciem, gdy do niej mówił.

Podeszli bliżej i Hartmann rzucił wesoło:

— A, tu jesteś, Horst. To miło, że poczekałeś. — Uśmiechnął się do dziewczyny.

— Herr Schaefer jest w pewnym sensie moim stróżem. — Spojrzała na Vaughana z przestachem w oczach, ale Hartmann roześmiał się. — Niech się pani nie martwi.

On nie gryzie. Istnieje między nami, jeśli można to tak określić, stosunek roboczy.

Był w doskonałym nastroju, Vaughan jeszcze nigdy nie widział go tak ożywionego.

— Przypuszczam, że skończył już ojciec...

— Na razie tak. Sigrid pokaże nam Krzyż Świętego Michała nad rzeką.

— To powinno być interesujące.

Hartmann nie zwrócił najmniejszej uwagi na ironię w jego głosie.

— Jak daleko tam jest? Niecałe dwa kilometry? W takim razie możemy pójść na piechotę.

Cała ta sprawa była oczywistym nonsensem, ale Vaughan był w sytuacji przymusowej, z czego Hartmann doskonale zdawał sobie sprawę. Powłókł się więc za nimi, przez plac i dalej główną ulicą, przyciągając zaciekawione spojrzenia tych niewielu wieśniaków, których mijali. Za ostatnim domem droga zaczęła opadać pomiędzy dwoma rzędami świerków ku Elbie — widok był naprawdę piękny.

W jakimś momencie dziewczyna roześmiała się i Vaughan usłyszał słowa

Hartmanna:

— Ale przecież nie ma prawa zabraniającego księżom tu przyjeżdżać.

Na pewno musieli was odwiedzać w ciągu ostatnich pięciu lat, może z sąsiednich wsi?

— Z legitymacjami partyjnymi w kieszeni — powiedziała z pogardą. — Oni tylko wyglądali jak księża.

Droga skręciła w prawo i prowadziła dalej wzdłuż rzeki. Po lewej stronie ujrzeli zarośniętą ścieżkę prowadzącą do zagajnika — stał w nim duży krzyż z czarnego ciężkiego drewna dębowego. Postać ukrzyżowanego Chrystusa również wyrzeźbiono w dębie. Była to z pewnością wiejska robota, pozbawiona większej wartości artystycznej, figura miała jednak w sobie pewne dostojęństwo. Osadzona w ziemi podstawa obrosła gęstą trawą.

Hartmann z uwagą przypatrywał się krzyżowi.

— I ojciec Honecker sam próbował to unieść? — spytał.

— Musiał być szalony — zauważył Vaughan.

— Nie. Myślę, że był zdesperowany.

— Umarł tutaj — powiedziała Sigrid. — Umarł w tym miejscu, próbując to podnieść.

Hartmann schylił głowę w modlitwie. Vaughan wziął dziewczynę za łokieć i odciągnął kawałek. Wezbrana, brązowa Elba rwała do przodu. Vaughan wyjął papierosy.

— Używasz tych rzeczy?

— Nie — odparła.

— Tym lepiej dla ciebie. — Włożył jednego do ust i zapalił.

— Mój ojciec mówi, że jest pan policjantem.

— Można to tak określić.

— Dlaczego zawsze pan jest z ojcem Hartmannem?

— O, on potrzebuje opieki, nie uważasz?

— To dobry człowiek — powiedziała. — Wspaniały człowiek. — Odwróciła się spoglądając na stojącego pod krzyżem jezuitę.

Wiatr przyniósł im jego głos, silny i dźwięczny:

— *Requiem aeternam dona eis, Domine, et lux perpetuus luceat eis...*

Odmawiał modlitwę za zmarłych.

W drodze powrotnej Vaughan zainteresował się katolickim cmentarzem, toteż dziewczyna zaprowadziła ich tam. Był niespodziewanie dobrze zadbany: trawa przycięta, niektóre nowsze groby przystrojone kwiatami. Vaughan wiedział, że tunel ciągnie się od ściany stodoły po północno-wschodni róg cmentarza, ale na powierzchni wszystko wyglądało normalnie. Gdyby jednak któreś z nich się nagle zapadło, byłoby niedobrze. Konsekwencje mogłyby się okazać fatalne.

Odwrócił się i wyszedł na ulicę za Hartmannem i dziewczyną, którzy skierowali się do kościoła. Na ganku gospody stał sołtys; widząc ich zszedł po schodach i ruszył w ich stronę.

— Sigrid, chodź tu natychmiast, jesteś potrzebna.

Spojrzała niepewnie na zakonnika. Hartmann ledwie dostrzegalnie skinął głową. Dziewczyna minęła ojca i zniknęła w gospodzie.

— Niech pan się nie złości na córkę, Herr Ehrlich — powiedział Hartmann. —

Była tak miła, że pokazała mi parę miejsc, które chciałem zobaczyć.

Ehrlich podszedł bliżej, a gdy się odezwał, głos miał stłumiony i pełen gniewu:

— Była w kościele, myślicie, że o tym nie wiem? Nie chcę, żeby znowu tam szła.

Nie życzę sobie, żeby wplątywała się w takie rzeczy. W świecie, w którym dziś żyjemy, ojciec, to zbyt niebezpieczne.

— To zawsze było niebezpieczne, przyjacielu — odparł Hartmann. — Ale jako sołtys i sekretarz partii będzie pan z pewnością ostatnią osobą, która by przeciwstawiała się konstytucyjnym prawom jednostki dotyczącym religii...

— Idźcie do diabła! — rzucił Ehrlich i w pośpiechu wrócił do gospody.

— O co ojcu chodzi? — spytał Vaughan, gdy wchodzili po stopniach kościoła.

— Czego ojciec próbuje dowieść?

— Mam tu podobno odwracać uwagę, prawda? Sądziłem, że świetnie sobie z tym radzę. — Hartmann wszedł na ganek i stanął w miejscu wstrzymując oddech.

Wszędzie były kwiaty. W kaplicy Marii, na ołtarzu i w wielu innych miejscach.

Przy tabernakulum paliła się czerwona lampka. Hartmann przeszedł wolno między ławkami i stanął przed stopniami głównego ołtarza. Były nawet nowe świece, ułożone obok puszek na ofiary.

— Cóż, widać z tego wyraźnie, że Sigrid nie jest sama. — Wziął do ręki jedną świecę i wstawił do świecznika. — Proszę ją zapalić.

Vaughan przyłożył zapalną do knota. Gdy świeca zapłonęła, Hartmann

- 127 -

odwrócił się do niego z uśmiechem.

— Świętemu Judzie, patronowi niemożliwego.

Conlin był zmęczony i zubożniały, z braku snu bolały go oczy. Gdy je

zamykał, wciąż widział rozrywaną przez pocisk czaszkę Karla, a od czasu do czasu wydawało mu się też, że słyszy jego głos błagający go o spowiedź.

W warunkach ogromnego napięcia takie halucynacje zdarzały się bardzo często, a jego stan psychiczny nie był w tej chwili dobry. Tyle mówiło mu doświadczenie i logika, co jednak wcale nie pomagało mu zasnąć, nie umożliwiało zamknięcia palących powiek.

Zwymiotował do wiadra i strażnik zajrzał przez okienko, by zobaczyć, co się dzieje. Conlin siedział na łóżku i czuł się rzeczywiście bardzo chory. W końcu usłyszał zbliżające się kroki, drzwi otworzyły się i stanął w nich van Buren. Była z nim porucznik Leber w swoim białym fartuchu i z lekarską torbą w ręce. Conlin uświadomił sobie nagle, że nigdy nie słyszał jej mówiącej.

— Jesteś chory? — spytał van Buren.

— Nic mi nie jest — odparł słabym głosem zakonnik. — Kilka razy wymiotowałem i nie mogę spać, to wszystko.

— Spróbujemy coś z tym zrobić — powiedział troskliwie van Buren i odwrócił się do kobiety. — Zrób mu zastrzyk.

Conlin nie protestował, nie miałyby to sensu. Wyjęła strzykawkę i dała mu zastrzyk w prawe ramię. Bolało mocno, bo na kościach nie było już zbyt dużo ciała, nie dbał jednak o to zupełnie. Gdy wycierała mu później skórę, czuł jej palce — były bardzo miękkie i gładkie.

— Teraz cię zostawimy — oznajmił van Buren. — Spróbuj dobrze przespać noc.

Rano potrzebuję cię świeżego.

— Co ona mi dała? — spytał Conlin, który zaczynał już czuć ociężałość, pulsującą mu w żyłach.

— Coś dobrego, wierz mi.

Drzwi zatrzasnęły się. Echo wydawało się rozbrzmiewać bardzo długo, potem zapadła cisza.

Leżał na łóżku. Nie było ciemno — wszystko jaśniało białym, rozproszonym światłem, dosyć przyjemnym. Było też ciepło, a przez długi czas przedtem wydawało mu się, że marznie.

Nagle zdał sobie sprawę z jakiegoś ruchu i, odwróciwszy głowę, ujrzał porucznik Leber stojącą po drugiej stronie celi. Ubrana była w mundur Vopo — bluzę, spódnicę i wysokie skórzane buty. Kiedy zaczęła rozpinać guziki, jej twarz nie wyrażała.

Pod spodem miała białą bawełnianą bluzkę. Gdy przyłożyła ręce do bioder, bluzka naprężyła się i na czubkach piersi zakwitły sutki, doskonale widoczne przez cienki materiał.

Podeszła do łóżka i pochyliwszy się dotknęła Conlina. Spróbował ją odepchnąć, ale zupełnie nie miał siły, jego ramiona poruszały się jakby w zwolnionym tempie.

Kiedy się odezwała, jej głos był odległy i zniekształcony:

- 128 -

— Nie ma się czego bać. Nie ma się czego wstydzić. Rozsunęła zamek z boku spódnicy i ściągnęła ją z siebie.

Potem usiadła na skraju łóżka i rozpięła bluzkę. Jej piersi były pełne, okrągłe i bardzo piękne. Gdy pochyliła się nad nim, wybuchnął niekontrolowanym, bezradnym śmiechem, cały czas mocno zaciskając oczy. Kiedy je po chwili otworzył, już jej nie było.

Van Buren stał z kieliszkiem koniaku w ręce przy kominku, wpatrując się



w ogień, gdy ktoś zapukał i weszła Ruth Leber. Ubrana była w pełny mundur,

łącznie z płaszczem, rozpiętym na przedzie. Jedyнным obcym elementem była mała saszetka, którą trzymała w ręce.

— Zostawiłam parę rzeczy w łazience — powiedziała. — Mogę je wziąć?

— Nie krępuj się.

Zapalił papierosa. Wracając przystanąła i popatrzyła na niego, jakby na coś czekając.

— Jesteś pewien, że chcesz, bym wyjechała?

— Nie masz po co zostawać, nieprawdaż?

— Tak sędę.

— Możesz wziąć mercedesa.

Zatrzymała się z ręką na klamce.

— Czy uda ci się jakoś z tego wydostać, Harry?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— A dlaczego miałbym chcieć się wydostać?

— Ile razy z tobą pracowałam? Ilu było takich opornych? Piętnastu, dwudziestu?

— No i..?

— Ten człowiek jest inny. Nie jest taki, jak tamci.

— Dlaczego? Bo ma Boga po swojej stronie?

— Być może.

Uśmiechnął się zimno.

— Uważaj, aniele. Gdyby Klein usłyszał, że mówisz takie rzeczy...

— Do widzenia, Harry.

Drzwi zamknęły się za nią cicho.

Siedział lekko oszołomiony przed biurkiem van Burena, z kocem zarzuconym na ramiona. W ustach miał sucho — najwyraźniej następstwo narkotyku — i łapczywie popijał kawę, którą dostał. Po chwili wszedł Amerykanin i usiadł z drugiej strony biurka.

— Jak się czujesz?

— Okropnie. Przykro mi, ale to z powodu tego twojego narkotyku, czy cokolwiek to było.

— Będziemy musieli wrócić do pracowni i spróbować jeszcze raz.

— Ta biedna dziewczyna... — Conlin potrząsnął głową. — Co ona niby miała zrobić? Dowieść, że jestem takim samym grzesznikiem jak każdy inny? Już to wiem. Pobudzić mój drzemiący seksualizm? Wywołać erekcję? — Ponownie pokręcił

- 129 -

głową. — Są momenty, Harry, w których naprawdę żał mi ciebie. Czy nigdy nawet nie przyszło ci na myśl, że Wszechmogący mógłby uznać reakcje naszego ciała za absolutnie uzasadnioną reakcję chemiczną?

Van Buren uśmiechnął się mimo woli.

— Tu może i masz rację.

— Na pewno. Człowiek w tym samym stopniu powoduje się instynktem, co rozumem. Nawet ten stary oszust Sigmund Freud przyznawał, że czasami cygareto jest tylko cygaretem.

— Uważaj — powiedział van Buren. — Więcej takiej kazuistyki, a zostawisz mi tylko jedno wyjście.

— To, które dałeś Karlowi? Ależ ja nie boję się śmierci, Harry. Może to jest

właśnie różnica między nami. Traci się przytomność — śpi. Późniejszy rozkład ciała to już inna sprawa. Nie bierze się w tym udziału. Umieramy od dnia, w którym przyszliśmy na świat.

— Tyle że niektórzy z nas odchodzą dużo wcześniej niż inni — zauważył van Buren. — Frances Mary na przykład.

Było kilka minut po ósmej, gdy Vaughan wszedł do gospody. Przy najlepszym stoliku — tym obok kominka — siedzieli van Buren z Sussmannem, pogrążeni w rozmowie. Becker siedział sam przy mniejszym stole, najwyraźniej wyłączony i wcale tym nie zachwycony. Spojrzał spode łba na Vaughana, który zignorował go i podszedł do kontuaru.

Ehrlich oficjalnie skinął głową.

— Co dla pana?

— Może być piwo. A co pan ma do jedzenia?

— Kartoflankę, zimną kiełbasę, kapustę kiszoną. nie mam nic innego.

— Zupełnie wystarczy.

Kiedy Ehrlich podał mu piwo, van Buren zawołał:

— A gdzie to dzisiaj jest Ojciec Święty?

Jeśli spodziewał się wywołać śmiech u wieśniaków, przeliczył się mocno. Cisza, która po tym nastąpiła, wyrażała tylko dezaprobatę.

Vaughan podszedł do stolika Amerykanina.

— Szuka wiernych. Jest jak wędrowny sprzedawca, który chodzi od drzwi do drzwi z nadzieją, że ktoś coś kupi.

— Nie powinniście być z nim? — spytał Sussmann.

Pozycja Schaefera w SSD odpowiadała stopniowi porucznika w Volkspolizei,

więc Vaughan nie widział żadnej potrzeby, by być grzecznym dla Sussmanna.

— Mam rozkaz trzymać go pod obserwacją i cały czas wiedzieć, gdzie jest. Jeśli o mnie chodzi, to wiem.

Skinął głową van Burenowi i odszedł, by usiąść przy innym stoliku. Becker spojrział na niego jeszcze groźniej. Z kuchni wyszła Sigrid, niosąc na tacy zupeę, czarny chleb i odkorkowaną już butelkę reńskiego wina.

— Gdzie twój ojciec? — spytał Vaughan.

— W kuchni. Uważa, że jest lepszym kucharzem niż ja.

- 130 -

W swojej prostej, chłopskiej spódnicy wyglądała naprawdę ślicznie.

Kiedy wracała za ladę, Becker złapał ją za rękę i pociągnął sobie na kolana.

Zachowywał się jak pijany podniecony żołdak, ale Vaughan wiedział, że Becker miał w sobie zbyt wiele z bezwzględnego brutala, by mogło to być tak proste.

Dziewczyna zaczęła się wrywać, ale Becker tylko się roześmiał, jedną ręką pieszcząc jej pierś, a drugą wsuwając pod spódnicę. Skręciła się cała, z oczami pełnymi łez poniżenia, a Becker znowu zaśmiał się ordynarnie.

— Podoba ci się to, co?

Vaughan rzucił okiem na wieśniaków. Żaden z nich nawet nie drgnął. Są śmiertelnie przerażeni, pomyślał, i odwrócił się do van Burena i Sussmanna. Kapitan Vopo wyglądał zupełnie beztrosko, a van Buren dolał sobie właśnie wina i dorzucił drewna do ognia w kominku. Na twarzy Beckera była już tylko lubieźność.

Dziewczyna jęczała z bólu. Miarka przebrała się.

— Puść ją — rzucił Vaughan.

Becker gwałtownie odwrócił głowę.

— O co chodzi?

— Powiedziałem, puść ją. Ona jeszcze nie wie, coś ty za jeden, prawda?

Van Buren zainteresował się teraz sytuacją, bacznie przyglądając się wszystkiemu znad swoich okularów. Becker odepchnął dziewczynę i wstał, a następnie przesadnie wolnym krokiem podszedł do stolika Vaughana i oparł się na nim obiema rękami.

— Wiesz, co ci zrobię...?

Vaughan nalewał sobie właśnie wina do kieliszka. Niemal przypadkowym z pozoru ruchem zmienił uchwyt i roztrzaskał butelkę na głowie Beckera. Sigrid krzyknęła, a Vopo zatoczył się i upadł na kolano.

Vaughan podniósł krzesło i walnął nim w potężne ramiona Beckera. Vopo charknął i zaczął tracić równowagę. Vaughan uderzył jeszcze raz, odrzucił resztki krzesła na bok i cofnął się.

Powoli i z widocznym bólem Becker złapał się krawędzi stołu i podciągnął się. Zastygł tak na chwilę, po czym odwrócił się do Vaughana, niedbale ścierając krew z twarzy. Nagle zaatakował z pochyloną głową i wyciągniętymi rękami. Vaughan wyczekał na odpowiedni moment, zrobił unik i walnął go pięścią w nerki. Becker wrzasnął i z jękiem zwałił się na plecy.

Sigrid była bardzo blada i drżała. Ehrlich, który wyszedł przedtem z kuchni, wciągnął ją za kontuar. Sussmann podszedł i uklęknął przy Beckerze. Widać było, że jest wściekły. Spojrzał na Vaughana.

— To poważna sprawa...

Van Buren włożył płaszcz, uśmiechając się pogodnie.

— Nonsens. Dostał to, o co prosił. Zobaczcie lepiej, czy uda się wam pozbierać

go z powrotem do kupy, podczas gdy ja zamienię słówko z naszym dzielnym towarzyszem.

Vaughan wyszedł za nim na zewnątrz. Van Buren przystanął na szczycie schodów, by zapalić papierosa.

- 131 -

— Bardzo dobrze, jak na człowieka Sekcji Szóstej. Nie wiedziałem, że aż tak wspaniale was szkolą.

— Robimy, co możemy — powiedział ostrożnie Vaughan.

— A ojciec Hartmann? Zachowuje się jak trzeba? Nie próbuje czasem napakować ich tam do środka?

— O ile wiem, to nie.

Van Buren ruszył przez plac, toteż Vaughan poszedł za nim. Amerykanin pchnął główne drzwi i weszli do kościoła. W wielu miejscach paliły się świece, a pół tuzina kobiet i trzech mężczyzn siedziało rzędem obok konfesjonału, czekając na swoją kolej.

— Co powiecie na to? — odezwał się van Buren. — To bardzo niegrzecznie, uważam.

— Wiem. Karol Marks miał rację. Opium dla mas. Zupełnie jak papierosy. Jedno zaciągnięcie się, i znowu jesteś uzależniony.

— Tak, to dobre. Pamiętam to. — Van Buren postawił kołnierz płaszcza. —

Tyle, i nic więcej. Powiedźcie to Hartmannowi ode mnie. — Po czym odwrócił się i wyszedł.

Vaughan poczekał chwilę, ale było jasne, że ksiądz będzie jeszcze jakiś czas zajęty. Trzeba było zajrzeć na farmę. Wyszedł, szybko przeszedł przez plac i zniknął

w mroku po drugiej stronie.

Do środka wpuścił go brat Urban, a gdy szedł dziedzińcem, zza drzwi stodoły wyjrzał Konrad.

— O, to pan. Co z Hartmannem?

— Dogląda bożych spraw — powiedział Vaughan. — Chyba stwierdził, że Neustadt go potrzebuje.

— Może ma rację, majorze. — W jego głosie był tylko lekki wyrzut.

Weszli do środka. Gregor robił jakieś pomiary na rozłożonym na stole planie.

Stała przy nim Margaret, rozlewając kawę do kubków. Był też Berg, który z papierosem w ustach zaglądał Gregorowi przez ramię.

Z drugiego pomieszczenia wyszedł rozebrany do pasa Augustin pchający taczkę. Nie miał już bandaża na twarzy i Vaughan nagle zdał sobie sprawę, że okropny, przenikający wszystko odór zniknął.

— Zdecydowanie bardziej świeżo, niż gdy byłem tu po raz ostatni.

Konrad skinął głową.

— Pod tym względem sytuacja ogromnie się poprawiła. Poczyniliśmy prawdziwe postępy. O wiele większe, niż ktokolwiek z nas mógł się spodziewać.

— Gdzie są pozostali?

— Franz i Florian pracują na przodku, jak to teraz nazywamy.

Podczas gdy mówił, Vaughan patrzył na dziewczynę. Margaret ani razu nie spojrzała na niego. Na włosach miała chustkę i ze swoimi wielkimi, zapadniętymi oczami wyglądała bardzo młodo.

Wziął się w garść i zwrócił się do Berga:

— Jak wyglądają sprawy w zamku?

— Nie za dobrze. Ten kierowca ciężarówki, Karl... pamięta go pan?

— Co z nim?

— Zabili go. Przywiązali do słupa na dziedzińcu zastrzelili. Widziałem wszystko z okna.

— Kiedy to było?

— Dzisiaj wczesnie rano... o świcie. Było jeszcze cakiem ciemno, ale udało mi się zobaczyć wystarczająco dużo.

— A ojciec Conlin?

— Też tam był. Kazali mu patrzeć. Ale gdy wychodziłem pod wieczór, był z powrotem na trzecim poziomie.

— Coś jeszcze?

— Chyba nie. A, tak. Ta kobieta... ta porucznik Vopo...

— No?

— Wyjechała dziś wieczorem do Berlina.

— Piętnaście metrów, według mojego rozeznania — odezwał się Gregor. — Jesteśmy prawie na granicy cmentarza. Kanał ściekowy jest niecałe dwa metry po drugiej stronie.

— Moglibyśmy skończyć do jutra po południu — stwierdził Konrad.

— Z łatwością. Może nawet wcześniej.

— Jesteście pewni? — spytał Vaughan.

— Nie widzę przeszkód. Jest wprawdzie jeszcze kwestia przebicia się do kanału, ale to nie powinno nastręczać żadnych trudności — powiedział Gregor.

— Co oznacza, że moglibyśmy spróbować wyciągnąć Conlina jutro w nocy —



podsumował Konrad. — Chyba że uważa pan, iż to z jakiegoś powodu za wcześnie.

— Na Boga, nie. — Vaughan potrząsnął głową. — Im wcześniej, tym lepiej. Nie wiadomo, czego van Buren może spróbować z Conlinem następnego dnia. Zbyt silnego narkotyku na przykład... — Zwrócił się do Berga: — Jutro znowu zejdziesz na dół z tą swoją trutką na szczury i zdejmiesz kłódkę z pokrywy włazu.

— Dobrze — powiedział Berg. — Ale o której to się zacznie? Kiedy się zwijamy?

— Z oczywistych powodów musi to nastąpić dopiero po zapadnięciu zmroku. Moim zdaniem dziewiąta byłaby w sam raz.

— O szóstej niech pan przyjedzie z paroma bańkami na mleko — odezwał się Konrad. — Wtedy przekażę panu ostatnie szczegóły.

Berg skinął głową.

— Świetnie. To ja już pójdę.

Gdy wyszedł, Konrad zaczął znowu studiować plan razem z Gregorem, a Margaret bez słowa wręczyła Vaughanowi kubek kawy. Podeszli do uchylonych drzwi. Na zewnątrz padał lekki deszcz.

— Wyglądasz na zmęczoną — powiedział.

— Wszyscy są zmęczeni. Tak wiele pracy musi być wykonane nocą, a trzeba jeszcze zachowywać pozory. Codziennie rozwozić po wsi mleko i jajka... wyprowadzać krowy na pastwisko, i tak dalej. Musi być widać, że to jest robione,

- 133 -

inaczej ktoś mógłby się zacząć zastanawiać, co się dzieje.

— Jak twoja noga?

— Daje sobie bardzo dobrze radę. — Ich ramiona spotkały się, i dziewczyna

oparła się na nim. — Już niedługo, Simon.

— Niedługo.

— A co potem?

— Będziesz mogła wrócić do domu.

— A gdzie on niby jest? — W jej głosie była gorycz, jakiej nigdy przedtem u niej nie słyszał. — Skoro się pan dowie, proszę mi dać znać, majorze. I nagle poczuł, że musi to powiedzieć — dla niej, nie dla siebie.

— Musisz zacząć od nowa, Maggie. W porządku, miałaś do tej pory piekło, nie życie, ale wiedza, jaką z tego wynosisz, ma ograniczoną wartość. Ustawia twoje myślenie według wzoru zbudowanego tylko na tamtych doświadczeniach, a to niedobrze.

— Więc co mam robić?

— Przede wszystkim wykonywać swój zawód. Jesteś lekarzem, prawda?

Pascoe na pewno znalazłby ci coś w Anglii lub Ameryce. Albo mogłabyś zostać w RFN.

— A ty? — Ciemne oczy były baczne, jakby ktoś z ich środka patrzył na niego.

Przypomniał sobie, co Meyer mówił mu o snajperze na dachu, i spróbował jeszcze raz:

— Bóg jeden wie. Coś się wykombinuje. Zawsze jest robota dla takich jak ja.

— A ty jaki jesteś? Jak widzisz sam siebie...?

— Stare przysłowie chińskie mówi, że zawsze musi być jakiś urzędowy kat.

Jeśli będziesz próbowała zająć jego miejsce, to tak, jakbyś próbowała być mistrzem stolarskim i cięła drewno. Tylko się skaleczysz.

— I co to ma oznaczać?

— To, że musisz dać temu wszystkiemu spokój, Maggie. Pozwól mi odejść.

— Nie — powiedziała krótko. — Co nie znaczy, że pochwalam ciebie czy to, jak żyjesz albo co robiłeś w przeszłości. To po prostu znaczy, że cię kocham.

Jej ręka leżała na jego ramieniu, oczy były pogodne i spokojne. Wpatrywał się w nią, czując rozpacz. Nagle z tunelu za nimi doszedł ich najbardziej przeraźliwy krzyk, jaki w życiu słyszał.

Franz odwracał się właśnie, by wziąć od Floriana arkusz falistej blachy, gdy to się stało. Na głowę posypało mu się trochę ziemi. Zerknął w górę.

Florian cofnął się na czworakach.

— Ostrożnie, chyba się wali.

Ziemia wybrzuszyła się i ukazała się butwiejąca trumna. Jej koniec odłamał się i na zewnątrz wystawały dwie rozkładające się stopy bez palców. Smród był przerażający. Franz krzyknął z przerażenia i próbował się wycofać. Kiedy się ruszył, cała trumna zleciała na dół, rozpadając się przy tym i ukazując to, co zostało z leżącego w niej ciała.

Vaughan i Gregor przemknęli ciemnym cmentarzem i przycupnęli pod murem.

- 134 -

— To powinno być tutaj — szepnął Gregor. Vaughan zapalił latarkę.

Znajdowali się przed stosunkowo świeżym grobem jakiegoś starego mężczyzny, który zmarł przed dziesięcioma miesiącami. Grób był bardziej ozdobny niż inne — marmurowa płyta otoczona balustradką.

— To ten?

Gregor skinął głową.

— Na pewno. Dzięki Bogu za tę płytę. Bez niej musielibyśmy się tłumaczyć

z cholernie wielkiej dziury.

Szybko wrócili na farmę. Znowu panował ten sam smród co poprzednio, tyle że jeszcze intensywniejszy. Konrad i Augustin mieli obandażowane twarze. Przed Margaret stała na stole otwarta apteczka. Napełniała właśnie strzykawkę.

— Wszyscy dostaną zastrzyk, łącznie z panem, majorze. Jako środek zapobiegawczy. Możliwość infekcji jest ogromna.

— Gdzie są Franz i Florian? — spytał Vaughan. — Chyba już stamtąd wyszli?

— Ależ oczywiście — odparł Konrad. — Trzeba to wynieść, zanim będziemy mogli przebić się do końca.

Na dole coś się poruszyło i ukazał się Florian ciągnący długi toból. Franz pchał z drugiej strony. Konrad zeskoczył, by im pomóc, i razem z trudem wyciągnęli toból po pochylni. Pomimo płachty śmierdziało potwornie.

— Trzymajcie się z daleka — rzucił Konrad.

Przeszli do drugiego pomieszczenia. Kiedy Vaughan wszedł tam za nimi, zobaczył jak wrzucają ciało do studni. Następnie Konrad wsypał worek wapna, a Florian całą taczkę ziemi.

Kiedy wrócili, Margaret czekała, by dać każdemu zastrzyk. Franz oddychał ciężko, wzrok miał błędny i cuchnął okropnie.

— Idź się lepiej wykąp, Franz — powiedział Konrad. — My tu porobimy dalej.

— Wykąpać się? — Franz rzucił mu spojrzenie pełne wściekłości. — Myśli brat, że mogę to zmyć z siebie za pomocą wody i mydła? T o będzie ze mną aż po dzień mojej śmierci.

Wybiegł ze stodoły. W ciszy, która po tym nastąpiła, Konrad wziął do ręki łopatę.

— Ostatnie okrażenie, przyjaciele — powiedział. — Ruszajmy więc. — To mówiąc zszedł po pochylni i na czworakach wczołgał się w tunel.

Hartmann siedział przy stole w zakrystii czytając *Miasto Boga świętego*

Augustyna. Było bardzo cicho, toteż od razu usłyszał leciutkie pukanie do drzwi.

Po sekundzie otworzyły się i do środka zajrzała Sigrid.

— Możemy wejść, ojcze?

Ku swemu zdumieniu zauważył, że jest z nią ojciec. Georg Ehrlich czuł się najwyraźniej bardzo nieswojo.

— W czym rzecz? — spytał Hartmann. — Co mogę dla was zrobić?

— Mów, tato — ponagliła dziewczyna.

— Chodzi o moją ciotkę — zaczął sołtys. — Jest bardzo stara. Ma osiemdziesiąt dwa lata.

- 135 -

— Tak?

— Jest umierająca, ojcze — powiedziała po prostu Sigrid. — I od dawna nie widziała księdza.

— Już idę — rzucił Hartmann. — Czy to daleko?

— Na skraju wioski.

Jezuita otworzył swoją torbę i przetrząsał ją w pośpiechu. Z cyborium wyjął hostię i umieścił ją w srebrnej puszce, którą zawiesił sobie na szyi. Wyciągnął też mały srebrny flakonik z olejami świętymi. W końcu zarzucił na ramiona stulę i wziął do ręki mszał.

— Jestem gotów.

W otwartych drzwiach stanął Vaughan. Sołtys bardzo się zmieszał.

— Co tu się dzieje? — spytał Vaughan.

— Ciotka pana Ehrlicha jest umierająca, Horst. Potrzebuje mnie. Możesz iść z nami, jak chcesz, ale nie mamy czasu na dyskusje.

Wziął Sigrid za ramię i wybiegł z zakrystii.

— Mam wszędzie za nim chodzić, wiecie o tym? — odezwał się Vaughan do Ehrlicha. — Nie tylko w dzień... Ucieszę się, jak przeniosą mnie do innej roboty.

Wyszedł. Sołtys pośpieszył za nim.

— Moja ciotka to stara kobieta, a starym ludziom trzeba ustępować. Ale byłoby dla mnie bardzo kłopotliwe, gdyby to wyszło na jaw, towarzyszu. Wiecie, co mam na myśli?

Vaughan podniósł kołnierz dla ochrony przed deszczem.

— Tak — stwierdził kwaśno. — Doskonale wiem, co macie na myśli.

Sypialnia była na parterze, a drzwi na wpół otwarte. Vaughan wyraźnie widział staruszkę podpartą poduszkami. Hartmann odprawiał mszę, a ona ze złożonymi rękami powtarzała za nim słowa modlitwy. Kiedy włożył jej w usta opłatek, rozpłakała się. Jezuita chwycił ją za rękę.

— *Ite, missa est.*

— *Deo gratias* — odpowiedziała przez łzy.

Sigrid również płakała.

Kiedy wracali do kościoła, Vaughan szczegółowo opowiedział, co się wydarzyło na Domowej Farmie.

Hartmann nie nawiązał jednak do tych wydarzeń, tylko stwierdził:

— A więc moglibyście być gotowi do wyciągnięcia ojca Conlina już jutro w nocy? To dużo wcześniej, niż się spodziewałem.

— Jak my wszyscy. Ale powiedział to ojciec tak, jakby mu było przykro z tego powodu.

— Jest tu sporo pracy. Wiele prawdziwych potrzeb do zaspokojenia. —

Uśmiechnął się. — Pamięta pan, co powiedziałem w Berlinie? Zawsze jest się przede wszystkim kapłanem. Zawsze.

Weszli po stopniach kościoła i otworzyli drzwi. W jednej z tylnych ławek siedzieli kobieta i mężczyzna z trójką dzieci. Natychmiast wstali i matka pchnęła dzieci do przodu. Najstarsze nie wyglądało na więcej niż siedem lat.

- 136 -

— Proszę ojca — odezwała się. — Chciałabym, żeby je ojciec ochrzcił.

Jej mąż stał obok niej z niespokojną twarzą, mnąc w rękę czapkę. Oprócz nich

Vaughan dostrzegł kilka innych osób stojących przed konfesjonałem.

— Przecież już druga w nocy — powiedział.

Erich Hartmann uśmiechnął się.

— Widzisz, przyjacielu. Wiesz teraz, o co mi chodzi.

- 137 -

# 14.

Franciszkanie pracowali wytrwale przez całą noc. Dochodziła właśnie piąta rano, gdy łopata Franza stuknęła o coś twardego.

— Chyba jesteśmy u mety — odezwał się do Gregora.

Energicznie ponowił atak, odrzucił ziemię i łukowaty blok wielkiego betonowego kanału zaczął nabierać kształtów.

— Zaraz wracam — rzucił podnieconym głosem Gregor i wyczołgał się z wykopu.

Franz kopał dalej, ładując ziemię na wózek, aż ściana kanału była zupełnie czysta. Po chwili Gregor wrócił z Konradem. Przynieśli młot kowalski i kilka stalowych łomów.

— Dajcie mi to i odsuńcie się — polecił Franz.

Wziął młot do ręki i, gdy odciągnęli wózek, zamachnął się z całej siły i walnął w ścianę. Rozległ się głuchy grzmot, ale beton ani drgnął. Spróbował jeszcze raz, trochę niezgrabnie, gdyż z powodu ciasnoty mógł brać rozmach tylko z boku.

Gregor podczołgał się do niego.

— Spróbuj tutaj — poradził.

Było tam złącze — jeden krąg scementowany z drugim. Gregor przystawił do niego ostry koniec łomu i położył się, chyląc głowę.

Franz zamachnął się ponownie, trafiając dokładnie w główkę łomu, który od razu wszedł w ścianę. Chrząknął z wysiłkiem, uderzając jeszcze raz z całej siły

— na betonie pojawiło się pęknięcie, potem następne.

— Miałem nadzieję, że tak będzie — mruknął Gregor. — To beton sprężony.

Tym razem Franz uderzył w ścianę i duży kawał wpadł do środka. Od razu



dmuchnęło zimne powietrze, omiatając cały tunel. Franz walił raz za razem, a Gregor pracował poniżej łomem i po paru minutach zrobili dziurę na tyle dużą, że można było przejść.

Z kuchennego okna plebanii Vaughan widział Berga stojącego przed gospodą przy swojej ciężarówce i rozmawiającego z Ehrlichem. Od strony Domowej Farmy pojawił się wózek z mlekiem. Ku swemu zdziwieniu ujrzał, że popycha go brat Konrad.

— To ciekawe — powiedział Vaughan do Hartmanna, który smażył właśnie jajka. — Dzisiaj sam Konrad robi rundkę z mlekiem. Chyba zobaczę, co jest grane.

Wziął jakiś dzbanek i wyszedł. Gdy zbliżał się do gospody, Konrad pomagał Bergowi wsadzić na tył ciężarówki kilka baniek. Ehrlich stał i patrzył.

— Dzień dobry, towarzyszu — rzucił Vaughan.

- 138 -

Sołtys wymamrotał jakąś odpowiedź i wszedł do środka. Vaughan podsunął Konradowi dzbanek do napełnienia.

— O piątej przebiliśmy się — oznajmił zakonnik.

— I jak to wygląda?

— Świetnie. Razem z Gregorem i Franzem przeszedłem całą długość kanału aż do wyjścia. Pokrywa wjazdu jest oczywiście zamknięta.

— Zejdiesz tam, gdy tylko będziesz mógł, i zdejmiesz kłódkę — powiedział

Vaughan do Berga. — Wieczorem, możliwie jak najpóźniej, chcę, żebyś przyszedł na farmę z informacjami o tym, co się dzieje na górze. Powiedzmy o siódmej.

— Dobrze. — Berg wsiadł do samochodu i odjechał.

— A co ja mam zrobić? — zapytał Konrad podnosząc dyszel wózka.

— Kiedy tylko brat wróci, proszę włączyć nadajnik — powiedział Vaughan. —

To postawi w stan pogotowia tych na Bitterfeld.

Franciszkanin odszedł, a Vaughan wrócił na plebanię.

— Jakie wiadomości? — spytał Hartmann podsuwając mu talerz z dwoma sadzonymi jajkami i kromką czarnego chleba.

— Przebili się.

— A więc... to dzisiaj.

Vaughan spróbował jajek stwierdził, że są całkiem możliwe.

— Nawiasem mówiąc, powinien być ojciec na farmie nie później niż o dziewiątej.

— Dlaczego?

— Żeby być gotowym do wyjazdu razem z innymi.

— Nie było między nami takich uzgodnień.

— Na Boga, człowieku, nie możesz tu zostać. Nie możesz zostać nigdzie w NRD. Pięć minut po tym, jak zobaczą, że Conlin zniknął, dodadzą dwa do dwóch i zrobią z tego pięć, jeśli o ciebie chodzi. Nie masz wyboru. Musisz wyjechać z innymi, póki jeszcze możesz.

— Tak, chyba masz rację — powiedział Hartmann. — Nie przyszło mi to do głowy.

Nagle stracił apetyt. Odsunął od siebie talerz i siedział w milczeniu.

Berg zdjął kłódkę z pokrywy i wrzucił ją sobie do kieszeni, po czym podniósł lampę i zaczął sprawdzać, jak podziałała jego trutka. Dookoła leżało sporo martwych szczurów — wziął kilka i, trzymając je za ogony, wrócił na górę.

Gdy mijał Vopo stojącego pod celą Conlina, podniósł swój łup wyżej.

— Sześć za jednym zamachem, tak jak u tego krawca w bajce.

Młody Vopo wzdrygnął się.

— Parszywce. Nie cierpię ich.

Berg roześmiał się i poszedł dalej do miejsca, gdzie przy schodach prowadzących na drugi poziom stał następny strażnik.

Conlin spał niespokojnie. Nie mógł pozbyć się myśli o śmierci Karla i świadomości tego, że — jak powiedział van Buren — mógł go ocalić, tak jak kiedyś mógł ocalić Frances Mary. Na myśl o niej cały ból, cała rozpacz, wezbrały w nim

- 139 -

na nowo.

Była jego jedyną siostrą, młodszą o dziewięć lat. Zawsze byli sobie bliscy, a jeszcze bardziej zbliżyli się do siebie po śmierci rodziców. Kiedy był w seminarium, mieszkała ze starą ciotką i tak się cieszyła, gdy dostał przydział do parafii w Dublinie...

A potem zakochała się w Michaelu, młodym asystencie historii w Trinity College, protestancie. Był to dobry chłopak. Po jakimś czasie zaszła w ciążę.

Przypominając to sobie, z trudem łapał oddech i kurczowo zaciskał ręce na kocu. Tamta grudniowa noc, przed samymi świętami. Samochód wpadł w poślizg i przekoziółkował, zabijając Michaela na miejscu. A Frances Mary, ciężko ranna, została odwieziona na porodówkę.

Była druga w nocy, gdy tam dotarł. Lekarz zajmujący się jego siostrą postawił go przed straszną decyzją. Frances Mary potrzebowała natychmiastowej operacji i w obecnych warunkach nie było nawet mowy o tym, by mogła rodzić, a w jej stanie cesarskie cięcie było niemożliwe.

Chcieli zgody Conlina na uśmiercenie dziecka, zgody, której nie mógł im dać, gdyż byłoby to sprzeczne ze wszystkim, w co wierzył przez całe życie.

— Cóż... — powiedział lekarz. — Jeśli będziemy czekać aż do końca porodu, istnieje duże prawdopodobieństwo, że siostra umrze. Wybór należy do księdza.

Ale on uważał, że nie ma prawa wybierać. Toteż usiadł i czekał do czwartej rano, kiedy to lekarz przyszedł powiedzieć mu, że obie nie żyją — Frances Mary i jej córeczka.

Gdy wyszedł ze szpitala, padał śnieg i było bardzo zimno — prawie tak zimno jak teraz. Jak to powiedział Donne?

*Dopadł mnie bicz straszny gniewu Bożego,*

*Połamiał me kości, skórę otarł do żywego...*

O Boże, pomóż mi, pomyślał. Zabiłem Karla, tak samo jak zabiłem własną siostrę — przez moją upartą dumę i przekonanie, że tylko ja wiem, co jest właściwe.

Pogrążony był w całkowitej rozpacz, znajdował się na dnie piekła, z którego nie widział drogi wyjścia. Nigdy w życiu nie był taki samotny.

— Przebacz mi, Boże — powiedział i zapłakał.

Nagle jakaś ręka ujęła jego rękę i gwałtowne, bolesne podniecenie przepełniło serce Conlina. Było to tak, jakby nadszedł trzeci dzień, a on czekał, aż kamień odsunie się.

Pascoe wszedł do hangaru na Bitterfeld i ujrzał Kubla pracującego przy storchu i przyglądającego mu się Meyera, siedzącego na skrzynce. Samolot pokryty był świeżą warstwą matowej czarnej farby i wyglądał dosyć groźnie.

— Jak idzie? — spytał Pascoe.

— Jeśli Max jeszcze raz dotknie tego samolotu, to silnik poskarży się związkom

zawodowym — stwierdził Meyer.

— Połowa lotników, którzy spadli w czasie wojny, wcale nie została zestrzelona

- 140 -

przez nieprzyjaciela. Zginęli z powodu takiego czy innego defektu silnika —

powiedział Kubel. — Dlatego właśnie muszę wiedzieć o nim więcej niż mechanicy.

Doszedł ich odgłos szybkich kroków i u wejścia hangaru pojawił się Teusen, tak

zdyszany, że ledwo mógł mówić.

— O co chodzi? — spytał Pascoe.

— Nadszedł wstępny sygnał... Właśnie go złapaliśmy. Zapadła cisza. Max

Kubel podszedł do wejścia i wyjrzał na zewnątrz. Nad lotniskiem wisały ciężkie

szare chmury, a w kierunku hangaru przesuwała się ściana deszczu.

— No cóż — mruknął cicho do siebie. — Przynajmniej powinno być ciekawie.

Sussmann i Becker zaciągnęli Conlina do gabinetu i posadzili przed van

Burenem.

— Poczekajcie na zewnątrz — polecił Amerykanin. Wycofali się, a Conlin

wyprostował się z trudem.

— No i co? — spytał.

— Wyglądasz na zmęczonego.

— Tak, rzeczywiście jestem zmęczony.

— To zrozumiałe. Ta nieszczęsna sprawa z Karlem... Moje przypominanie ci

o Frances Mary... — Van Buren wzruszył ramionami. — Istnieją pewne granice

wytrzymałości.

— Kiepsko, Harry. — Conlin uśmiechnął się łagodnie. — Tracisz czas. Ja nie

zabiłem Karla — ty to zrobiłeś. Nie zabiłem też Frances Mary. Zabiły ją okoliczności

życia — coś, czemu nie byłem w stanie zapobiec. Nie mam prawa sądzić sam siebie.

Bóg zrobi to za mnie.

— Ciągłe znajdujesz czas na wiarę?

— O, tak. Kiedy byłem w najgłębszej rozpacz, wyciągnąłem rękę i On był przy mnie. Odkryłem wtedy, że nic już nie może mnie zranić.

— I to twoje ostatnie słowo?

Zakonnik uśmiechnął się.

— Harry, twój ojciec był wspaniałym człowiekiem. To, co się z nim stało, było straszne, ale wcale nie usprawiedliwia twojej wojny z całym światem. Ludzie to nie szczury, Harry. Szczur w klatce robi to, czego go nauczysz, ale człowiek w klatce zawsze ma wolny wybór.

Van Buren pobladł i mocno zacisnął palce.

— Mam nowy narkotyk — powiedział wolno — używany przy pewnych operacjach dla rozluźnienia mięśni, ale pacjent musi być wtedy nieprzytomny.

Widzisz, skutki działania są tak paskudne, że w przypadku przedwczesnego oprzytomnienia pacjenta wstrzykuje mu się skopolaminę, żeby wymazać to z jego pamięci.

— Codziennie uczymy się czegoś nowego — stwierdził ojciec Conlin.

Van Buren otworzył szufladę, po czym wyjął z niej jakąś buteleczkę i strzykawkę.

— Sukcynilcholina wywołuje konwulsyjne skurcz mięśniowe, a następnie paraliż uniemożliwiający oddychanie oraz straszliwe bóle — przy zachowaniu

zaledwie dwie minuty, ale jest tak okropne, że niewielu ludzi wytrzyma groźbę powtórzenia tego.

Conlin poczuł strach, jakiego nie zaznał jeszcze w swoim życiu. W ustach mu zaschło, a ręce zaczęły drżeć tak mocno, że udało mu się je uspokoić dopiero przez mocne splecenie ich za plecami. Czyż duch człowieczy może być tak łatwo złamany?

— pomyślał. — Czy naprawdę miałeś taki zamiar, Panie? Nie, to nie może być prawda. Wytrwam w mojej wierze, teraz i zawsze.

Wziął głęboki oddech i zdobył się na najodważniejszy uśmiech swego życia.

— Daj spokój, Harry. Na pewno możesz wymyślić coś lepszego. Jeśli miarę człowieka da się określić narkotykiem, jaki w niego wpakujesz, to gdzie tu miejsce dla ciebie?

Van Buren wpatrywał się w niego z namysłem. Po chwili nacisnął brzęczyk na biurku — drzwi się otworzyły i weszli Sussmann i Becker.

— Trzymajcie go — rozkazał.

Dochodziła siódma, gdy Vaughan wspiął się po stalowej drabince i ostrożnie uniósł pokrywę wjazdu. Piwnica była pogrążona w całkowitej ciemności. Przez chwilę nasłuchiwał, po czym znowu spuścił pokrywę i zszedł z drabiny. Dziesięć minut później czołgał się tunelem pod cmentarzem z powrotem do stodoły.

Wszyscy czekali na niego. W czasie gdy badał tunel, przyszedł też Berg.

— Zadowolony? — spytał Konrad, kiedy Vaughan wyszedł z tunelu.

Skinął głową.

— Najwyżej dziesięć minut, by się tam dostać, pięć, by wyciągnąć Conlina, dziesięć — może piętnaście — żeby wrócić.

— Będzie pan musiał go nieść — odezwał się Berg. — Widziałem go godzinę

temu, jak opuszczał gabinet van Burena na ramieniu Beckera. Nie wyglądał za dobrze.

— Był bity?

— Chyba nie.

Vaughan założył swój skórzany trencz.

— Prawdopodobnie narkotyki. W dzisiejszych czasach używa się niezłych świństw dla takich celów jak robota van Burena. Wracaj do zamku, Berg. Zostań tam do za piętnaście dziewiąta i miej oczy otwarte. Jeśliby coś się wydarzyło do tego czasu, przybiegnij tu z wiadomościami tak szybko, jak możesz.

Berg skinął głową i wyszedł.

— Co teraz? — spytał Konrad.

— Czekamy. Pójdę zobaczyć się z Hartmannem. Powiem mu, co i jak, o ile zdołam oderwać go od jego nie kończących się spowiedzi i chrztów. Jedyna rzecz, której jeszcze nie zrobił, to odprawienie publicznego nabożeństwa.

Gdy podchodził do drzwi, dołączyła do niego Margaret. Na zewnątrz objął ją ramieniem i razem przeszli przez podwórko.

— Kiedy już się zacznie na całego, mogę być zbyt zajęty, by zwracać uwagę na to, co robisz, więc obiecaj mi, że będziesz słuchać Konrada i we właściwym czasie

- 142 -

wsiądziesz do tej ciężarówki — jak grzeczna dziewczynka.

— Moglibyśmy zjeść razem śniadanie na Bitterfeld — powiedziała.

— Czemu nie?

— I ta kafejka na końcu mostu w Berlinie. Zabierzesz mnie tam znowu?

— Zobaczymy. — Wierzchem dłoni lekko dotknął jej policzka. — Uważaj



na siebie. — Po czym wyszedł za bramę i zniknął w ciemności.

Minęła właśnie ósma, kiedy Hartmann wszedł bocznymi drzwiami do zakrystii. Zastał tam czekającego na niego Vaughana.

— Gdzieś ty się, do diabła, podziewał? — zapytał Vaughan.

— Odwiedzałem chorych. Wezwania do domów — odparł Hartmann. —

Mówiłem ci, że potrzebują tu tego. Czego chcesz ode mnie?

— Mniej więcej o dziewiątej schodzę do tunelu. O dziewiątej dwadzieścia wychodzę z Conlinem, o dziewiątej czterdzieści Kubel zabiera nas z Łąki Wodnego Konia, a krótko po tym wy wszyscy będziecie w drodze do granicy w ciężarówce.

A więc — zbierz teraz swoje rzeczy i wracaj ze mną na farmę.

— Nie — powiedział Hartmann. — Zastanawiałem się nad tym, i myślę, że mam lepszy pomysł. Prawdziwy powód mojego udziału w tej całej sprawie był taki, że miałem działać jako przynęta. Wydaje mi się, że najbardziej przydałbym się robiąc to właśnie teraz.

— O czym ty, do diabła, gadasz? — zdenerwował się Vaughan.

Hartmann powiedział mu.

Van Buren przeglądał swoje notatki, gdy zapukano do drzwi i wszedł

Sussmann z Beckerem.

— Kłopoty? — spytał van Buren.

— Tak jakby. Właśnie miałem telefon ze wsi. Jakiś anonimowy życzliwy, który był w gospodzie, kiedy ksiądz rozmawiał z sołtysem.

— No i...?

— Wygląda na to, że Hartmann zamierza przenieść z powrotem do kościoła Krzyż Świętego Michała.

— Nie rozumiem.

Sussmann wyjaśnił mu pokrótce. Na koniec dodał:

— To wyraźne nieposłuszeństwo, takie jest w każdym razie moje zdanie.

Ostrzegaliście go przecież.

Van Buren pokiwał głową.

— Gdzie jest ten krzyż?

— Nad Elbą — odezwał się Becker. — Jakieś osiemset metrów za wioską.

Widziałem go. Słyszałem tę historię od Berga, kiedy tu przyjechałem. — Zaśmiał się z pogardą. — Hartmann chyba oszalał. W żaden sposób nie poniesie tego taki kawał.

— Oczywiście, ale gdyby to zrobił i zażądał prawa ponownego otwarcia kościoła dla publicznego kultu... — zaczął Sussmann.

— Nie, nie możemy na to pozwolić — stwierdził van Buren. Po chwili uśmiechnął się. — To jednak interesująca sytuacja. Chodźmy zobaczyć, jak sobie poradzi.

- 143 -

Dokładnie w tym momencie Erich Hartmann energicznie atakował łopatą ziemię u podstawy krzyża. Około dwudziestu mieszkańców wsi, zarówno mężczyzn jak i kobiet, stało półkolem w pewnej odległości i patrzyło. Niektórzy mieli latarnie. Najbliżej byli Sigrid i jej ojciec.

— Ojcie, to szaleństwo — mówił sołtys. — Kiedy wiadomość o tym dotrze na zamek, przyjdą żołnierze.

— Widzisz, Sigrid, robimy postępy — powiedział Hartmann. — Twój ojciec wyraźnie martwi się o mnie.

— Aresztują księdza...

Hartmann nie przestawał kopać.

— Zadzwoń pan do nich i powiedz, co zamierzam? — spytał po chwili. —

Jest pan w końcu miejscowym sekretarzem partii.

— Nie — odparł Ehrlich. — Nie zrobiłem tego.

— Więc pana też aresztują, przyjacielu, bo ktoś ich o tym poinformuje. Tacy to właśnie ludzie. Takie macie społeczeństwo. — Odwrócił się to tłumowi. — I nazywacie to „demokracją”.

Krzyż zachwiał się i zaczął przechylać. Hartmann odrzucił łopatę i złapał go, ostrożnie opuszczając na dół. Ten dowód jego ogromnej siły zaparł dech w piersiach widzów.

Sigrid podbiegła i położyła mu rękę na ramieniu.

— Proszę, niech ojciec tego nie robi. — Jej twarz była napięta, błagająca. —

Zabije się ojciec.

— Ależ ja muszę, moje dziecko — powiedział łagodnie. — Widzisz, już wiem, że to co teraz robię, nadaje sens mojemu życiu. — Spojrzał na czerniejące w deszczu wzgórze, wznoszące się przed wsią. — Dobry Boże, daj mi siłę — mruknął.

Dźwignął krzyż na lewe ramię, zebrał się w sobie i ruszył naprzód.

W stodole brat Konrad, już w mundurze porucznika Vopo, stał właśnie przy stole razem z Margaret i studiował plany kanału, kiedy wszedł Vaughan. Major miał na sobie ciemne spodnie i sweter, a większą część jego twarzy zakrywała czarna kominiarka, nadając mu złowrogi wygląd. Margaret spojrzała na niego.

— Wyglądasz jak... — zawahała się.

Zgarnął rękoma brud z podłogi i posmarował nim odsłoniętą część twarzy.

— Jak co? — zapytał.

— Inaczej... jak ktoś inny.

— To prawdziwy ja — powiedział. — Człowiek, którym zawsze byłem.

W jej oczach pojawił się jakby ból. Odwrócił się od niej i zapytał Konrada:

— Franz jest w tunelu?

— Tak.

Wyjął zza pasa mausera — przedwojenny model z pękatym tłumikiem, robiony specjalnie dla Gestapo. Sprawdziwszy magazynek, schował broń z powrotem.

— Ciekawe, przy której stacji Drogi Krzyżowej jest teraz Hartmann.

W głosie Margaret Campbell brzmiał gniew:

— On robi to, co uważa za słuszne. Nie masz prawa nabijać się z niego.

- 144 -

— Święty głupiec — mruknął Vaughan. — Tak samo jak Sean Conlin, dzięki któremu wszyscy tu jesteśmy... Boże, ileż kłopotów dobroczy tego świata sprawiają innym ludziom. — Zerknął na zegarek i zobaczył, że jest za piętnaście dziewiąta. — Do diabła z tym — rzucił. — Nie mam zamiaru dłużej czekać.

— A to? — Konrad dotknął nadajnika stojącego na stole. — Co z tym?

— Dziesięć po dziewiątej naciśnijcie guzik. Powinno być w sam raz.

— A jeśli coś pójdzie nie tak? — spytała Margaret z nagłą paniką w głosie. —

Koordinacja w czasie jest podstawową sprawą, sam to mówiłeś.

— Już nie. Od tej pory wszystko się po prostu dzieje. Widzisz, my już nie kontrolujemy tej gry — ona kontroluje nas.

Schylił się i zniknął w tunelu.

Na Bitterfeld Teusen włączył zewnętrzne światła. Gęsta mgła spowijała

lotnisko. Storch stał gotowy na przedpolu, a Max Kubel, Pascoe i Meyer kryli się

we wnętrzu hangaru.

— Zobaczcie, jaka pogoda — odezwał się Meyer. — Właśnie w takich chwilach zastanawiam się, czy Bóg istnieje. Ale mamy szczęście!

Kubel miał na sobie swoją starą kurtkę i biały szal wokół szyi. Palił cygaro i sprawiał wrażenie wesołego.

— Start w takim świństwie to pestka, Julius. Gorzei z lądowaniem — stwierdził pogodnie.

— A jeśli tak samo będzie w Neustadt? — spytał Pascoe.

— To wtedy będziemy się martwić — odparł Kubel.

Nigdy jeszcze Hartmann nie dźwigał takiego ciężaru i gdy dotarł na szczyt wzgórza, musiał przystanąć. Całe jego ciało było jednym wielkim bólem, lewe ramię miał zdarte do żywego mięsa, a prawe, na które potem przełożył krzyż, było w nie lepszym stanie.

Tłum znacznie się tymczasem powiększył i ciągle przybywali nowi ludzie.

Wszyscy milczeli, tylko od czasu do czasu słyszał tu i ówdzie jakieś pomrukiwania.

Znowu ruszył do przodu, wydając z siebie mimowolny jęk bólu, gdy cały ciężar spoczął mu na ramieniu. Prawie natychmiast stracił równowagę i upadł ciężko pod krzyżem.

Ludzie rzucili się do pomocy.

— Nie! — krzyknął. — Nie!

Zatrzymali się. Przez chwilę odpoczywał na czworakach. Sigrid mocnym, czystym głosem zaczęła recytować *Credo*.

— Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi, wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych...

Dołączył do niej inny głos, a później następny i następny.

Hartmann nigdy przedtem nie zaznał takiej radości.

— Nie jestem wart tego ciężaru — mruknął.

Po chwili znowu był na nogach i szedł dalej.

Franz czekał z lampą u stóp drabiny, podczas gdy Vaughan wspiął się po niej i ostrożnie uniósł pokrywę. W piwnicy było ciemno, ale lekka poświata wskazywała

- 145 -

wyście na korytarz. Odchylił pokrywę do końca i wyszedł na górę, wyciągając zza pasa mausera i odbezpieczając go.

Wyjrzał zza rogu i od razu dostrzegł strażnika, niedbale opartego o ścianę, z AK przewieszonym przez ramię. Stał w odległości jakichś piętnastu metrów, a korytarz był jasno oświetlony, Vaughan jednak nie miał wyboru. Ruszył naprzód trzymając się ściany i przyciskając pistolet do prawego uda. Wszystko zależało od tego, jak blisko uda mu się podejść, zanim zostanie zauważony.

W tym momencie z mroku na końcu korytarza wynurzył się drugi Vopo z dzbankiem w ręce. Natychmiast dostrzegł Vaughana, wrzasnął alarmująco, rzucił dzbanek i zaczął zdejmować z ramienia karabin. Vaughan strzelił dwukrotnie — oba pociski utkwily w sercu strażnika, zabijając go na miejscu. Jeszcze gdy tamten padał, mauser Vaughana był już wycelowany w drugiego Vopo, który właśnie unosił swoje AK. Vaughan strzelił mu w prawe ramię, obracając go dookoła siłą strzału. Następną kulą roztrzaskała mu kręgosłup i cisnęła nim o drzwi celi. W miejscu wejścia pocisku płaszcz zaczął się lekko tlić, a gdy ciało osunęło się na podłogę, błysnął mały płomyk. Strzały były prawie niesłyszalne, ale krzyk pierwszego Vopo mógł kogoś zaalarmować. Vaughan cicho przebiegł korytarz i przystanął pod drzwiami u stóp

schodów, nasłuchując. Panowała całkowita cisza, toteż zadowolony wrócił pod drzwi prowadzące do celi.

Odsunął zasuwę i wszedł do środka. Ojciec Conlin leżał w ubraniu na łóżku, ciężko oddychając. Najwyraźniej spał, ale gdy Vaughan potrząsnął jego ramieniem, nie zareagował.

Vaughan wepchnął mausera za pas, po czym uniósł księdza do pozycji siedzącej i, pochyliwszy się, przerzucił go sobie przez ramię. Wyszedł i szybko wrócił do piwnicy.

Franz czekał na niego, wyglądając ponad krawędzią kanału.

— Kłopoty, majorze?

— Nic, z czym nie mógłbym sobie poradzić — odparł Vaughan. — Jest nieprzytomny. Chyba nafaszerowany narkotykami. Podam ci go.

Franz stanął pod drabiną i delikatnie przejął Conlina, kołysząc go w ramionach jak dziecko. Vaughan zszedł za nim, zamykając pokrywę.

Spojrzał na zegarek. Było właśnie dziesięć po dziewiątej.

— Okay, ruszajmy.

Chwilę później brat Konrad nacisnął guzik nadajnika, przesyłając na Zachód ostatni, najważniejszy sygnał.

Max Kubel zwiększył moc i zwolnił hamulce storcha — silnik Argus odpowiedział wspaniale.

Kiedy pochłonęła go już mgła, Meyer, stojący z Pascoem i Teusenem u wejścia do hangaru, powiedział:

— Dobra, udało mu się. Co teraz?

— Jak zwykle najgorsza część — odparł Pascoe. — Czekanie.

Zanim jeszcze dojechali na plac przed kościołem, van Buren usłyszał śpiewy.

Samochód prowadził Becker, obok niego siedział Sussmann. Kiedy wjeżdżali

- 146 -

na plac, stała tam już chyba większość mieszkańców wioski. Heinrich Berg dostrzegł gazik i cofnął się w cień.

— Można by powiedzieć, że na naszych oczach odbywa się tu przebudzenie religijne — zauważył van Buren.

Sussmann wstał, przytrzymując się przedniej szyby.

— Widzę go...

Hartmann wchodził właśnie na plac z drugiej strony, otoczony gęstym tłumem.

Krok miał pewny i szedł wytrwale, zachęcany okrzykami. Kiedy zbliżył się do szerokich schodów prowadzących do drzwi kościoła, van Buren wysiadł z samochodu i ruszył, by przeciąć mu drogę.

— Ojcie Hartmann! — zawołał.

Jezuita przystanął. Śpiew zamarł, zaległa cisza. Zaczął padać deszcz.

— Powiedziałem, że jeśli będzie mi ojciec sprawiał kłopoty, odeślę ojca do Berlina.

Sussmann stanął w gaziku i zwrócił się do tłumu:

— Idźcie do domów — wszyscy! To rozkaz!

Nikt się nie ruszył.

— Niosę krzyż do kościoła — odezwał się Hartmann. — To moje prawo.

Zaczął wchodzić po schodach.

— Mam dosyć tej szarady — rzucił van Buren do Beckera. — Zatrzymajcie go.

Becker wskoczył na schody i złapał za jeden koniec krzyża, wytrącając jezuitę



z równowagi i powalając go na kolano. Następnie kopniakiem przewrócił go na ziemię.

— Jesteś aresztowany — powiedział.

Hartmann zignorował go całkowicie, ukląkł znowu i podniósł krzyż. Becker wyciągnął i odbezpieczył walthera.

— Nie! — wrzasnął, gdy Hartmann wstał i wyprostował się.

Zakonnik stał chwiejąc się, najwyraźniej bardzo zmęczony. Kiedy znów ruszył, stracił równowagę i jednym ramieniem krzyża mocno uderzył Beckera, rzucając go na drzwi kościoła. Becker nacisnął dwukrotnie spust. Hartmann poleciał w tył po schodach, a krzyż upadł na niego.

Natychmiast podniosła się wielka wrzawa. Tłum zakołysał się i ruszył do przodu. Sigrid pierwsza dopadła Hartmanna. Sussmann wyszarpnął pistolet i strzelił w powietrze.

— Do domu! — krzyknął. — Rozkazuję wam rozejść się — wszystkim!

Van Buren pochylił się nad Hartmannem. Oczy jezuita były otwarte, w kąciку ust zebrała się krew. Becker zszedł po schodach.

— Ty durniu — odezwał się do niego van Buren. — To nie było konieczne.

— Morderca! — krzyknęła histerycznie Sigrid.

— O, nie — powiedział Amerykanin. — Ksiądz ciągle jeszcze żyje. I może będzie żył, o ile go tak nie zostawicie.

Z tyłu nadjechał nagle szybko drugi gazik, roztrącając tłum. Prowadzący go

Vopo wyskoczył i podbiegł do van Burena. Miał złe wieści, Amerykanin ujrzał to

w jego twarzy, zanim jeszcze tamten zbliżył się do niego na tyle, by móc mówić.

Kiedy Berg pociągnął za dzwonek u bramy Domowej Farmy, otworzył mu brat Florian.

— Gdzie jest major? — spytał Berg.

— Wyjechał gazikiem pięć minut temu — odparł Florian. — Wszystko idzie doskonale. Razem z Franzem wyprowadzili Conlina i teraz brat Konrad zawiózł ich na spotkanie samolotu.

W drzwiach ukazała się Margaret.

— We wsi chyba jest jakaś awantura. Co się tam dzieje? Gdzie ojciec Hartmann?

— Nie żyje albo jest umierający — odparł Berg i opowiedział, co się wydarzyło.

Bez słowa weszła do stodoły i wróciła po chwili ze swoją lekarską torbą.

— Zaprowadź mnie do niego.

— Niech pani nie będzie szalona. Konrad zaraz tu wróci, a my musimy być gotowi, żeby z nim wyjechać. Niech pani posłucha — dodał z rozpaczą w głosie — dostał dwa razy z bliska.

— Zaprowadź mnie do niego — powtórzyła.

Brat Florian otworzył bramę.

— Szybko. Powiem Konrowi, jak wróci. Poczekamy na was.

Samochód stał na północnym krańcu Łąki Wodnego Konia. Brat Konrad doglądał Conlina, podczas gdy Vaughan, sprawdzwszy kierunek wiatru, wyjął ze swojego tornistra sześć tanich lamp rowerowych, włączył je i ułożył rzędem na ziemi. Następnie pobiegł na drugi kraniec łąki, zgodnie z kierunkiem wiatru, i ustawił tam jeszcze dwie.

Było to proste, ale skuteczne — Kubel, który nadleciał po paru minutach

na wysokości dwustu metrów, zobaczył światła od razu. Miał doskonały lot, poza

początkowym etapem, gdy nic nie było widać i musiał wznieść się wyżej, niżby chciał.

Kiedy storch łagodnie dotknął ziemi, Vaughan przełożył sobie Conlina przez ramię.

— No to niech brat już jedzie — rzucił Konradowi. — Do zobaczenia na Bitterfeld koło jedenastej.

Konrad wsiadł do gazika i odjechał, Vaughan zaś podbiegł do samolotu, gdzie w otwartych drzwiach czekał na niego Kubel. Lotnik wychylił się, by złapać zakonnika pod pachami i wciągnąć go, a Vaughan wdrapał się szybko za nim, zatrzasnąjąc za sobą drzwi.

Samolot odwracał się już do wiatru, przygotowując się do startu. Max wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Widzisz, przyjacielu, jaka to pestka.

Zwiększył moc silnika — samolot szarpnął do przodu i uniósł się w noc.

Hartmann nie żył — Margaret wiedziała to od momentu, gdy weszła

do zatłoczonej sypialni na plebanii, ale mimo to jeszcze szukała pulsu i nasłuchiwała bicia serca. Wyglądał bardzo spokojnie. Po chwili zdjęła słuchawki.

— Nie żyje? — zapytał Georg Ehrlich.

- 148 -

— Niestety.

Kłęcząca przy łóżku Sigrid zaczęła płakać, a wśród zgromadzonych w pokoju rozległ się szmer.

— Nie znamy się — powiedział Ehrlich. — Jest pani nowa w tym okręgu, pani doktor?

— Jestem tu tylko przejazdem.

Zamknęła torbę, wstała i ujrzała w drzwiach Harry'ego van Burena.

— Witaj, Margaret — rzucił. — To dopiero niespodzianka.

- 149 -

## 15.

Max Kubel, prowadzący storka ku granicy z prędkością dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, już od dłuższego czasu miał kłopoty. Lecąc w tamtą stronę, wzniósł się z powodu złej widoczności na wysokość trzystu metrów. Zszedł potem w dół w ciągu paru minut, ale w tym czasie jego obecność została odnotowana na ekranach radarowych w Allersberg.

Pojawienie się czegoś na radarze na tak krótki czas mogło oznaczać zakłócenia od obiektów terenowych, powstałe na skutek odbicia fal. Ale mógł to być także intruz, a główny kontroler w Allersberg nie należał do tych, co ryzykują.

Teraz deszcz znacznie bardziej ograniczał widoczność i Kubel zdecydował się lecieć wyżej. I tak do granicy zostało już tylko sześć lub siedem minut. Pociągnął drążek sterowy do tyłu i samolot zaczął się wznosić, wynurzając się na czyste powietrze zaraz po przekroczeniu trzystu metrów.

Księżyc był w ostatniej kwadrze, blady, splukany deszczem, oświetlał jednak nieco niskie chmury. Kubel odwrócił się do Vaughana i krzyknął ponad głową nieprzytomnego Conlina:

— Już niedługo!

Nagle stork bryknął jak dziki koń i Kubel musiał użyć wszystkich swoich umiejętności, by go utrzymać. Jakiś cień przechylił się nad nimi i zajął pozycję z prawej strony.

— Co to jest? — spytał Vaughan.

— Myśliwiec mig. Mamy kłopoty, przyjacielu. Mig pokiwał skrzydłami.

— Daje nam sygnał — powiedział Vaughan.

— Wiem. — Kubel włączył radio.

Odbiór był bardzo wyraźny. Twardy głos powiedział: „Przyjmij kurs trzy-cztery-zero do bazy Allersberg. Będę leciał za tobą”.

— Nie wygląda to za dobrze — mruknął Kubel wyłączając radio. — Jego działo może nas rozwalić na strzępy.

— Da się coś zrobić?

— W takich zawodach szybkość odrzutowca to tylko przeszkoda. Jestem dla niego zbyt wolny. Zejdę w dół i zobaczę, czy uda mi się namówić go do jakiegoś szaleństwa.

Przechylił się w lewo i szybko ruszył w dół. Mig pognał za nim szerokim łukiem, który miał go ustawić na ogonie storcha. Otworzył też ogień ze swojego działka, za wcześnie jednak, gdyż prędkość miał tak dużą, iż musiał skrócić w prawo, by uniknąć zderzenia.

- 150 -

Kiedy Kubel osiągnął wysokość dwustu metrów, mig nadleciał ponownie i tym razem storch zachwiał się pod uderzeniem pocisków dziurawiących mu skrzydła.

Myśliwiec odleciał, robiąc wielki zakręt, po czym zbliżył się jeszcze raz i znowu storch zadrżał pod gradem pocisków. Przednia szyba rozprysła się, a Kubel krzyknął.

— Nic ci nie jest? — zawołał Vaughan.

Lotnicza kurtka Maxa była rozcięta pod samym lewym barkiem. Vaughan dotknął rozcięcia i poczuł pod palcami krew.

— Nie przejmuj się, przeżyję — rzucił Kubel. — Trzymaj się tylko mocno, bo teraz mam zamiar pokazać draniowi, jak się lata.

Byli już na stu pięćdziesięciu metrach i poniżej wyraźnie widać było okolicę —

dolatywali do granicy. Mig zbliżył się znowu, wchodząc im ślizgiem na ogon.

Pociski trafiły w cel i od skrzydeł storcha odpadły kawałki metalu Kubel opuścił klapy i jego maszyna jakby zamarła w powietrzu. Zupełnie na to nie przygotowany pilot miga przechylił się gwałtownie w prawo, by uniknąć kolizji. Zrobił to zbyt gwałtownie — pozbawiony przestrzeni samolot runął prosto w las na dole.

Na chwilę w lesie rozkwitł grzyb ognia, bardzo widowiskowy w nocy, zaraz jednak wszystko zostało z tyłu.

Silnik storcha jakby się zacinał, i Kubel zaczął szaleńczo manipulować przy przyrządach.

— Dalej, Suko. Nie zdradzaj mnie teraz.

Vaughan obejrzał Conlina. Zakonnik był dalej nieprzytomny, ale oddech mu się wyrównał.

— W porządku z nim? — krzyknął Kubel.

Vaughan skinął głową i zapytał:

— A z tobą?

— No cóż, dostałem trochę stali w tyłek. Bywało gorzej. Tym razem warto było.

— Roześmiał się na głos. — Nie rozumiesz, Simon? Właśnie załatwiłem sto pięćdziesiątego.

Chwilę później minęli granicę i, przechyliwszy się na prawo, zaczęli podchodzić do lądowania na Bitterfeld.

Franz zamknął drzwi od stodoły i zabarykadował je drewnianą belką. Tak jak pozostali, ubrany był w mundur Volkspolizei. Stali w deszczu przy ciężarówce, każdy z karabinem AK przewieszonym przez szyję.

Konrad wyjrzał niespokojnie przez furtkę.

— Hej — szepnął. — Gdzie jesteś, Margaret?

Gregor podszedł do niego.

— Niedobrze, musimy już jechać. Niedługo odkryją nasz tunel. Nie możemy tu dłużej siedzieć.

Nagle usłyszeli jakiś tupot i z ciemności wynurzył się Berg z twarzą pełną paniki. Konrad przytrzymał go i zapytał:

— Co się dzieje? Gdzie dziewczyna?

Berg ledwo mógł mówić:

- 151 -

— Ma ją. Van Buren ją ma.

Konrad potrząsnął nim.

— O czym ty mówisz?

— Poszła zobaczyć księdza, ale on już nie żył.

Wtedy pojawił się van Buren.

— I co?

— Zabrali ją gazikiem. Do zamku Neustadt.

Konrad wpatrywał się w niego z przerażeniem.

— Musimy jechać, nie rozumiecie? — ponaglił ich Berg. — Lada chwila tu będą.

— On ma rację — powiedział łagodnie Gregor do Konrada. — Pamiętasz rozkazy majora Vaughana? Nie możemy czekać na nikogo.

— Ale przecież nie zostawimy jej tak. Musimy coś zrobić...

— Jest już w Schloss Neustadt. Nic nie możemy zrobić. — Gregor uwolnił Berga z uchwytu Konrada i powiedział: — Wsiadaj do tyłu. — Odwrócił się do pozostałych. — Wy też wskakujcie wszyscy.



— Mój Boże... — odezwał się martwym głosem Konrad. — Tak, jakby nie wycierpiała już wystarczająco dużo. — Odwrócił się, a jego głos stał się wyraźnie wściekły: — Wiesz co, Gregor? Zaczynam się zastanawiać, czy ten Bóg, któremu służy od tylu lat, jest jeszcze w domu.

Usiadł za kierownicą, a Gregor obok niego. Nacisnął starter i wyjechał za bramę.

Odgłos silnika zaniknął w nocy: podwórze zostało ciche i opuszczone. Minęło dobrych dwadzieścia minut, zanim w stodole dały się słyszeć pierwsze hałasy i ktoś zaczął walić w drzwi.

Zmartwychwstanie było zadziwiające — stwierdził van Buren. — O ile oczywiście było prawdziwe, w co zawsze wątpiłem. Ale teraz ten twój przypadek, Margaret... — to się dopiero nazywa cud.

Siedziała przy biurku z rękoma na kolanach, bardzo spokojna.

— Nie mam nic do powiedzenia.

— To nic nowego. Zawsze byłaś introwertyczką. To naturalnie zrozumiałe po tym, co przeszłaś.

Drzwi otworzyły się i wbiegł Sussmann.

— Właz na dolnym poziomie daje dostęp do nie używanego kanału ściekowego z czasów wojny. Znaleźliśmy tam tunel prowadzący pod cmentarzem i wychodzący w stodole na Domowej Farmie.

— Domowej Farmie...?

— U franciszkanów.

Van Buren roześmiał się głośno, odrzucając głowę do tyłu.

— No, przecież to piękne. Wspaniałe. Oczywiście nie ma ich tam?

— Nie. Teren jest opuszczony.

Van Buren ponownie zwrócił się do Margaret:

— A więc to tam się ukrywałaś przez te ostatnie tygodnie?

Nie odpowiedziała.

- 152 -

— Nie ma dozorczy Berga — oznajmił Sussmann. — Schaefera też.

— Schaefera? — rzucił ostro van Buren. — Ależ oczywiście, to by nawet świetnie pasowało. Schaefer i ten ksiądz.

— Jeszcze jedno. Są doniesienia o lekkim samolocie, który wylądował, a potem znowu wystartował w pobliżu rzeki w ciągu ostatniej godziny.

— No i co? — Van Buren sprawiał wrażenie dziwnie obojętnego.

— Na miłość boską! — krzyknął Sussmann. — Co robimy!?

— Nie wiem — odpowiedział mu uprzejmie van Buren. — Zażądajcie pomocy.

Zaalarmujcie granicę. W końcu to ty tu jesteś wojskowym geniuszem.

— Ale przecież musimy odzyskać Conlina — wrzasnął Sussmann — albo wszyscy jesteśmy skończeni. A ta suka może nam powiedzieć, gdzie on jest.

— Najwyraźniej nie byłeś w szkole dobry z matematyki — powiedział van Buren. — Jeśli ten samolot wylądował i odleciał z powrotem w ciągu minionej godziny, to kto według ciebie w nim był?

Sussmann odwrócił się i z wściekłością wymaszerował z pokoju, trzaskając za sobą drzwiami. Szybko zszedł do swojego biura, gdzie czekał na niego Becker.

— I co teraz? — spytał starszy sierżant.

— Bóg jeden wie, Rudi. Możemy wszyscy pójść za to pod topór. Połącz mnie z dowództwem. Nadaj czerwony alarm do wszystkich jednostek policji na obszarze

stąd do granicy. Niech zatrzymają na drodze każdego, kto choćby w najmniejszym stopniu byłby podejrzany.

Becker wyszedł, a Sussmann zapalił papierosa i zaczął nerwowo chodzić tam i z powrotem po pokoju.

Schaefer... — powiedział van Buren. — On tu musi być kluczową postacią.

Powinienem się tego domyślić po tym, jak tak fachowo załatwił Beckera. Nie zajedzie jednak daleko.

— Samolot — rzuciła pogodnie dziewczyna.

— On też był na pokładzie, tak? A więc jest bezpieczny i to cię cieszy. —

Odchylił się na krześle przyglądając się jej w skupieniu. — Jesteś w nim zakochana?

— Za późno na zabawy — powiedziała. — Przegrałeś. Na twoim miejscu już bym się pakowała.

— A gdzie miałbym iść? — Uśmiechnął się łagodnie. — Problem w tym, że byłem już wszędzie. Ale wracając do Schaefera. Jeśli był w samolocie, znaczy, że cię zostawił, a to mi jakoś nie pasuje. On nie jest z tych.

Milczała, więc ciągnął dalej:

— Miałaś wyjechać z innymi, prawda? Ale nagle dowiedziałaś się o Hartmannie i po prostu musiałaś odegrać rolę pani doktor. Schaeferowi, czy jak mu tam, nie spodoba się to.

— On się nazywa Vaughan. W jej głosie brzmiała duma. — Major Simon Vaughan.

— Anglik? No, to już coś. — Pokiwał wolno głową. — Wróci po ciebie.

— Nie gadaj głupstw! — Teraz z kolei była przerażona.

— Wróci po ciebie, Margaret. Tacy mężczyźni zawsze wracają. Moją sprawą jest

to wiedzieć — dodał wesoło. — Jestem w końcu jednym z lepszych psychologów świata.

— Nie! — zawołała. — Nie!

Nalał sobie dużą porcję brandy.

— Ty masz problem, ja mogę ci pomóc. — Zrobił bolesny grymas. — Jedyne kłopot w tym — i to pewnie bardzo cię rozbawi — że nigdy nie potrafiłem zrozumieć własnych problemów.

Zadumał się. Bez żadnego możliwego do wytłumaczenia powodu powiedziała:

— Przykro mi.

— Cóż, to ładnie z twojej strony. Przepraszam cię na chwilę.

Nie wyszedł jednak, tylko po prostu podniósł słuchawkę i nakręcił numer biura

Kleina. Odebrała Frau Apel.

— Późno pracujemy, co? Zostałem go?

— Chyba tak, panie profesorze.

Po chwili odezwał się Klein:

— Cześć, Harry, właśnie wychodziłem. Co nowego u ciebie?

— Kiepsko — stwierdził van Buren. — Conlin uciekł.

— Co?! To niemożliwe!

— Mój drogi Helmucie, wszystko jest możliwe na naszym nikczemnym świecie.

Sądziłem, że człowiek o twoim doświadczeniu musi już zdawać sobie z tego sprawę.

Szczegóły nie są w tej chwili ważne. Faktem jest, że dobrana grupa, w której skład

wchodził także ten twój cholerny ksiądz, wydostała dziś Conlina z zamku

i wywiozła go samolotem. Chciałem mieć przyjemność powiedzenia ci o tym

wszystkim osobiście.

— Jesteś pewien, że udało mu się zwiać? — spytał Klein.

— Tak, Helmut. — Van Buren odłożył słuchawkę i nalał sobie kolejną porcję brandy.

— Co teraz? — zapytała Margaret.

— Czekamy — odparł. — Czekamy, żeby zobaczyć, czy mam rację co do tego twojego majora Vaughana.

Sussmann właśnie zbierał się do wyjścia, gdy zadzwonił telefon. Po drugiej stronie był Klein.

— Właśnie rozmawiałem z van Burenem. Chcę teraz usłyszeć waszą wersję tego, co się tam dziś stało. Szybko.

Sussmann powiedział mu, niczego nie pomijając. Kiedy skończył, zaległa cisza.

— Panie pułkowniku, jest pan tam? — spytał ostrożnie.

— Tak — odparł Klein. — Zamyśliłem się.

— Co pan pułkownik chce, żebym zrobił?

— Jesteście obiecującym oficerem, Sussmann. Szkoda byłoby widzieć koniec waszej kariery z powodu obcowania z człowiekiem, który z pewnością jest zdrajcą.

To jedyne wytłumaczenie całej tej przykrej sprawy, jakie można sobie wyobrazić.

Za kilka godzin będę tam u was i osobiście przesłucham van Burena. Jeśli będzie próbował wyjechać przed moim przybyciem, macie prawo powstrzymać go — przy

- 154 -

użyciu wszelkich możliwych środków. Odnowiłoby to zaufanie do was. Rozumiecie mnie?

— Doskonale, panie pułkowniku.

— Dobrze. Zobaczymy się później.

Sussmann odłożył słuchawkę. Następnie wyjął swojego walthera i sprawdził magazynek.

Po rozmowie z Sussmannem Klein odwrócił się do rzędu książek pokrywających ścianę za nim. Zdjął kilka z nich, odsłaniając mały sejf. Otworzył go szybko i wyjął bardzo zwyczajnie wyglądającą teczkę i komplet fałszywych dokumentów, które od dawna miał przygotowane na taki dzień. Teczka zawierała listę wszystkich agentów jego wydziału, działających aktualnie w Niemczech Zachodnich.

Wrzuciwszy ją do nesesera, przejrzał fałszywe dokumenty. Dobrze, że jako szef bezpieczeństwa nie był powszechnie znany wśród wojskowych. Wsunął dokumenty do kieszeni na piersi, nałożył płaszcz i chwycił neseser.

Frau Apel siedziała przy swoim biurku. Podniosła wzrok.

— Wychodzi pan już, panie pułkowniku?

— Tak. Dobrze, że zostałeś tak długo, Klaro. Ale teraz idź już do domu, zobaczymy się rano.

Wyszedł pogwizdując wesoło. Dwadzieścia minut później skorzystał z mało używanego przejścia granicznego niedaleko Kónigstrasse i zgłosił się do dyżurnego policjanta po drugiej stronie z zadziwiającym żądaniem natychmiastowego skontaktowania go z generałem Reinhardem Gehlenem, dyrektorem Federalnej Służby Wywiadowczej.

We Flossen, gdzie Bulow niecierpliwie chodził tam i z powrotem przed budką strażniczą, ciągle padało. O dziewiątej trzydzieści otrzymał z dowództwa sygnał czerwonego alarmu, co oznaczało, że nie wolno mu było absolutnie nikogo

przepuścić. Ale jego żona i dzieci były już bezpieczne po drugiej stronie i chciał teraz do nich dołączyć.

Przybiegł podniecony Hornstein.

— Coś jedzie!

Stanął obok sierżanta i obaj czekali z niepokojem. Nagle z ciemności wynurzyła się policyjna ciężarówka.

Konrad wychylił się przez okno.

— Chyba czekaliście na nas — powiedział.

Bulow nie zawracał sobie głowy odpowiadaniem. Hornstein podnosił już szlaban. Wspomagani chętnymi rękoma wdrapali się na tył samochodu, który zaraz ruszył na Zachód.

Pascoe siedział sam w pomieszczeniu kontrolnym Bitterfeld, gdy wszedł

Bohmler, by powiedzieć mu, że ciężarówka dojechała szczęśliwie. Razem udali się do hangaru. Franciszkanie stali przy ciężarówce, rozmawiając z Teusenem i Meyerem.

Kiedy Pascoe wszedł, Meyer mówił z gniewem:

- 155 -

— Szaleństwo, to jedyne właściwe słowo. Gna poszła na pewną śmierć.

— O co chodzi? — spytał Pascoe.

— Straciliśmy niestety doktor Campbell, profesorze — odezwał się Konrad. —

Znajduje się teraz w rękach van Burena w zamku Neustadt.

— Simon mówi, że po nią wraca — uzupełnił Teusen.

Rozległy się kroki. Wszyscy się obrócili i ujrzeli Vaughana, ponownie ubranego w mundur Vopo i kurierski płaszcz, zapinającego pod brodą pasek od kasku.

Na piersiach wisiał mu karabin AK.

— To nie ma sensu — odezwał się Pascoe.

Vaughan zignorował go i zwrócił się do Konrada:

— Duży tam ruch?

— O, tak — odparł Konrad. — Minęliśmy kilka patroli, ale żaden nas nie zatrzymał. Wzięli nas za swoich.

— Więc niby dlaczego mieliby mnie traktować inaczej? — Vaughan wsiadł na cossacka i kopnięciem zapalił silnik.

— Nie bądź głupcem, Simon — rzucił Teusen.

— Jeśli chcecie coś dla mnie zrobić, to trzymajcie tamto przejście jak najdłużej otwarte — krzyknął Vaughan i odjechał.

Zapanowała cisza. W końcu Pascoe westchnął i odwrócił się do sierżanta Bulowa i młodego Hornsteina.

— Wygląda na to, że będziecie panowie musieli wrócić na chwilę do waszych obowiązków.

— O, nie — warknął Bulow. — Tego nie było w umowie.

— Ależ mój drogi panie, widzi pan chyba, że to konieczne. Jeśli wasze dowództwo zadzwoni, a was tam nie będzie, zaczną was szukać.

— To już się mogło stać — stwierdził Bulow.

— Będziemy więc musieli ryzykować.

— Nie!

Na siedzeniu kierowcy w ciężarówce leżał AK. Pascoe wziął go do ręki i odbezpieczył.

— Nie jestem usposobiony do kłótni. Wracajcie tam, a ja idę z wami.



— Może ja — zaproponował Teusen. Pascoe uśmiechnął się.

— Nie, Bruno, niech chociaż raz to będzie moje przedstawienie. Zawsze byłem dobry w wysyłaniu innych na pole walki, nie tym razem jednak. — Zwrócił się ponownie do Bulowa. — Pan przodem, sierżancie, bardzo proszę.

Vaughan ostrożnie podjechał pod zamek. Gdy znalazł się na wzgórzu, ujrzał wartownika stojącego w budce u wejścia do tunelu. Zatrzymał przed nim motor.

— Depesza z Berlina do profesora van Burena.

Wartownik kiwnął mu, żeby jechał dalej, i Vaughan ruszył przez ciemny tunel.

Tym razem z drugiej strony nie było nikogo. Minał główną bramę, jadąc wąskim przejściem między wysokimi murami, i po chwili wjechał na tylny dziedziniec.

Zgasił motor, przypominając sobie opis Berga dotyczący prywatnego wejścia do kwatery komendanta. To musiało być gdzieś tutaj. Zdjął z ramienia karabin

- 156 -

i ruszył naprzód.

Margaret Campbell leżała z otwartymi oczami na łóżku w sypialni van Burena.

Myślała o Vaughanie, zastanawiając się, co się z nim dzieje. Ale przede wszystkim modliła się, żeby nie wrócił po nią.

W tym momencie drzwi otworzyły się i ktoś zapalił światło. Van Buren z kieliszkiem w ręce stał i patrzył na nią.

— Chodź do mnie — powiedział i wrócił do drugiego pokoju.

Kiedy tam weszła, stał przy kominku, nalewając sobie kolejną brandy.

Wyglądał na bardziej niż trochę pijanego.

— Ten twój chłopak mnie rozczarowuje. Gdzie on się podziewa?

Coś lekko zaskrzypiało i dmuchnęło zimne powietrze. Odwrócili się

i w wąskich drzwiach w rogu ujrzeli Vaughana, trzymającego AK gotowe do strzału.

Margaret podbiegła do niego.

— Och, ty głupcze — ty cudownie cholerny głupcze! Raz ci nie wystarczyło?

Nie dość kłopotu ci narobiłam?

Uśmiechnął się i objął ją ramieniem.

— Postanowiłem przebaczyć ci to wszystko.

Van Buren zaśmiał się wesoło.

— Widzisz, nigdy się nie mylę. Umysł ludzki to otwarta księga dla wielkiego van Burena.

— Jeśli tylko krzykniesz, przetnę cię na pół — ostrzegł go Vaughan, podnosząc swoje AK.

— I sprowadzisz tu natychmiast wszystkich obecnych na zamku? Nie bądź głupi, Schaefer, Vaughan, czy jak się tam nazywasz.

— Zabieram ją stąd.

— A kto cię powstrzymuje?

Van Buren nalał sobie brandy i odwrócił się. Vaughan opuścił karabin.

— Co się tu dzieje?

Margaret położyła mu dłoń na ramieniu.

— Nie dyskutuj, Simon, tylko chodź. — Zwróciła się do van Burena. — Przykro mi, Harry. Pomimo tego wszystkiego, co zrobiłeś, ciągle żal mi ciebie.

— Mnie też siebie żal. — Van Buren uniósł kieliszek. — *Lechaim*. A teraz wynoście się stąd.

Vaughan szybko sprowadził dziewczynę po krętych kamiennych schodach.

Na dole wyjrzał ostrożnie na dwór, ale nikogo nie było widać. Złapał ją za rękę

i podbiegli do cossacka.

— Będziesz musiała skulić się w bocznym wózku, a ja przykryję cię brezentem.

Wsiadła i układając się spytała:

— Co on takiego powiedział, zanim wyszliśmy?

— *Lechaim* — odparł Vaughan. — To po hebrajsku. Znaczy „na zdrowie”.

Nic na to nie powiedziała, tylko po prostu skuliła się, jak jej kazał. Vaughan rozciągnął nad nią płachtę, mocując ją na zatraskach, po czym wsiadł na motor i zapalił. Chwilę później minęli wartownika przy głównej bramie.

- 157 -

Van Buren stał przed kominkiem, rozmyślając o swojej przeszłości.

— Cóż, przynajmniej byłem całkiem niezłym kapralem *marines* — mruknął cicho. — Może choć to się trochę liczy.

Opróżniwszy kieliszek, odstawił go i podszedł do drzwi, z zamiarem poszukania Sussmanna. Z holu na dole doszły go jakieś głosy i gdy wyjrzał nad balustradą, ujrzał tam Sussmanna z Beckerem.

— Im szybciej to zrobimy, tym lepiej — mówił Sussmann. — Kiedy Klein tu przyjedzie, będzie chciał mieć jego trupa. To ważne dla nas wszystkich, Rudi. Cała wina spadnie wtedy na niego.

Becker wyjął swojego walthera i sprawdził go, a van Buren cofnął się do gabinetu. Po chwili wyszedł ponownie i stanął na szczycie schodów.

— A, tu jesteś, Sussmann. Chciałem zamienić z tobą słówko.

Dwaj mężczyźni przystanęli na półpiętrze wyciągając pistolety.

— Jest pan aresztowany — oznajmił Sussmann. — Za zdradę państwa. Proszę oddać tę Campbell pod moje rozkazy.

— Obawiam się, że to niemożliwe — powiedział van Buren. — Dawno już ją puściłem.

— Kłamie pan.

— Nie, przyjacielu, przy wszystkich moich wadach to jest coś, czego nigdy nie robiłem. Kiedy zacznie się strzelanina? — Becker spojrzał niepewnie na Sussmanna, a van Buren ciągnął dalej: — Zastrzelony podczas próby ucieczki. Tak to się nazywa?

— Skoro pan tak mówi...

Sussmann trzykrotnie nacisnął spust. Van Buren krzyknął i otworzył dłonie, wypuszczając z nich dwa rosyjskie granaty, które — jeden po drugim — odbijając się, zleciały po schodach. Becker wrzasnął ze strachu i rzucił się do ucieczki, ale zderzył się z Sussmannem. W sekundę później granaty wybuchły.

Było wpół do trzeciej, gdy cossack wynurzył się z ciemności i zatrzymał się przy Bulowie i Hornsteinie, którzy czekali przed budką. W drzwiach ukazał się Charles Pascoe z AK w ręce. Vaughan uniósł gogle.

— Udało się panu, majorze?

Vaughan odciągnął brezentową płachtę i Margaret usiadła.

— Jesteśmy? — spytała. — Jesteśmy na Zachodzie?

— Nie — odparł Vaughan. — Ale zaraz będziemy. Ruszył, a Pascoe, Bulow i Hornstein poszli za nimi na piechotę. W budce strażniczej zaczął dzwonić telefon. Dzwonił dość długo, zanim przestał. Wtedy zaległa cisza, tylko drzwi skrzypiały trochę, kołysane przez lekki wiatr.

# 16.

Dwudziestego pierwszego czerwca w Rzymie kardynał Giovanni Battista Montini został wybrany przez Święte Kolegium na tron papieski i przybrał imię Pawła VI. W pokoju Collegio di San Roberto Bellarmino ojciec Sean Conlin leżał właśnie podparty poduszkami w łóżku czytając książkę, gdy wszedł Pacelli, by przekazać mu tę nowinę.

— A więc, życie toczy się dalej? — powiedział Conlin.

— Na to wygląda.

— Ale nie dla Ericha Hartmanna. Niech mi ojciec powie, jaki on był? Jaki był naprawdę?

— Kto wie? Był tajemnicą — jak wszyscy ludzie — znaną tylko swemu Stwórcy.

— Miał w sobie coś ze świętego, nie sądzi ojciec?

— Z pewnością nie. Zupełnie brakowało mu pokory. To, co zrobił w Neustadt, było wspaniałym nonsensem... ale dzięki Bogu za to.

— No cóż — westchnął Conlin. — Będę pamiętał o nim w moich modlitwach.

— Ja też. — Pacelli uśmiechnął się. — A teraz musi mi ojciec wybaczyć. Mam bardzo dużo do zrobienia. Praca również toczy się dalej.

Wszedł i w pokoju zrobiło się bardzo cicho. Ojciec Conlin zamknął oczy, złożył ręce i zaczął się modlić o spokój duszy Ericha Hartmanna.

Dwudziestego szóstego czerwca prezydent Kennedy złożył ośmiogodzinną wizytę w Berlinie. Po wylądowaniu na lotnisku Tegel w sektorze francuskim odbył pięćdziesięciokilometrową przejażdżkę po mieście w towarzystwie kanclerza Adenauera i Willy'ego Brandta, wśród wiwatów miliona dwustu pięćdziesięciu tysięcy ludzi.

W końcu wszyscy dotarli do zachodniobrzeńskiego ratusza w dzielnicy Schöneberg, gdzie prezydent miał wygłosić najważniejsze przemówienie w swojej podróży.

Pokój na pierwszym piętrze, do którego go wprowadzono, był zatłoczony.

Wśród czekających znajdowali się Charles Pascoe i Simon Vaughan. Prezydent szedł przez tłum, zatrzymując się tu i ówdzie.

Gdy dotarł do Pascoego i Vaughana, uściśnął im ręce ze swobodnym i zrelaksowanym uśmiechem, nie różniącym się od tego, jakim obdarzał wszystkich.

Tylko słowa miały swoje własne znaczenie:

— Panowie, wiercie mi, cieszymy się bardzo, że tu dzisiaj jesteście.

Wyszedł na balkon wzbudzając burzliwą owację tłumy. Zaczął przemawiać.

Pascoe mruknął:

- 159 -

— Wiem, że się starzeję, ale lepiej jest jednak podróżować z nadzieją. Ten człowiek może być tym, czego wszyscy potrzebujemy. Przynajmniej mówi właściwe rzeczy. Rzeczy, które powinny być powiedziane.

Doleciał ich głos Kennedy'ego:

— Dziś, w świecie wolności, najdumniejszym stwierdzeniem jest „*Ich bin ein Berliner*”.

Wychylał się przez balkon, wyraźnie oświetlony, i nagle jakby cień przesłonił słońce i światło zgasło. Tylko na chwilę jednak.

Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu Vaughanowi zrobiło się zimno.

— Chodźmy stąd — powiedział do Pascoego. — Będzie pan mógł przeczytać to wszystko w gazetach.

Odwrócił się i zaczął się przepychać przez tłum, a Pascoe za nim. Pod ścianą na szczycie schodów stała Margaret z Meyerem. Chwyła go za rękę.

— Co się stało, Simon? O co chodzi?

— Nic — mruknął. — Ktoś właśnie przeszedł po moim grobie, to wszystko.

Gdy schodzili ze schodów, głos prezydenta zagrział nad tłumem:

— Wolność boryka się z licznymi trudnościami, a demokracja nie jest doskonała, ale my nigdy nie musieliśmy wznosić muru, by zatrzymać naszych ludzi.